

NEW YORK TIMES  
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

# DIANA PALMER

*Odważni*



**Diana Palmer**

## **Odważni**

Tłumaczenie:

Jacek Żuławnik

# PROLOG

Peg Larson uwielbiała wędkować, a to, co właśnie robiła, przypominało zakładanie przynęty, tyle że zamiast na dorodnego okonia albo leszcza wyciągniętego ze strumienia w lasach wokół Comanche Wells w Teksasie, szykowała się na złowienie niezłego okazji atrakcyjnego faceta.

Brakowało jej wędkowania, ale gdy do Święta Dziękczynienia zostały już tylko dwa tygodnie, nawet w południowym Teksasie było zbyt zimno, żeby przesiadywać nad brzegiem rzeczki. Za to wczesną wiosną cudownie było zasiąść z pudełeczkiem robaków i wypróbowaną trzciniową wędką w dłoni.

Marząc o tym, obciążyla żyłkę ciężarkami i umieściła na jej końcu czerwono-niebiesko-biały spławik, który dostała od ojca, gdy miała pięć lat.

Niestety sezon rozpoczął się dopiero za kilka miesięcy.

Dziś Peg zależało na zupełnie innej zdobyczy.

Przejrzała się w lustrze i westchnęła. Owszem, była dość ładna, ale do piękności raczej nikt by jej nie zaliczył. Miała duże bladozielone oczy i długie blond włosy, które przeważnie zbierała w kucyk i przewiązywała gumką albo czymkolwiek, co miała pod ręką. Nie była wysoka, ale za to miała długie nogi i całkiem niezłą figurę. Zdjęła gumkę, rozpuściła włosy i cesała je szczotką aż do czasu, gdy blond fala zaczęła przypominać połyskującą zasłonę z bladego złota. Delikatnie nałożyła szminkę i upudrowała policzki. Puder też był prezentem od ojca, tym razem urodzinowym, sprzed kilku miesięcy. Raz jeszcze westchnęła, patrząc na swoje odbicie.

Gdyby było ciepło, włożyłaby obcięte dżinsy i dopasowaną koszulkę, która uwypukliłaby niewielkie, ale jędrne piersi. Cóż, w listopadzie musiała zadowolić się czymś innym.

Dżinsy były stare, sprane i poprzecierane, ale gdy wsunęła w nie długie nogi i nasunęła na biodra, poczuła się jak w drugiej skórze. Włożyła różowy bawełniany top z długimi rękawami i odpowiednio dobranym kołnierzykiem, dyskretnym, ale zarazem seksownym. Przynajmniej tak uważała. Peg późno rozkwitła. Miała dziewiętnaście lat, w szkole przechodziła mękę, użerając się z szybkimi i porywczymi kolegami, którzy uważali, że seks przed ślubem to przecież nic takiego, zwykła sprawa, i doprawdy trzeba być dziwakiem, by uważać inaczej, a nawet się nim gorszyć.

Uśmiechnęła się pod nosem, wspominając rozmowy na ten temat ze znajomymi, dziewczynami i chłopcami. Jednak prawdziwi przyjaciele Peg mieli takie same jak ona poglądy i chodzili do kościoła w tych trudnych dla religii czasach, kiedy to atakowano ją ze wszech stron. Szczęśliwie w Jacobsville w Teksasie, gdzie mieściła się szkoła, Peg należała do większości. Liceum z dumą pielęgnowało kulturową różnorodność, broniło praw uczniów do kultywowania etnicznych, wyznaniowych i obyczajowych tradycji. Większość miejscowych dziewczyn, tak jak Peg, w sprawach moralności twardo opierała się naciskom. Peg chciała mieć męża i dzieci, dom z ogródkiem i grządkami pełnymi kwiatów, a nade wszystko pragnęła, żeby jej księciem z bajki został Winslow Grange. Znała go dobrze, bo tak samo jak Ed, jej ojciec, który był zarządcą, Peg pracowała na jego ranczu.

Grange uratował Gracie Pendleton, żonę swojego szefa, kiedy porwał ją obalony południowoamerykański prezydent, który potrzebował pieniędzy, by usunąć z prezydenckiego pałacu zacieklego wroga i ponownie objąć władzę. Grange zebrał oddział najemników, wyprawił się na terytorium Meksyku i podczas brawurowej akcji odbił Gracie z rąk porywacza. Jason Pendleton, milioner o złotym sercu, z wdzięczności podarował Grange'owi ranczo, które sąsiadowało z posiadłością Pendletonów w Comanche Wells. Razem z ziemią Grange'owi trafili się zarządca i gosposia, czyli Ed i jego córka, Peg.

Wcześniej Ed pracował na ranczu u Pendletona, zaś Peg miesiącami śniła na jawie o przystojnym

i zagadkowym Grange'u. Był wysokim ciemnowłosym mężczyzną o przeszywającym spojrzeniu i ogorzałej twarzy. Kiedyś służył w wojsku w oddziałach specjalnych, w stopniu majora pojechał do Iraku, gdzie wydarzyło się coś, co zmusiło go do opuszczenia armii, bo inaczej stanąłby przed sądem polowym. Ponadto krążyła plotka, że siostra Grange'a popełniła samobójstwo przez jakiegoś mężczyznę, był więc człowiekiem po przejściach, kiedy zaczął pracować z obalonym prezydentem, który nazywał się Emilio Machado. Była to trudna i niebezpieczna misja. Machado z absolutną determinacją dążył do tego, by obalić psychopatycznego dyktatora i odzyskać władzę w Barrerze, swojej ojczyźnie położonej w sercu amazońskiej dżungli.

Peg niewiele wiedziała o obcych stronach. Nigdy nie wyściubiła nosa poza Teksas i nigdy nie leciała samolotem, jeśli nie liczyć krótkiej wycieczki maszyną do opryskiwania pól, na którą zaprosił ją zaprzyjaźniony z jej ojcem farmer. Natomiast jeśli chodzi o mężczyzn oraz o wiedzę o świecie poza rodzinnym zakątkiem, była kompletną ignorantką.

Jednak Grange nie miał pojęcia o jej naiwności i niewinności, a ona wcale nie miała zamiaru go o tym informować. Uwodziła go przy byle okazji, i to już od kilku tygodni. Wymyśliła sobie, że jeśli jakaś kobieta w południowym Teksasie zdoła omotać Grange'a, to tą kobietą będzie ona, koniec, kropka.

Robiła to niby dość śmiało, ale jednak w sposób delikatny, to znaczy w słowach bywała zuchwałą, ale nigdy w czynach. Cóż, wygadana była, natomiast o czynach tego rodzaju nie miała pojęcia i nawet nie próbowała eksperymentować, nie chciała bowiem, żeby Grange pomyślał o niej źle. Pragnęła natomiast, żeby zakochał się w niej po uszy, a potem poprosił o rękę. Innymi słowy, marzyła o wspólnym życiu z Grange'em.

Teraz wprawdzie też, choć oczywiście w innym sensie, żyła z nim, to znaczy mieszkała u niego, bo pracowała na jego ranczu, jednak to nie było to. Przecież pragnęła go dotykać, kiedy będzie miała ochotę, przytulać się do niego, całować, robić z nim... inne rzeczy.

Przy Grange'u czuła się dziwnie. Raptem stawała się spięta, coś w niej wzbierało. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżywała. Rzadko i nieregularnie umawiała się na randki, ponieważ inni mężczyźni niespecjalnie ją pociągali. Nawet obawiała się, że coś jest z nią nie w porządku, bo lubiła chodzić na zakupy z przyjaciółkami albo samotnie wybierała się do kina, ale na randkowanie nie miała ochoty. A przecież niektóre dziewczyny głównie tym żyły, wieczór bez randki czy imprezy był dla nich stracony. Natomiast Peg uwielbiała eksperymentować w kuchni, piec chleb i zajmować się ogródkiem. Wiosną i latem krzątała się w warzywniku, a przez cały rok troskliwie dbała o kwiaty. Grange nie miał nic przeciwko temu, wręcz pochwalał wysiłki gosposi, ponieważ lubił warzywa z własnego ogródka, z których Peg przyrządzała posiłki. Gracie Pendleton też lubiła pracę w ogródku i chętnie dzieliła się z nią pomysłami i sadzonkami.

Tak więc Peg nieczęsto chodziła na randki. Raz pewien sympatyczny na pierwszy rzut oka mężczyzna zabrał ją do kina w San Antonio na komedię. Nawet jej się spodobało, ale potem ten facet nalegał, by pojechali do motelu, a na to nie mogła się zgodzić. Znowu z innym pojechała do zoo, też w San Antonio, żeby obejrzeć krokodyle, a później namawiał ją na wizytę w jego posiadłości, bo bardzo chciał pokazać jej hodowaną tam rodzinę pytonów. Z tym amantem również szybko się pożegnała. Wprawdzie nie miała nic przeciwko węzom, o ile nie były agresywne i jadowite, ale jakoś nie miała ochoty dzielić się z nimi mężczyzną. Potem była na jednej randce z szeryfem Hayesem Carsonem. Przemięły człowiek, wspaniałe maniery i świetne poczucie humoru. Było cudownie. Niestety Hayes jest zakochany w innej dziewczynie, o czym wszyscy – choć chyba z wyjątkiem jego samego – doskonale wiedzieli. Spotkał się z Peg, by pokazać Minette, że wcale nie usycha z tęsknoty za nią. Minette, właścicielka lokalnej tygodniówki, kupiła tę wersję, jednak Peg absolutnie nie, i rzecz oczywista nie zamierzała zakochać się w facecie, którego serce należało do innej.

Odpuściła więc sobie randki, przynajmniej na jakiś czas w ogóle przestała myśleć o facetach, aż

wreszcie Ed przyjął propozycję pracy na ranchu Grange'a. Toteż siłą rzeczy Peg stale widywała Grange'a i była nim zafascynowana, on jednak swoim zachowaniem nie zachęcał do bliższych kontaktów. Rzadko się uśmiechał, prawie nigdy ze sobą nie rozmawiali. Czuła jednak, że za tym murem kryje się niezwykła osobowość. Oczywiście wiedziała o wojskowej przeszłości Grange'a, a także to, że miał opinię osoby bardzo inteligentnej i błyskotliwej. Ponadto znał języki obce, mówiono o nim, że jest prawdziwym poliglotą. Po opuszczeniu wojska wykonywał zlecenia dla Eba Scotta, właściciela i szefa ośrodka szkolącego antyterrorystów. Ośrodek mieścił się w Jacobsville, rzut beretem od Comanche Wells, gdzie mieszkał Grange. Eb Scott był kiedyś najemnikiem, podobnie jak wielu mężczyzn z okolicy. Krążyły słuchy, że Emilio Machado zwerbował wielu z nich. Może nawet nie tyle zwerbował, co sami z chęcią przyłączyli się do niego, jako że Machado, zaprzysięgły demokrat, walczył o to, by pozbawić władzy tyrana, który więził i torturował niewinnych ludzi, by zapewnić sobie bezwzględny posłuch zniewolonego narodu. Na myśl o krwawym dyktatorze Peg przechodziły ciarki, miała więc nadzieję, że generał Machado wygra.

Martwiła się jednak, że na czele oddziałów interwencyjnych stanie Grange. Był świetnym żołnierzem, w Iraku walczył na pierwszej linii, ale przecież na wojnie giną zarówno kiepscy, jak i najlepsi żołnierze. Peg martwiła się o niego i chciała mu o tym powiedzieć, ale jakoś nigdy nie było okazji.

Kusiła go, igrała z nim, prowokowała słownie, a także przygotowywała mu wyjątkowe dania i wyszukane desery. On zaś uprzejmie jej dziękował, ale nigdy tak naprawdę na nią nie spojrzał. Och, jak bardzo drażniło to Peg! Dlatego zaplanowała całą strategię, która miała zwrócić na nią uwagę Grange'a. Myślała nad nią ładnych parę tygodni.

Przydybała go w oborze. Miała na sobie bluzeczkę ze śmiałym dekoltem i pod odpowiednim kątem schyliła się, żeby coś podnieść. Musiał zauważyć, po prostu musiał. Ale tylko odwrócił wzrok i rozgadał się o czystej krwi jałowce, która miała się wkrótce ocielić.

Potem, gdy już byli w domu, Peg niby przypadkiem otarła się o Grange'a, starając się precyzyjnie obok niego w drzwiach. Efekt był taki, że piersiami niemal przykleiła się do jego klatki. Zerknęła na niego, by się przekonać, jakie wrażenie to na nim zrobiło, ale znowu spojrzał w drugą stronę, odchrząknął i nagle mu się przypomniało, że musi coś koniecznie zrobić na zewnątrz.

Ponieważ okazało się, że bodźce fizyczne nie działają, Peg obrała inną taktykę. Otóż za każdym razem, kiedy znajdowała się z Grange'em w sytuacji sam na sam, starała się wpleść do rozmowy wątki, które kierowały myśli ku wiadomej sferze.

– A wiesz – zaczęła pewnego dnia, gdy przyniosła mu kawę do obory – że podobno niektóre metody antykoncepcji są nadzwyczaj skuteczne? Dasz wiarę? Prawie w stu procentach! Praktycznie nie ma możliwości, żeby kobieta zaszła w ciążę, chyba że sama będzie tego chciała.

Spojrzał na nią jak na kogoś, komu brakuje piątej klepki, odchrząknął i odszedł.

Cóż, nie od razu Rzym zbudowano, więc się nie załamała. Pewnego dnia została z nim sama w kuchni, bo Ed umówił się na pokera z kumplami.

Nachyliła się nad Grange'em, piersiami ocierając się o jego szerokie bary, i podała mu szarlotkę z lodami, do tego czarną kawę.

– Czytałam w gazecie, że u mężczyzn wcale nie liczy się rozmiar, ale to, co potrafią zdziałać tym, w co ich natura... O rany! – Chwyciła szmatkę, bo trąciła filiżankę. – Oparzyłam cię? – spytała, w pośpiechu wycierając rozlaną kawę.

– Nie – odparł chłodno. Wstał, nalał sobie kawę, zabrał szarlotkę i wyszedł.

Słyszała, jak zmierza do swojego pokoju, a potem zamyka za sobą drzwi, i to raczej z hukiem.

– Powiedziałam coś nie tak? – rzuciła do pustego pomieszczenia.

Cóż, również i taka strategia nie zdała egzaminu. Tym razem Peg postanowiła być skromna



i zmysłowa. Coś przecież musiała zrobić, bo wkrótce Grange miał wyjechać z generałem do Ameryki Południowej, a do powrotu mogło upłynąć sporo czasu. Była bliska załamania. Musiała zrobić coś, co zwróciłoby jego uwagę i sprawiło, by obdarzył ją ciepłym uczuciem. Żałowała, że tak mało wie o mężczyznach. Co prawda czytała artykuły, sprawdzała w internecie, pochłaniała książki, ale nie przekładało się to na praktykę. Prawda była taka, że Peg kompletnie się nie знаła na sztuce uwodzenia.

Gdy to sobie uświadomiła, nie było jej miło. Choć w sumie przecież nie chciała go uwieść... w każdym razie nie tak do końca. Jedynie zamierzała doprowadzić go do szaleństwa, by poczuł, że jedyną szansą na zachowanie zdrowych zmysłów jest ślub. Ale z drugiej strony nie chciała zmuszać go do ożenku. Pragnęła jedynie, by ją pokochał, a życie pokaże, co dalej.

Tylko jak wzbudzić w nim miłość?

Grange nawet nie chodził na randki. Owszem, raz czy dwa umówił się z jakąś dziewczyną z miasteczka, i niektórzy plotkowali, że darzy nieodwzajemnionym uczuciem Gracie Pendleton, ale nie można było powiedzieć, żeby wiodł bogate życie towarzyskie, jeśli chodzi o kobiety. Przynajmniej nie w Comanche Wells. Peg zakładała, że kiedy jeszcze służył w wojsku, kobiet miał pod dostatkiem. Słyszała, jak opowiadał o przyjęciach w stolicy, w których brał udział. Obracał się w kręgach zamożnych i pięknych kobiet, które dostrzegały jego atrakcyjność, podobnie jak dostrzegała ją biedna Peg. Była ciekawa, jak dużo doświadczenia Grange ma „w tych sprawach”. Na pewno więcej niż ona, o co zresztą nietrudno przy jej zerowych doświadczeniach. Brnęła więc na oślep, usiłując zaintrygować mężczyznę, choć... no właśnie, kręciła się niczym pijane dziecko we mgle.

A jednak nie zamierzała się poddawać. Raz jeszcze spojrzała na siebie wzrokiem przepełnionym nadzieją i poszła zaimponować Grange'owi.

Siedział w salonie, oglądał program o anakondach nakręcony w amazońskim lesie deszczowym, czyli tam, dokąd wkrótce się wybierał.

– Ale wielkie, co? – zagadnęła, przycupnąwszy na oparciu sofy tuż obok niego. – A wiesz, że kiedy samice są gotowe do parzenia się, samce ścigają do nich z wielu kilometrów, a ich taniec godowy trwa nawet...

Grange wstał, wyłączył telewizor, zaklął pod nosem i wyszedł z domu, trzaskając za sobą drzwiami.

Peg westchnęła.

– Ech – powiedziała do siebie – albo go w końcu przekonam, albo rzucę się z mostu. – Tak ją rozbawił ten pomysł, że aż wybuchła śmiechem.

W drzwiach stanął Ed Larson, spojrzał na córkę i powiedział, nie kryjąc zdziwienia:

– Właśnie minąłem się z Winslowem. Szedł do obory. Klął tak, że uszy wędły. Zapytałem go, o co chodzi. Odpowiedział, że nie może się doczekać wyjazdu z kraju, po czym dodał, że jeśli kiedykolwiek złapie anakondę w dżungli, to wsadzi ją do pudła i ci ją pošle z dopiskiem: „Tylko do rąk własnych”.

– Że co? – Była trochę oszołomiona tą opowieścią.

– Dziwny człowiek – mruknął Ed, wchodząc do domu. – Naprawdę dziwny.

Peg już nie była oszołomiona. Uśmiechnęła się pod nosem. A więc jednak wzbudziła w nim jakieś uczucie. Na razie złość musi jej wystarczyć, ale to dopiero początek.

Następnego dnia na deser przyrządziła uwielbiany przez Grange'a tort kokosowy. Użyła polewy, posypała ciasto wiórkami kokosowymi i przystroiła jak w powiedzeniu, czyli wisienką.

Po obiedzie, który minął w pełnym napięcia milczeniu, podała deser.

– Tort kokosowy! – ucieszył się Ed. – Cudowna z ciebie dziewczyna, Peg. Smakuje jak ten, który robiła twoja matka – dodał, kiedy już spróbował i z rozkoszą przymknął oczy.

Matka Peg zmarła kilka lat wcześniej na raka. Była wyśmienitą kucharką i wspaniałym człowiekiem, miała niezmiernie pokłady współczucia i zrozumienia, sprawiała, że nawet najbardziej

zjadły wróg stawał się przyjacielem. Peg nie miała żadnych wrogów, ale za to liczyła, że jeśli już taka osoba pojawi się w jej życiu, za przykładem matki przekona ją do siebie.

– Dzięki, tato.

Grange zapamiętał pałaszował tort. Zawahał się przy kandyzowanej wisience i odsunął ją na bok, nadziewając na widelczyk ostatni kawałek ciasta.

Peg spojrzała na niego wielkimi, niewinnymi oczami.

– Nie lubisz słodkich wisienek? – spytała, znacząco układając usta.

Grange mruknął coś pod nosem, jednak Ed wychwycił to słówko i ze zdumienia uniósł brwi. Grange zaczerwienił się, odłożył serwetkę na stół i wstał.

– Przepraszam – wycedził przez zaciśnięte zęby i wymaszerował z pokoju.

Ed przez chwilę gapił się na córkę, po czym spytał:

– Co, u diabła, dzieje się z tym człowiekiem? Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby był aż tak zdenerwowany, całkiem jak nie on. – Dokończył ciasto, nieświadom miny Peg. – Pewnie chodzi o tę wyprawę, ale naprawdę jest się czym przejmować. Trzeba zaplanować trudną operację i skromnymi siłami obalić dyktatora, i zrobić to tak, żeby nie zorientowały się oficjalne agencje. Też byłbym spięty.

Peg miała nadzieję, że Grange był spięty z zupełnie innego powodu. Zarumieniła się, przypomniawszy sobie, co mu powiedziała. Jej komentarz był niepotrzebnie prowokacyjny, po prostu prymitywny. Mniej ostentacji, nakazała sobie, a przede wszystkim nie może być taka ordynarna. Przecież w ten sposób może do siebie całkowicie zrazić Grange'a, a to ostatecznie, czego by chciała. A jednak, próbując coraz to nowych sposobów, każdego dnia zamiast zachęcać, coraz bardziej go zniechęcała. Dostrzegła też inne zagrożenie. Jeśli przeholuje, razem z ojcem mogą stracić pracę.

Z tego wniosła, że musi dokładnie przemyśleć swoje postępowanie.

Zastanawiała się nad taktyką przez kilka kolejnych dni, aż wreszcie postanowiła spróbować czegoś jeszcze innego. Podkręciła włosy, włożyła najlepszą sukienkę i usiadła w salonie. Włączyła „Dźwięki muzyki”. Wiedziała, że Grange niedługo wróci z obchodu po ranczu.

Stanął w drzwiach, zawahał się, widząc, że zajęła jego miejsce na sofie, wszedł i zatrzymał się obok niej.

– Stary film – zauważył.

– Aha. – Uśmiechnęła się delikatnie. – Ale muzyka jest fantastyczna, a poza tym to o zakonnicy, która zakochuje się w księciu z bajki, który potem się z nią żeni.

Uniósł brwi, po czym spytał sarkastycznym tonem:

– Nie za grzeczne jak dla ciebie?

– O co ci chodzi? – Spojrzała na niego szeroko otwartymi, zielonymi oczami.

– O tańce godowe anakond i antykoncepcję.

– No co ty! – zdumiała się. – Naprawdę uważasz, że anakondy powinny stosować antykoncepcję? O rety, a jakim cudem pan anakonda miałby założyć sobie...

Grange obrócił się na pięcie i po prostu wymiotło go z pokoju. Peg mogłaby przysiąc, że kiedy zamykała się za nim drzwi, usłyszała stłumiony śmiech.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Nie mam ochoty iść na Bal Hodowców – stwierdził Winslow Grange, przeszywając szefa wrogim spojrzeniem.

Jason Pendleton skwitował to uśmiechem, jako że doskonale znał swego zarządcę, po czym powiedział:

– Zabawisz się. Przyda ci się odpoczynek.

– Odpoczynek! – Grange niecierpliwie machnął ręką. – Wybieram się do Ameryki Południowej z oddziałem, który ma wyrwać kraj z rąk krwawego tyrana, więc odpoczynek...

– ...jest tym, czego ci trzeba – dokończył spokojnie Jason.

Grange skrzywił się, nim wygłosił następną kwestię:

– Będę się nudził jak mops. Wiesz, że nie przepadam za ludźmi, kiepsko nawiązuję znajomości.

– A myślisz, że mnie łatwo to przychodzi? Muszę skakać dokoła szefów korporacji, urzędników federalnych i stanowych. Ale jakoś sobie radzę. I ty też sobie poradzisz.

– Pewnie tak – przyznał Grange. – Minęło sporo czasu, od kiedy prowadziłem do walki moich ludzi. Jason uniósł brew.

– Zaraz, przecież byłeś w Meksyku i uwolniłeś moją żonę z rąk porywacza, który dzisiaj jest twoim szefem.

– To był desant, błyskawiczna akcja, a ja mówię o prawdziwej wojnie. – Oparł się o płot i wbił spojrzenie w bydło przeżuwające siano. – W Iraku straciłem ludzi.

– Wiem, że nadal nie możesz się z tym pogodzić, ale z tego, co pamiętam, zawinił twój dowódca, wydając idiotyczne rozkazy.

– Postawili go przed sądem wojskowym.

– Solidnie sobie na to zasłużył. – Jason również oparł się o płot. – Najważniejsze, że dowiodłeś swoich kompetencji. Dla obalonego przywódcy, który walczy o przywrócenie demokracji w swojej ojczyźnie, to ważna cecha. Jeśli ci się powiedzie, a wierzę, że tak, to postawią ci pomnik. – Gdy Grange wybuchł śmiechem, Jason też się uśmiechnął, po czym dodał: – Ale bal to nasza uświęcona tradycja. Wszyscy bierzemy w tym udział i wspomagamy finansowo lokalne przedsięwzięcia. Spotykamy się, tańczymy, rozmawiamy i dobrze się bawimy. Pamiętasz, co to dobra zabawa, prawda, Grange? – Gdy odpowiedzią był nieokreślony grymas, Jason mruknął z dezaprobatą: – Ech, wy wojskowi...

– Tylko znowu nie zaczynaj – zaoponował Grange. – Pamiętaj, że gdyby nie moje doświadczenie z wojska, Gracie już by nie żyła.

– Codziennie o tym myślę, przyjacielu. – Jason przymknął na moment oczy. Nienawidził wspominać tamtych zdarzeń. Gracie nieomal zginęła. W ogóle mieli za sobą burzliwą przeszłość, ale teraz byli małżeństwem i oczekiwali pierwszego dziecka. Wkrótce po ślubie Gracie myślała, że jest w ciąży, ale był to fałszywy alarm. Tym razem miała pewność. Kończył się szósty miesiąc, a ona czuła się znakomicie. Stworzyli bardzo szczęśliwy związek.

– Przymierzałem się, żeby zaprosić ją na randkę – powiedział Grange tylko po to, żeby podrażnić się z Jasonem. – Nawet kupiłem nowy garnitur.

– No to niepotrzebnie wydałeś forszę – z uśmiechem odparł Jason. – Chociaż nie, po co ma się zmarnować, włóż go na Bal Hodowców. Nie masz co marudzić, jesteś jednym z nas. Dostałeś ode mnie ziemię i rasowe bydło i świetnie sobie radzisz.

– Nie trzeba było – z powagą odparł Grange. – Przesadziłeś.

– Wcale nie. Jesteś moim najcenniejszym pracownikiem. Zasłużyłeś sobie.



– Dzięki. – Grange uśmiechnął się, zaraz jednak wykrzywił się paskudnie. – Wiem, że darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda, ale nie musiałeś dorzucać Eda Larsona z córką.

– Peg to anioł, poza tym pierwszorzędnie gotuje.

– Przystawia się do mnie, i to non stop. Mówi takie rzeczy...

– Dziewczyna nie ma nawet dziewiętnastu lat. Jasne, że mówi różne...

– Jason, na miłość boską, ona stara się mnie uwieść! – wypalił Grange, aż stojąca najbliżej krowa podniosła łeb.

– Hej, przyjacielu, nie zauważyłeś, że epoka wiktoriańska już minęła jakiś czas temu? – Jason bawił się coraz lepiej. Znał ultrakonserwatywne poglądy starego wojaka i zawsze go zadziwiała.

– Nie zamierzam się zabawiać z dziewiętnastolatką – skwitował Grange. – Chodzę do kościoła, płacę podatki, daję na biednych. Nawet nie piję!

– Nawet nie pije... – powtórzył z komiczną zgrozą Jason. – Poddaję się. Przypadek nieuleczalny. Jednak Grange nie wychwyił prześmiewczej nutki, tylko odparł ze śmiertelną powagą:

– Nieuleczalny? A może jeden z niewielu okazji zdrowia moralnego w naszym zepsutym świecie? Tylko rozejrzyj się wokół, a ujrzysz same nieuleczalne przypadki: wysoki odsetek rozwodów, upadającą gospodarkę, chciwe korporacje...

Jason przerwał mu, podnosząc dłoń.

– Przepraszam cię bardzo, ale zaraz po Święcie Dziękczynienia jadę do Nowego Jorku...

– Spokojnie, do tej pory skończę pomstować na dwudziesty pierwszy wiek.

– Musisz sobie znaleźć lepszego słuchacza. A co do balu, to skoro, jak sędzę, nie zjawisz się na nim pod rękę z Peg, to z kim przyjdiesz?

– Z nikim.

– Oho, w takim razie przez miesiąc będziesz na językach.

– Nie przyjdę z Peg! – wycedził Grange. – Zatrudniam jej ojca. Ją zresztą też, skoro o tym mowa.

– Mogę ci powiedzieć, kto z gości przyjdzie ze swoimi pracownikami – rzucił lekkim tonem Jason.

– I co z tego? – Grange dobrze wiedział, w czym rzecz. Takie przypadki przeważnie kończyły się małżeństwem, ale akurat jeśli o niego chodzi, to nie tędy droga.

– To tylko trzy godziny – ciągnął Jason. – Co ci szkodzi? Poza tym dwa dni później wyjeżdżasz z kraju, tak?

– Zgadza się.

– No więc przyjdź, zabaw się i dobrze wspominaj ten wieczór.

Grange przestąpił z nogi na nogę, odwrócił głowę, przeczesał palcami czarną czuprynę, aż wreszcie znalazł argument:

– Peg pewnie nie ma pieniędzy na sukienkę.

– W mieście jest nowy butik. Bess Truman, projektantka, chce rozkręcić interes, dlatego w ramach promocji ubiera pół miasta, czyli wszystkie nasze panie, w swoje ciuchy. To znaczy wypożycza je za darmo. Pamiętasz Nancy, aptekarkę? Włożyła zieloną suknię na imprezę transmitowaną w telewizji. Bonnie, jej asystentka, włożyła czerwoną suknię, którą całkiem dosłownie zatrzymała ruch na ulicy. Nawet Holly, która z nimi pracuje, dostała złote wdzianko. Również i Peg otrzymała od Bess sukienkę.

– Pewnie zaraz mi powiesz, w jakim kolorze – prychnął Grange.

– Sam zobaczysz – odparł Jason z uśmiechem. – Gracie mówi, że Peg trafiła się najładniejsza. – Widząc, że Grange nadal się waha, dodał: – Zaproś ją. Zbyt długo jesteś sam. Nie umawiasz się, nie chodzisz na randki. Czas, żebyś przypomniał sobie, dlaczego mężczyźni uwielbiają kobiety.

– Gracie cię namówiła, żebyś mnie przekonał, prawda? – spytał Grange podejrzliwie.

– Tak to już jest, że ciężarne mają swoje zachcianki. Lody truskawkowe z korniszonami i takie tam.

– Spojrzał na Grange’a z błyskiem w oku. – Chyba nie chcesz rozżłościć Gracie?

– Tak, dobij mnie jeszcze! – Grange skrzywił się. – W porządku... Wprawdzie sprawdzam broń i szkole ludzi, ale zrobię sobie wolny wieczór i zabiorę Peg na bal, na który wcale nie mam ochoty iść. Czemu nie?

– Tylko bądź miły, dobrze? – niespokojnie dodał Jason. – Ten jeden raz.

– Nie jestem miłym gościem – odparował Grange. – Byłem majorem. Służyłem w Iraku. Tacy jak my nie są mili.

– Potraktuj to jako ćwiczenie, bo przecież będziesz musiał przekonać buntowników, żeby przeszli na stronę twojego generała.

Grange posłał szefowi chłodny uśmiech.

– Do tego nie trzeba być miłym. – Uśmiechnął się chłodno. – Wystarczy broń automatyczna i parę granatów.

– Tak, jasne... – Jason tylko pokręcił głową.

Kiedy Grange wszedł do domu, Peg była w kuchni. Jason, mimo jego protestów, podarował mu budynek razem z posiadłością. Grange nadal był zarządcą majątku Comanche Wells, rodowej siedziby Pendletonów, ale cały wolny czas poświęcał hodowli swojego bydła i remontowi niemałego domu. Jason płacił pensję Edowi, Grange zaś – Peg.

Doceniał szczodrość Jasona, który jako człowiek honorowy i zawsze spłacający długi, czuł wewnętrzny przymus, by wynagrodzić Grange’owi uratowanie Gracie. Grange nie zgodził się przyjąć pieniędzy, więc Jason znalazł inny sposób, to znaczy podarował mu ziemię, dom i stado. Całość była warta niezłą sumkę, więc Grange znów stanowczo odmówił, ale cóż, skoro Jason się uparł... W końcu Grange poddał się i przyjął nagrodę, owszem, bardzo hojną, trzeba jednak przyznać, że akcja, w wyniku której Gracie została uwolniona z niewoli, wcale nie była ani łatwa, ani bezpieczna. Mógł zginąć, podobnie jego ludzie. A jednak udało się uratować Gracie, przy czym nikt ani nie zginął, ani nie został ranny. Grange modlił się żarliwie, by bezkrwawy scenariusz powtórzył się podczas próby odbicia Barrery z rąk groźnego, bezwzględnego dyktatora, który dokonał zamachu stanu, w wyniku którego generał Emilio Machado został pozbawiony władzy.

Peg była pełną życia dziewiętnastolatką z długimi blond włosami, zielonymi oczami i szelmowskim uśmiechem. Pięć lat wcześniej okrutny rak zabrał jej matkę. Po śmierci żony Ed wraz z córką podjął pracę u Jasona Pendletona, ale ostatecznie trafił tutaj, do domu stojącego na ziemi Grange’a.

Nie miał nic przeciwko temu. Ed uwielbiał zarządzać w sumie niewielką posiadłością Grange’a. Pobierał taką samą pensję jak wtedy, gdy pracował na ranczu Pendletona, ale miał dużo mniej obowiązków i dużo więcej wolnego czasu. Zaś Peg zajmowała się przyrządzaniem posiłków dla całej trójki, i robiła to doskonale. Kucharz Jasona często wpadał z wizytą, lecz wcale nie z powodów kurtuazyjnych, lecz po to, by wydębic przepis na ten czy ów placek albo ciasto, ale Peg to nie przeszkadzało. Uwielbiała gotować i chętnie dzieliła się kulinarną wiedzą.

– Powinnaś studiować – powiedział Grange bez zbędnych wstępów, wchodząc do kuchni.

Peg właśnie wkładała klops do piekarnika. Zerknęła na szefa, roześmiała się i zamieszała gotujące się ziemniaki.

– Jasne. W przyszłym semestrze pójdę na Harvard. Proszę mi przypomnieć, żebym poprosiła tatę o czesne.

– Są stypendia – burknął.

– W szkole jechałam na trójkach.

– No to nie wiem, studiuj i jednocześnie pracuj.

Odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem, poczynając od dołu. Dotarła do podbródka, a było co

oglądać. Co za facet! – pomyślała po raz nie wiadomo już który. Sama prezentowała się bardzo... roboczo. Włosy miała związane w dwa kucyki, a na bluzie, tak jak i na dżinsach, było mnóstwo tłustych plam. Nigdy nie nosiła fartucha.

Wycelowwała w Grange'a łyżką.

– Niby co miałabym studiować?

– Może prowadzenie gospodarstwa domowego?

Popatrzyła na niego spode łba.

– Naprawdę mam pójść na studia i zamieszkać w akademiku? Takim koedukacyjnym?

– Słucham?

– Akademik. Koedukacyjny. Mężczyźni i kobiety mieszkają razem w pokojach. Miałabym się przebierać na oczach koleś, którego nawet nie znam?

– Chyba żartujesz! – Gapił się na nią mocno poruszony.

– Wcale nie. Są nawet akademiki dla małżeństw. Pozostali nie mają wyboru, czy będą mieszkali z kobietą, czy mężczyzną. Na kogo wypadnie, na tego bęc, koniec, kropka. – Przewiercała go wzrokiem. – Nie tak mnie wychowano. Dlatego mieszkam tam, gdzie ludzie myślą tak jak ja. – Wzruszyła ramionami. – Czytałam starą książkę, zdaje się Tofflera. Trzydzieści lat temu przewidywał, że w błyskawicznie zmieniającym się świecie zachowają się wyraziste grupy ludzi, którzy nie nadążają za duchem czasu. To o mnie. – Odwróciła się do niego. – Nie nadążam, nie pasuję do dwudziestego pierwszego wieku. Nie wiem, gdzie jest moje miejsce. Chyba tylko w Jacobsville. I w Comanche Wells.

Musiał przyznać, że wizja Peg mieszkającej z obcymi facetami nie spodobała mu się ani trochę. Sam też nie chciałby mieszkać z jakąś obcą kobietą. I to pod przymusem, na kogo wypadnie, na tego bęc. Po prostu zgroza! W ciągu niespełna dekady świat tak bardzo się zmienił.

Oparł się o ścianę.

– No dobrze. Chyba masz rację. Mogłabyś jednak dojeżdżać albo uczyć się przez internet.

– Myślałam o tym.

Przesunął wzrokiem po jej ustach, podbródku, smukłej szyi. Najpiękniejsze w Peg były oczy. W niczym mu nie przeszkadzało, że była nieumalowana i miała po dziewczęcemu związane włosy.

Przyłapała go i rzuciła komentarz:

– Środki odstraszające.

– Słucham?

– Kucyki i brak makijażu. Odstraszają amatorów. Jeśli nie dbasz o superciuchy i makijaż, to oczywisty znak, że jesteś bystra, tak? A faceci nie lubią bystrych kobiet.

– Hej, nie tak szybko! – zareagował stanowczo. – Gdybym myślał o związku, na pewno szukałbym mądrej kobiety. Skończyłem nauki polityczne, i to dwie specjalizacje, i studiowałem na arabistyce.

Widelec, którym Peg sprawdzała miękkość ziemniaków, zatrzymał się w połowie drogi do garnka.

– Mówisz po arabsku?

– W kilku dialektach.

– Och. – Nie sądziła, że skończył studia. Raptem poczuła się niedoskonała. Powiedział, że powinna coś studiować. Z tego wniosek, że uważa ją za nieatrakcyjną, ponieważ intelektualnie mu nie dorównywała? A może chciał ją zwolnić?

Wyczuł, że jest zaniepokojona. Przypomniał sobie słowa Jasona o sukience od miejscowej projektantki. Skrzywił się. Ech, co tam, i tak nie planował zaprosić innej...

– Poszłabyś ze mną na Bal Hodowców? – spytał po prostu.

Zwątpienie i przygnębienie błyskawicznie zmieniły się w euforię. A zarazem zdumienie.

– Ja? – spytała.

– Twój ojciec raczej kiepsko by wyglądał w sukni balowej, prawda?

– Bal – powtórzyła zdezorientowana.

– Peg, nie znoszę takich imprez, w ogóle imprez – stwierdził rzeczowo. – Ale myślę, że dwie godziny wytrzymam. O ile masz ochotę pójść – dodał, bo wyglądała tak, że... właściwie nie potrafił powiedzieć, jak wyglądała.

– Tak!

Roześmiał się. Widelec wyleciał z ręki Peg i wpadł prosto do zlewu, co sprawiło, że Grange znów się roześmiał.

– Ależ celność! Powinnaś grać w NBA!

– Nie gram w piłkę nożną – odparła.

Już chciał wyjaśnić, że chodzi o koszykówkę, ale... Peg promieniała ze szczęścia, wyglądała naprawdę bardzo ładnie. Uśmiechnął się pod nosem.

– Taki żarcik.

– Aha.

– Wracam do pracy. Bal jest w sobotę. Wyjeżdżamy około szóstej. Będą kanapeczki, jakieś przekąski i tak dalej, więc nie zwracaj sobie głowy kolacją. Przygotuj tylko coś dla taty.

– Okej.

Uśmiechnął się i wyszedł.

Peg zdjęła garnek z ognia i zamyśliła się. Idzie na bal! Czują się jak Kopciuszek. Musi zrobić porządek z włosami, nałożyć makijaż i sprawić, by Grange był z niej dumny. To będzie najwspanialszy wieczór jej życia. Była w siódmym niebie. Z uśmiechem na ustach zabrała się do tłuczenia ziemniaków.

– Słyszałem, że wybierasz się na Bal Hodowców – odezwał się Ed Larson do córki po kolacji.

Zarumieniała się. W ogóle czerwieniła się przez całą kolację. Jak to dobrze, że Grange w końcu zjadł i poszedł do obory.

– Tak – przyznała. – Byłam w szoku, że mnie zaprosił. Założę się, że to Gracie kazała mężowi go podpuścić – dodała ze smutkiem. – Na pewno wcale nie zamierzał pójść.

– Cieszę się, że jednak idzie. – Ed z poważną miną upił łyk kawy. – Podobno on i jego ludzie wkrótce wyjeżdżają, bo generał Emilio Machado szykuje rewolucję.

– Wyjeżdżają niedługo? – Oczywiście wiedziała o tej misji, bo w tak małym miasteczku nie było tajemnic. Poza tym okazało się, że generał Machado jest ojcem Ricka Marqueza, którego adoptowana matka Barbara prowadziła kawiarnię w Jacobsville. – Zginie – dodała cicho, fatalistycznie.

– Gdzie tam – z uśmiechem odparł ojciec. – Winslow był majorem w wojsku. Służył w Iraku i jakoś wrócił cały i zdrowy. Nic mu nie będzie.

– Tato, przecież to wojna! Człowiek strzela, Pan Bóg kule...

– Nic mu nie będzie – powtórzył z niezłomnym przekonaniem.

– Obyś miał rację... – Westchnęła ciężko. – Dlaczego ludzie wciąż walczą ze sobą?

– Czasem z głupich powodów, czasem z pobudek patriotycznych. W tym przypadku chodzi o to, żeby okrutny dyktator nie rozstrzeliwał swoich rodaków za to, że kwestionują jego decyzje.

– Dobry Boże!

– Niestety taka jest prawda. Generał Machado stał na czele demokratycznego rządu złożonego ze świetnych specjalistów. Jeździł po kraju, rozmawiał z ludźmi, pytał, czego potrzebują, i mając taką wiedzę, podejmował służące ogólnemu dobru decyzje. Zakładał komitety, radził się przedstawicieli plemion, współpracował z sąsiadami w sprawie wolnego przepływu towarów, mającego stymulować rozwój całego regionu. – Ed pokręcił głową. – Wyjechał z kraju na rozmowy, a w tym czasie ten... wąż ze swoimi koleżkami przejął kontrolę nad armią i obalił rząd.

– Miły gość.

– Nazywa się Arturo Sapara. Był prawą ręką generała. Przejął władzę, zamknął stacje radiowe i telewizyjne, w redakcjach gazet umieścił swoich ludzi, tak więc kontroluje wszystkie media. Kazał zainstalować tysiące kamer i szpieguje rodaków. Jeśli ktoś mu podpadnie... znika, jak na przykład dwóch znanych profesorów przed dwoma miesiącami. Ludzie myślą, że takie rzeczy przytrafiają się wyłącznie innym. – Westchnął. – A tymczasem dzieją się wszędzie tam, gdzie przymyka się oko na niesprawiedliwości.

– Nie wiedziałam, że jest aż tak źle.

– Machado twierdzi, że nie będzie stał z boku i przyglądał się, jak ginie demokracja w jego kraju. Przygotowanie kontruderzenia zajęło mu kilka miesięcy, ale wreszcie dysponuje ludźmi i pieniędzmi, więc zamierza działać.

– Mam nadzieję, że wygra. Nie chciałabym, żeby Grange zginął.

– Nie doceniasz go. – Ed uśmiechnął się. – Jest jak kot, ma dziewięć żyć. Poza tym myśli niestereotypowo, dlatego Machado tak go ceni. Podczas drugiej wojny światowej niemieckimi wojskami w Afryce Północnej dowodził feldmarszałek Rommel. Dysponował mniejszą armią niż brytyjska, ale zależało mu na tym, by wróg myślał, że staje do walki z silniejszym przeciwnikiem. Dlatego używał przeróżnych sztuczek, na przykład za pomocą silników samolotowych zamontowanych na ciężarówkach rozdmuchiwał piasek pustyni, żeby kolumna samochodów wyglądała na znacznie większą. To się nazywa niekonwencjonalne myślenie!

– Niesamowite. Nigdy o nim nie słyszałam.

– Jak to? Nie uczyliście się w szkole o drugiej wojnie światowej?

– Oczywiście, że tak. Na przykład o generale Eisenhowerze, który został prezydentem. A, i jeszcze o Churchillu, premierze Wielkiej Brytanii.

– Dobrze, a Montgomery? Patton?

– Kto to taki?

– Pozwól, że zacytuję George'a Santayanę, profesora Harvardu, który napisał, że ci, którzy nie pamiętają przeszłości, skazani są na jej powtarzanie. – Ed dokończył kawę i wstał od stołu. – Nauczanie historii w liceum najwyraźniej kuleje.

– Historia współczesna. – Peg aż się skrzywiła. – Mnóstwo dat i mało istotnych faktów.

– I legendarne czyny.

– Skoro tak twierdzisz.

Przeszył ją wzrokiem, zaraz jednak złagodniał, dodając ze smutną zadumą:

– Kiedy my, stara gwardia, umrzemy, świat pozostanie w rękach ludzi o wąskich horyzontach.

– Wcale nie mam wąskich horyzontów! – zaprotestowała żywo. – Po prostu nie lubię historii.

– Grange lubi – zauważył.

– Tak?

– Zwłaszcza dzieje wojskowości. Często o tym rozmawiamy.

Wzruszyła ramionami.

– No to poszukam w Google'u.

– Na półce stoją książki – odparł mentorskim tonem. – Prawdziwe, papierowe książki.

– E tam, same martwe drzewa – mruknęła. – Po co ścinać piękne sosny, skoro w sieci można kupić takiego e-booka, o jakim tylko się zamarzy?

– Wychodzę. – Machnął ręką. – Zaraz mi powiesz, że najlepiej to zamknąć w całym kraju te wszystkie biblioteki i księgarnie, które jeszcze się ostały.

– Och nie... – Zawahała się. – To jednak bardzo smutne – dodała w zadumie. – Wielu nie stać na książki, nawet używane, a w bibliotece wszystko jest za darmo. Cała zgromadzona przez wieki wiedza. Co ludzie poczną, jeśli jedynym źródłem nowej wiedzy będzie szkoła?

Wrócił i uściskał ją.

– Wreszcie mówisz jak moja córka.

– E tam, tatku! – Uśmiechnęła się, a gdy rozpozgodzony ojciec ruszył do drzwi, zawołała za nim: – Ciacho?

– Poczekaj, aż kolacja się ułoży!

Zrobiła kawę, wzięła kubek i zaniósła do obory. Grange siedział na starym drewnianym krześle i doglądał jałówki, która się cielila. Oczywiście nikomu się tym nie pochwalił, ale bardzo się przywiązał do tej krówki. Nazwał ją Bossie. Przeżywała trudne chwile.

– Diabli niech wezmą byka, który spłodził to cielę – mruknął, z wdzięcznością przyjmując kawę. – Gdybym wiedział, że akurat ten gigant krył tę jałówkę, w życiu bym jej nie kupił od Toma Hayesa.

Peg wiedziała, o co chodzi. Jałówka, która celi się po raz pierwszy, powinna urodzić niewielkie cielę, a więc byk, ojciec malucha, również powinien być rozsądnych rozmiarów. Tymczasem ten, który krył Bossie, był ogromny, co oznaczało, że cielę będzie ważyło sporo, a to z kolei narażało na niebezpieczeństwo matkę.

– Mam nadzieję, że nic jej nie będzie.

– Raczej nie, o ile sprowadzę weterynarza, który spędzi przy niej całą noc. A to kosztuje.

Peg roześmiała się.

– Doktor Bentley Rydel robi to za darmo. Kocha zwierzęta.

– To dobrze, bo jego szwagier to prawdziwe zwierzę.

– Nie przepadasz za najemnikami, co? – spytała mocno zaciekawiona.

– Za większością – przyznał. – Ekipa Eba Scotta jest do przyjęcia, ale Kell Drake, szwagier Rydela, był zawodowym żołnierzem, który zrzucił kamasze i wyruszył na poszukiwanie przygód, i to w Afryce!

– Afryka jest gorsza niż Ameryka Południowa?

– O wiele! Bo każdy chce uszczknąć kawałek afrykańskiego tortu. Większość pomocy międzynarodowej nawet nie dociera do potrzebujących. Towary się sprzedaje, a kasa wędruje do kieszeni watażków. – Pokręcił głową. – Użycie siły w gruncie rzeczy niczego nie rozwiązuje. Zresztą zabiegi dyplomatyczne też nie, zwłaszcza jeśli o ten sam region walczą przedstawiciele dwóch religii. Do tego wojna klas, konflikty plemienne, żarłoczne korporacje...

– Czy ty w ogóle kogoś lubisz? – spytała, wpadając mu w słowo.

– George’a Pattona.

Roześmiała się, przypominając sobie rozmowę z ojcem.

– A kto to taki? – Gdy tylko spojrział na nią zdumiony jej ignorancją, choć poczuła się bardzo głupio, zaczęła się bronić: – Rany, Grange, przecież jestem bardzo młoda i nie mogę wiedzieć wszystkiego.

Odetchnął głęboko. Rzeczywiście była młoda. Poczuli się niezręcznie.

– George Patton to słynny generał z czasów drugiej wojny światowej. Służył na wielu frontach, przede wszystkim w Afryce Północnej i w Europie.

– Ach, ten Patton! – wykrzyknęła. – Tata opowiadał mi o niemieckim generale Rommlu. I był film, oglądałam. Czy Patton naprawdę dokonał tego wszystkiego?

– Tak, choć w filmach idą na skróty i koloryzują. Prawda jest taka, że Patton był wybitnym wodzem i prawdziwym bohaterem. W West Point studiowałem z jego dalekim kuzynem.

– Fajnie.

– Wracaj do domu. – Dokończył kawę. – Robi się zimno.

– Faktycznie. – Odebrała kubek

– Dzięki za kawę.



– Nie ma za co. – Zerknęła na krówkę. – Mam nadzieję, że Bossie da sobie radę.

– Ja też. Dzięki.

Uśmiechnęła się i wyszła.

Następnego ranka Peg wyjrzała przez okno i zobaczyła auto weterynarza. Zanim zabrała się do śniadania, wybiegła tylnymi drzwiami i pognęła w stronę obory, bo martwiła się o jałówkę.

Grange stał oparty o belkę i rozmawiał z lekarzem. Odwrócili się w chwili, gdy Peg stanęła w drzwiach.

– I co? – spytała niespokojnie.

– Byczek – z uśmiechem odparł Grange. – Matka i synek cali i zdrowi.

– Bogu dzięki... Może zostanie pan na śniadanie – zwróciła się do weterynarza. – Zrobię kiełbaski, usmażę jajka. Mamy kurczaki, a ten tu – wskazała palcem szefa – kupił tyle wieprzowiny, kiełbas, żeberek i schabu, że zamrażarka się nie domyka.

– Zapraszam – poparł ją Grange. – Peg gotuje dużo i dobrze.

– Miło, gdy cię doceniają – powiedziała uradowana.

– W takim razie chętnie się skuszę – oświadczył weterynarz.

– To ja lecę szykować śniadanie! – Peg pobiegła do kuchni. Grange'owi smakowały jej potrawy. Była wniebowzięta.

## ROZDZIAŁ DRUGI

– Co słyhać u szwagra? – spytał Grange gościa.

Bentley Rydel najpierw uśmiechnął się rozbawiony, po czym odparł:

– Kell Drake zawsze zmienia temat, kiedy pytam go, czym się aktualnie zajmuje. Ludzie mówią, że z jednym ze swoich kumpli rozkręca interes w Afryce Południowej. Ponoć chodzi o broń. Nie wiem, nie wnिकam – dodał, kiedy Grange otworzył usta, by zadać pytanie. – Szkoda zachodu. Miał współnika, ale to już przeszłość, bo słyshałem, że Rourke wybiera się z tobą na wyprawę.

– Rourke... – Grange pokręcił głową. – To dopiero udany zawodnik.

– Kto to taki? – wtrąciła Peg.

– Nie chciałabyś go spotkać – odparł Grange. – To...

Bentley podniósł rękę.

– Nie przy kobietach! – zawołał rozbawiony.

– Racja. – Grange spojrział z uśmiechem na Peg. – Wyrażę się więc inaczej. Rourke to klasa sama w sobie. Nawet Cash Grier, szef policji w Jacobsville, stara się go unikać, choć przecież ma doświadczenie w kontaktach z największymi bandziorami. Mówi się, że Kilraven, który pracował u Griera, choć tak naprawdę służy w jednej z agencji federalnych, ostro starł się z Rourkiem. Poszło o żonę Kilravena.

– Kobieciarz, co? – rzucił Ed.

– Trudno powiedzieć, choć pewnie sam tak uważa.

– Ma plecy, to mu trzeba przyznać – mruknął Bentley. – Krąży plotka, że jest nieślubnym dzieckiem miliardera K.C. Kantora, który swego czasu maczał palce w prawie wszystkich konfliktach zbrojnych w Afryce.

– Czytałem o nim – rzekł Ed. – Fascynująca postać.

– Nie ożenił się. Mówią, że zakochał się w kobiecie, która została zakonnica. Ma chrześniaka, który wżenił się w bogatą rodzinę z Wyomingu.

– No proszę! Czego to się człowiek nie dowie! – zdumiał się Ed.

– Racja. – Bentley zerknął na zegarek. – No, będę leciał. Za pół godziny mam zabieg w gabinecie. – Wstał. – Peg, dziękuję za śniadanie.

– Miło mi było ugościć. Proszę pozdrowić żonę. W szkole Cappie była kilka klas wyżej ode mnie, ale dobrze ją pamiętam.

– Przekażę – obiecał weterynarz.

Mężczyźni odprowadzili go do samochodu, zaś Peg posprzątała ze stołu, a potem poszła do siebie na górę, by przejrzeć szafę pod kątem balu. Kopciuszek, pomyślała z rozbawieniem. Oto cała ja.

Peg uwielbiała sadzić roślinki. Cieszyła się, że wiosną następnego roku hiacynty, tulipany, żonkile i narcyzy nagrodzą jej wysiłek i zakwitną kolorowo i aromatycznie. Jej zdaniem hiacynty pachniały o niebo lepiej niż najdroższe perfumy, a na tych się znała, bo sporo czasu spędzała w sklepach z kosmetykami, wachając różne ekskluzywne zapachy. Jasne, że nie było i pewnie nie będzie jej stać na kupienie sobie markowych perfum, ale będąc w centrum handlowym w San Antonio, nie potrafiła sobie odmówić powąchania próbek. Nieczęsto jeździła do sklepu, więc kiedy już to robiła, wahała na potęgę.

Posadziła ostatnią cebulkę i wstała. Białą bluzę miała całą w ziemi, włosy pewnie też. Ale co z tego? Uwielbiała pracować w ogrodzie, grzebać w ziemi. Hobby dzieliła z nią Gracie, żona Jasona Pendletona, która zresztą podarowała Peg hiacynty. Ogrodniczki zaprzyjaźniają się od pierwszego

wejrzemia.

Przyjechał Grange, wysiadł z dżipa i spojrzął na długą prostokątną grządkę, którą Peg wyznaczyła niemal tuż przy ścianie obory. Zmarszczył brwi, bo uznał, że nie jest to najlepsze miejsce dla tego celu.

– Najlepszy nawóz na wyciągnięcie ręki – oznajmiła Peg.

Dopiero po chwili dotarło do niego, w czym rzecz. Zwierzęta. Odchody. Naturalny i skuteczny nawóz.

– Jasne.

– Pani Pendleton przysłała cebulki ze swojego ogrodu. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko...

– Skąd! Baw się dobrze. Mnie to nie przeszkadza.

– Tata pojechał na targ – oznajmiła, szeroko otwierając oczy. – Nie miałbyś ochoty zniewolić mnie pod jego nieobecność?

Spojrzał na nią. Znowu się z nim drażniła i zaczynało to działać na niego w sposób, który wcale mu się nie podobał.

– Nie, nie miałbym – odparł twardo.

Odwzajemniła intensywne spojrzenie.

– Proszę cię. Rany, Grange, naprawdę zatrzymałeś się w epoce lodowcowej! Teraz wszyscy to robią!

– Ty też?

– Jasne, że ja też! – rzuciła z entuzjazmem. – Uprawiam seks praktycznie non stop, od kiedy skończyłam czternaście lat.

– Aha... – Był zszokowany, ale starał się to ukryć. Peg nie wyglądała na puszczalską. Czyżby błędnie ją ocenił?

– Przecież to nic takiego! – wykrzyknęła. – Ale z ciebie dinozaur!

Odwrócił się na pięcie i poszedł do obory. Peg rozwiązała? Nie podobało mu się to ani trochę. Był staroświecki, nie pochwalał takiego stylu życia, nawet jeśli inni nie mieli nic przeciwko temu.

W drzwiach obory stanęła Peg.

– Wiesz, wcale nie trzeba trzymać się zmurszałych zasad, które nie mają zastosowania we współczesnym świecie – wypaliła. – W telewizji wszyscy chodzą do łóżka przed ślubem.

– Właśnie dlatego nie oglądam telewizji – odparł, patrząc spode łba.

– Według ciebie kobiety powinny być święte, nosić sukienki z falbankami, nie narzucać się i nie odzywać!

– A według ciebie powinny ubierać się jak ulicznice i bluźnić każdym słowem!

Zacisnęła zęby i podeszła do niego.

– Jestem dla ciebie zagrożeniem, prawda? – syknęła. – Szalejesz za mną, ale boisz się, bo jestem młoda i niewinna...

Musiała przerwać, bo nagle Grange błyskawicznym ruchem, którego nie zdołała przewidzieć, pchnął ją na ścianę obory, przygwoździł silnym ciałem i pocałował z takim znanstwem, że serce Peg zamarło.

– A niech cię – mruknął, nie odrywając od niej ust. Chwytał ją za biodra, przyciskając do boleśnie wzbudzonej męskości.

Pożałowała swoich słów. Była przerażona. Nigdy się nie całowała... no, raz, z chłopcem, który był jeszcze bardziej nieśmiały niż ona. Wtedy pocałunek wydał się Peg odpychający, a od kiedy Grange wpadł jej w oko, w ogóle z nikim się nie spotykała.

Grange potraktował jej głupie słowa poważnie i uznał, że ma do czynienia z ekspertką. A tymczasem ona nie wiedziała nawet, co robić! Co gorsza, śmiertelnie się bała. Nigdy wcześniej nie miała tak bliskiego kontaktu z podnieconym mężczyzną. Czuła się zagrożona, tak jak groźne były

usta, które przysały się do niej, i język, który próbował wedrzeć się do jej ust. A wszystko to działo się przez te jej bajeczki o rzekomym doświadczeniu.

Położyła drobne dłonie na piersi Grange'a i pchnęła. Próbowała odwrócić głowę.

– Pro... proszę – szepnęła, kiedy wreszcie udało się jej uwolnić od napierających ust.

Grange'owi kręciło się w głowie. Peg smakowała jak najprzedniejszy francuski szampan. Jak napój, który podają w niebie. Była miękka i ciepła, subtelnie pachniała. Podnieciła go tak, jak do tej pory żadna kobieta.

Sypiała z mężczyznami, chwaliła się tym, ale kiedy Grange w końcu odzyskał zdrowy rozsądek, kiedy minęło szaleństwo chwili, zdał sobie sprawę z nerwowych ruchów jej dłoni, z jej szeptu i pełnej strachu prośby. Spojrzał prosto w szeroko otwarte, zielone oczy Peg i naraz zrozumiał, że w swoim młodym życiu nigdy nie miała mężczyzny.

– Spokojnie, nie ruszaj się! – nakazał, gdy spróbowała uwolnić biodra od jego uścisku.

Powiedział to takim tonem, że zamarła. Przełknęła ślinę, a Grange zacisnął pięści i powoli odsunął się od niej.

Przeszedł go dreszcz, ale nie zauważyła tego, bo sama trzęsa się jak osika. Oparła się o ścianę obory i założyła ręce na piersi. Właśnie, piersi wydawały się pełniejsze, skóra bardziej napięta. Zresztą w środku też czuła napięcie, zwłaszcza w pewnych miejscach. Nie wiedziała, skąd się to wzięło. Ech, powinnam była uważać na lekcjach z przysposobienia do życia w rodzinie, pomyślała. Zamiast tego, kiedy nauczycielka rozwodziła się o środkach antykoncepcyjnych i szczegółach anatomicznych – nuda! – Peg czytała książki o archeologii. Teraz jednak uznała, że teoria i praktyka nie idą ze sobą w parze.

Gdy westchnął głęboko, nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Była roztrzęsiona i zarumieniona. Widząc jej bezradność, Grange nieco spuścił z tonu. Podszedł do Peg, otulił jej twarz swoimi wielkimi ciepłymi dłońmi i zmusił, by na niego popatrzyła.

– Ty kłamczucho – zbeształ ją, uśmiechając się przy tym, i pocałował jej zamknięte oczy, smakując słone łyzy. – Nie płacz – szepnął czule. – Jesteś bezpieczna.

Usta Peg zadrżały. Nigdy wcześniej nie doświadczyła takiej pieśczości, tak przejmującej i zarazem tak bardzo oczywistej, naturalnej, i tak kompletnie innej niż gwałtowny, pozbawiony czułości pocałunek. Jak dwa różne światy.

Położyła dłonie na piersi Grange'a, przez miękką flanelę poczuła mięśnie, ciepło i rytmiczne bicie serca. Rozkoszowała się dotykiem jego ust na swej skórze.

– Właśnie się przekonaaliśmy, że kłamstwo i agresja prowadzą do nieporozumień, prawda? – mruknął.

– Prawda. Powinniśmy byli uważać na lekcjach wychowania seksualnego, zamiast czytać książki o archeologii.

– O archeologii? – zdziwił się.

– Mhm. – Uśmiechnęła się leciutko. – Lubię grzebać w ziemi, sadzić roślinki, wykopywać artefakty i takie tam. Jedno niewiele różni się od drugiego.

– Skoro tak twierdzisz – skomentował rozbawiony.

– Nie jesteś zły? – spytała niepewnie.

– Nie... Ale za to jest mi wstyd – wyznał szczerze.

– Czemu? To była moja wina. Przesadziłam. Przepraszam.

– Ja też, Peg, ja też.

– Grange... – Spojrzała na niego niespokojnie. – Ale nadal chcesz mnie zabrać na bal, prawda?

Zmrużył oczy, po czym odparł głosem miękkim jak aksamit:

– O tak, bardzo chcę.

– No to świetnie! – zawołała.

– Uciekaj. – Pocałował ją w nos. – Muszę się zająć jałówką.

– Krową – poprawiła go. – Już się ocieliła, więc przestała być jałówką.

– No tak. Muszę się zająć już nie panienką, tylko panią Bossie. – Gdy rozbawiona Peg zaczęła odchodzić, zawołał: – Poczekaj chwilkę! – A kiedy się zatrzymała i odwróciła do niego, powiedział cicho: – Peg... – Jej imię w jego ustach nabrało magicznego brzmienia. – Mój ojciec był pastorem...

Zarumieniła się na wspomnienie, w jaki sposób z nim się drażniła.

– O rany... Syn pastora... A ja...

– Posłuchaj mnie – wpadł jej w słowo. – Nie był idealnym ojcem, ale miał bardzo konkretne poglądy, w które niezłomnie wierzył i realizował w praktyce, jak powinno wyglądać życie. Miał też jasny obraz tego, co ludziom wolno, a co nie. Mówił, że tym, co nas odróżnia od zwierząt, jest szlachetność ducha i szacunek dla wszelkiego życia. Religia, jak twierdził, wraz ze sztuką stanowi podstawę każdej cywilizacji. Wraz z upadkiem jednego z tych filarów następuje upadek społeczeństwa.

– W jednej z książek o archeologii – odparła Peg – autor pisał o starożytnych Egipcjanach w rozkwicie ich cywilizacji. Na pierwszym miejscu stała u nich sztuka, na drugim praktykowana od stuleci religia. Jak długo trzymano się tych konserwatywnych pryncypiów, kraj się rozwijał, a ludzie żyli dostatnio i bezpiecznie... – Zadumała się na moment. – Natomiast Rzymianie, największa potęga starożytnego świata, zasymilowali tak wiele różnych kultur i narodów, że w końcu podzielili swój kraj, który rozpadł się pod wpływem konfliktów wewnętrznych.

– Powinnaś studiować antropologię – z uśmiechem skomentował jej wywód.

– Gdybym tylko miała okazję...

– Jason Pendleton funduje stypendia. Współpracuje z kilkoma uczelniami. Jeśli naprawdę tego chcesz, mógłby za ciebie poręczyć.

– Poważnie? Tak myślisz?

– Oczywiście.

– No tak, ale te koedukacyjne akademiki... – rzuciła niechętnie.

Przypomniał sobie tamtą rozmowę. Powinien był się domyślić, że dziewczyna, której nie podoba się wizja mieszkania w akademiku z obcymi facetami, raczej nie sypia z nimi na prawo i lewo.

Dotknął jej włosów.

– Mogłabyś wynająć coś w mieście.

– A kto by się wtedy zajął tobą i tatą?

Nagły impuls przeszył serce Grange'a. Dopiero teraz dotarło do niego, jak doskonale Peg o niego dbała. Zawsze czysta, świeżo uprana pościel, w domu nienaganny porządek, w jukach przytroczonych do siodła, gdy wyruszał na obchód swoich włości, zawsze smaczna przekąska, płaszcz wiszący na swoim miejscu w szafie, żeby nie musiał go szukać. Złota dziewczyna.

– Rozpieszczasz mnie – oznajmił z powagą – a nie jest to rozsądne. Większość życia spędziłem w surowych, koszarowych warunkach. Nie chciałbym zmięknąć.

– Raczej ci to nie grozi – zapewniła go. – Masz w sobie tę samą hardość, którą miał Hannibal, gdy walczył ze Scypionem Afrykańskim podczas wojen punickich.

– Wiesz, kim był Scypion, a nie kojarzysz Pattona i Rommla? – spytał zdumiony.

– Ty lubisz historię nowożytną, a ja starożytną – odparła z uśmiechem. – Hannibal był bardzo pomysłowy, na przykład kazał ciskać gliniane garnki wypełnione jadowitymi węzami na pokłady wrogich okrętów. Zaatakowana w taki sposób załoga na pewno tańczyła jak oparzona i skakała za burzę.

– Jak się nad tym zastanowić, to nawet dzisiaj miałyby sens...

– Tylko byś spróbował, majorze, a herpetolodzy wyszliby na ulicę i zaprotestowali przeciwko nieludzkiemu traktowaniu węży.

– Jasne – przytaknął rozbawiony. – Na pewno by powstał Komitet Obrońców Wszystkiego, co Jadowite. – Przerwał na moment. – Żartujemy sobie, a przecież na takie bzdury lub wręcz szkodliwe cele idzie mnóstwo energii społecznej. No cóż, żyjemy w ciekawych czasach, jak mówili Chińczycy.

– Obyś żył w ciekawych czasach to w istocie przekleństwo – dodała w zadumie. – Bo ciekawe znaczy niebezpieczne.

– Właśnie to miałem na myśli. – Popatrzył na nią z uwagą. Peg nikt by nie nazwał klasyczną piękną, ale była bardzo ładna, a już te jej cudowne oczy i kuszące usta... – Nie mnożmy dodatkowych niebezpieczeństw, Peg. Innymi słowy, koniec z droczeniem się ze mną – oznajmił. – Mam niski próg odporności na takie zaczepki i prowokacje, a nie chciałabyś się przekonać, do czego jestem zdolny, gdy go przekroczę.

Miała zamiar zaprotestować, ale burknęła tylko:

– Dość już o tym.

– Niczego ci nie zarzucam – powiedział, kładąc dłonie na jej ramionach. – Chodzi o to, że to nie w moim stylu. Nie jestem z tych, którzy traktują kobiety przedmiotowo, a wierz mi, że takich typów na świecie nie brakuje.

– Innymi słowy, uważasz, że najpierw ślub, potem seks, czy tak? – Zarumieniła się, bo zabrzmiało to tak, jakby chciała, żeby się oświadczył. Jasne, że chciała, ale przecież mu tego nie powie.

– Kiedyś pewnie dojrzeję do małżeństwa, ale jeszcze nie teraz. Czeka mnie niebezpieczna misja, więc nie mogę sobie pozwolić na myślenie o czymkolwiek, co będzie mnie rozpraszało, rozumiesz?

– Tak, rozumiem... – Poczowała ucisk w żołądku. Nie dopuszczała do siebie myśli, że Grange'owi coś może się stać, a nawet jeśli już, to jej przy tym nie będzie. Uznała jednak, że czarnowidztwo to głupia postawa i powinna przestać snuć takie wizje.

– Nie bój się, stary wyga ze mnie, potrafię to i owo, nie chwając się, jestem dobry w tym, co robię. Dlatego generał Machado mianował mnie dowódcą.

– Wiem – rzekła cicho. – Tata twierdzi, że jesteś urodzonym przywódcą, a to, że zmuszono cię do odejścia z wojska, jest haniebnie.

– Wiesz, Peg, tak samo jak mój ojciec uważam, że nic nie dzieje się bez przyczyny. I że są powody, dla których w naszym życiu w określonym momencie pojawiają się inni ludzie.

– Też tak myślę – zgodziła się z uśmiechem.

– Cieszę się, że zjawiłaś się w moim życiu... – Musnął palcami jej usta. – Ale w tej chwili jesteśmy tylko przyjaciółmi, dobrze?

Westchnęła dramatycznie, po czym spytała:

– Czy w takim razie mam odnieść te wszystkie prezerwatywy do apteki? – Gdy roześmiał się głośno, pokręcił głową i odszedł, zawołała za nim: – Czy to znaczy „nie”?

Machnął ręką, nie odwracając się, a Peg uśmiechnęła się pod nosem.

W dniu Balu Hodowców Peg od samego rana była tak przejęta, że przypaliła bułeczki, które piekła na śniadanie. Zaczęła przygodę z gotowaniem w wieku dwunastu lat i od tamtej pory ani razu jej się to nie zdarzyło.

– Strasznie przepraszam! – powiedziała, stawiając bułeczki na stole.

– Każdemu może zdarzyć się wpadka – zapewnił ją Grange. – Jajka i boczek są za to doskonałe, zresztą i tak jemy zbyt dużo pieczywa.

– Pieczywa, które tak naprawdę jest mutantem – skomentował Ed. – Ziarna są modyfikowane genetycznie, mieszają się z niemodyfikowanymi, bo siew prowadzi się z samolotu, tak jak opylanie. Nie wiem, czy ci geniusze w laboratoriach nie zdają sobie sprawy, że pyłki kwiatowe przemieszczają się?

– Co jest złego w modyfikowanych ziarnach? – spytał Grange.



– Mam film o GMO, pożyczę ci – ponuro odparł Ed. – Uważam, że nie powinniśmy grzebać w tym, co stworzyła natura. Słyszałem, że to samo będą robili z ludźmi, to całe in vitro, będą zmieniali kolor włosów i oczu i tak dalej. – Nachylił się nad stołem. – Ponoć w laboratoriach łączą geny ludzi i zwierząt.

– To akurat prawda – przyznał Grange. – Naukowcy szukają sposobów na modyfikację struktury genetycznej po to, by zapobiegać chorobom dziedzicznym.

Ed przeszył go wzrokiem, a potem wycelował w Grange'a palcem.

– Poczekaj no tylko. Niedługo zrobią człowieka z głową ptaka albo szakala czy coś w tym guście, jak w Egipcie. Myślisz, że starożytni Egipcjanie to sobie wymyślili? Założę się, że ich cywilizacja była równie rozwinięta jak nasza i sami tworzyli takie monstra!

Peg wstała i podejrzliwie rozejrzała się po pomieszczeniu.

– Co ty wyprawiasz? – spytał Ed.

– Szukam ukrytej kamery.

Grange ryknął śmiechem.

– Wiesz, Ed, to dość odważna teoria.

– Barbara Ferguson, wiecie, ta z Barbara's Café w Jacobsville, głosi takie poglądy, a ja myślę, że coś w tym jest. – Ed był wyraźnie zażenowany. – Czasem przy lunchu rozmawiamy o tym, co piszą w internecie.

– Pamiętaj, że tego rodzaju strony są w gruncie rzeczy internetowymi brukowcami – zauważył Grange. – Kiedyś Barbara przekonywała mnie, że jeśli urządzenia elektryczne będziemy przechowywać w butelkach lejdejskich, to staną się odporne na impulsy elektromagnetyczne. Chodziło jednak o klatkę Faradaya. Kiedy ją poprawiłem, obraziła się na mnie. Uwierzyła, dopiero kiedy wyjąłem telefon i znalazłem w sieci wiarygodne źródła.

– Oj, to chyba będę musiał sprawić sobie taką butelkę lejdejską – powiedział Ed z uśmiechem.

– Daj znać, jeśli uda ci się coś takiego zbudować.

– Co ty. Nie studiowałem fizyki, uczyłem się o hodowli zwierząt.

– W liceum oblałam fizykę – wtrąciła Peg – dlatego musiałam się przenieść do klasy biologicznej. W sumie nie mam nic przeciwko fizyce, a nawet jakoś ją lubię, bo opisuje te wszystkie zjawiska, które nas otaczają, ale kłopot w tym, że słabo ją rozumiem, dlatego zawaliłam test.

– Miałem dość intensywne zajęcia z fizyki na studiach – odparł Grange. – Zaliczyłem na dobrą ocenę, ale zdecydowanie bardziej wolałem nauki polityczne.

– Machado może ci zaproponować stanowisko w rządzie – stwierdził Ed. – Może szefa sił zbrojnych Barrery?

– Na razie to tylko teoria – pogodnie odparł Grange – ale oczywiście myślałem o tym. Armia potrzebuje gruntownej reformy, a ja wiem, na czym powinno to polegać.

Peg zbladła. To by oznaczało, że Grange po interwencji, nawet jeśli okaże się sukcesem, nie wróci do domu. Niewykluczone, że już nigdy się nie zobaczą. Popatrywała na niego, uważając, by się nie zorientował. Stał się najważniejszą osobą w jej życiu. Po szalonym i namiętym pocałunku nie była w stanie zasnąć. Grange jej pragnął, wiedziała o tym. Nie potrafił tego ukryć. Sęk w tym, że ani nie szukał żony, ani nie gustował w romansach. Czyli był w doskonały sposób nieosiągalny.

Musiał wyczuć smutek Peg, bo nagle odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. Jakby trafił ją piorun. Zarumieniła się i najszybciej, jak potrafiła, odwróciła wzrok, przede wszystkim po to, żeby ojciec nie zorientował się, co się dzieje za jego plecami.

Jednak Ed, choć nawet okiem nie mrugnął i nie odezwał się słowem, zerkając to na córkę, to na szefa, pomyślał sobie to, co sobie pomyślał.

Nieco później Ed przydybał córkę w kuchni, zanim poszła do siebie, by przebrać się przed wyjazdem na bal.

– Co się dzieje między tobą a Grange'em? – spytał bez ogródek.

– Niestety nic, tato – odparła ze smutkiem. – Jego ojciec był pastorem i wpoił synowi swoje zasady, a skutek jest taki, że Grange nie uznaje romansów.

– Żartujesz sobie! – Ed nie krył zdumienia.

– Tylko mówię, co usłyszałam. Nie pije, nie pali i nie... hm, nie dogadza sobie. Uważa, że najpierw małżeństwo, potem... te rzeczy. Ale nie ma ochoty się żenić.

Mina Eda złagodniała.

– No proszę! – Ed nie był już zdumiony, natomiast Grange awansował w rankingu osób godnych szacunku.

– No więc zabiera mnie na bal, ale – dodała z błyskiem w oku – nie masz powodów do obaw. Nie, nie pojedziemy potem do motelu.

– Nie nadążam. – Wzruszył ramionami. – Nie potrafię żyć na takim świecie. Chociaż w naszych stronach nie jest jeszcze tak najgorzej – dodał po chwili namysłu.

– Owszem, bo mieszkamy w mieście dinozaurów – skomentowała Peg. – Mamy tu mnóstwo towarzystwa.

– Świetnie to ujęłaś. – Uśmiechnął się. – W dodatku żyjemy przeszłością. Spójrz tylko na rynek, jak ładnie został przystrojony na święta. Lampki, ostrokrzew, Święty Mikołaj, renifery...

– Chocinki w każdym biurze i urzędzie – dodała ze śmiechem. – Uwielbiam Boże Narodzenie.

– Tak samo jak Gracie Pendleton – przypomniał jej Ed. – Dom w San Antonio wystroiła, jakby brała udział w światowym bożonarodzeniowym konkursie, a całe ranczo przybrała na czerwono. Błyszczą już z daleka.

– Mam nadzieję, że w tej sukni od projektantki też będę błyszczała podczas balu – powiedziała Peg. – Fryzjerka pokazała mi, jak ułożyć włosy. I włożę perły po mamie... – Posmutniała. Choć minęło już tyle czasu, nadal boleśnie odczuwali tę stratę.

– Twoja matka uwielbiała przyjęcia – nostalgicznie dodał Ed. – Ale nie każde i nie w każdym towarzystwie. Wiesz, byliśmy do siebie podobni. Dwoje outsiderów, którzy nigdzie tak do końca nie pasowali. Mieliśmy tylko siebie.

– Teraz masz mnie. – Peg przytuliła się do niego.

– A ty mnie. Mam nadzieję, że to będzie najlepszy wieczór w twoim życiu.

– Kto wie? – Już nie mogła się doczekać.

Suknia była srebrna z czarnymi wstawkami. Odsłaniała jedno ramię, kusząco spływała po jędrnych piersiach Peg. Sięgała do kostek, była dopasowana w talii i miała rozkloszowany dół. Była uszyta z tkaniny podkreślającej wszelkie miękkie krągłości. Góra sukienki była łukowata, upięty na jednym ramieniu materiał wędrował na ukos. Krój sukienki i jej kolor doskonale podkreślały piękną jasną cerę Peg.

Na szyi miała naszyjnik z beżowych pereł, do niego pasujące kolczyki, również z perłami. Blond włosy Peg uczesała w kok, mocując go spinkami ze sztucznymi perłami. Kilku frywolnym kosmykom pozwoliła uciec. Makijaż ograniczyła do niezbędnego minimum, ot, trochę pudru i szminka. Darowała sobie kredkę do oczu i tusz do rzęs. Projektantka, która wypożyczyła suknię, była tak miła, że dodała stosowne czółenka. Na szczęście, bo garderoba Peg ograniczała się do tenisówek i pary znoszonych mokasynów, a budżet nie pozwalał na zakup bardziej wyszukanego obuwia.

Gdy przejrzała się w lustrze, spodobała się samej sobie. Wiedziała, że nigdy nie będzie Miss Świata, ale miała ładny uśmiech, niezłe usta i zalotne spojrzenie. Może to wystarczy. Miała nadzieję, że nie da plamy i dobrze się zaprezentuje w towarzystwie tych wszystkich naprawdę pięknych dam.

Na szczęście większość z nich była zamężna, więc nie musiała się obawiać konkurencji.

Co zaś się tyczy okrycia wierzchniego, to miała wprawdzie płaszcz, który dostała od ojca zeszłej zimy, ale kiedy zajrzała do szafy i popatrzyła na niego, tylko się skrzywiła. Płaszcz był wściekle różowy, nijak nie pasował do eleganckiej sukni, a jak na złość akurat tego wieczoru zrobiło się wyjątkowo zimno i wiał silny wiatr. Nie mogła wyjść w samej sukience.

Zdesperowana zaczęła przeglądać zawartość szafy, szukając czegokolwiek, co mogłoby się nadać, niestety znalazła tylko sportową kurtkę i drugą, skórzaną i bardzo starą.

Kiedy zrozpaczona załamała ręce, rozległo się pukanie do drzwi. Poszła otworzyć, bo wiedziała, że Ed był w oborze przy cielaku i Bossie. Ze zdziwieniem zobaczyła w progu jednego z kowbojów Jasona Pendletona.

– Mam coś dla pani, panno Peg. – Z uśmiechem wręczył jej torbę. – Pani Pendleton uznała, że w taką pogodę przyda się pani płaszcz, więc postanowiła go pani pożyczyć. Powiedziała, że nie powinien być za długi.

– Och, jak miło z jej strony – odparła szczerze wzruszona taką przyjacielską troską.

– Ładnie pani wygląda – równie szczerze powiedział kowboj.

– Dziękuję! – Uradowana komplementem wzięła torbę, w której był elegancki ciemny płaszcz z kołnierzem z norek. Z przyjemnością pogładziła futerko. – Proszę powiedzieć pani Pendleton, że zadbam o jej płaszcz. I oczywiście proszę podziękować!

– Pani Pendleton prosiła przekazać, że życzy szampańskiej zabawy.

– Dzięki.

Kowboj skinął głową i wrócił do pikapa.

Peg zamknęła za nim drzwi i przymierzyła płaszcz. Przejrzała się, nie mogąc uwierzyć, że tą piękną kobietą, którą widzi w lustrze, jest zwyczajna dziewczyna o imieniu Peg. Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Czuję się jak Kopciuszek – szepnęła.

Miała tylko nadzieję, że o północy jej powóz nie zamieni się w dynię, a piękne szaty nie staną się nędznymi szmatami.

# ROZDZIAŁ TRZECI

Grange przyszedł się przebrać pół godziny przed wyjściem na imprezę.

Peg była w swoim pokoju. Usłyszała szum prysznic na piętrze i czekając na Grange'a, włączyła wiadomości w telewizji. Ale ponieważ były, jak to wiadomości, w większości przygnębiające, przeskoczyła na kanał historyczny i zaczęła oglądać film dokumentalny o ewolucji broni, o tym, jak myśliwi sprzed tysięcy lat przerzucili się z dzidy na łuk.

Tak się zapatrzyła, że nie zwróciła uwagi na upływ czasu, aż wreszcie rozległo się pukanie. Zerknęła na zegarek, wyłączyła telewizor i zarumieniona i przejęta, z czym bardzo jej było do twarzy, otworzyła drzwi. Grange, ubrany w ciemny garnitur z muszką, spojrzał na nią i z wrażenia zabrakło mu słów.

– Może być? – spytała z nadzieją w głosie.

– Wspaniale, skarbie, wspaniale wyglądasz – odparł zmysłowym tonem, który w połączeniu z czułym słówkiem sprawił, że serce Peg podskoczyło z radości. – Gotowa?

– Tak! – Sięgnęła po płaszcz. – Pani Pendleton mi go pożyczyła. Domyśliła się, że potrzebuję czegoś, co będzie pasowało do sukni.

Grange, pomógłszy Peg włożyć płaszcz, nie zabrał rąk. Przeciwnie, lekko zacisnął dłonie na jej ramionach.

– Miło z jej strony.

– Prawda? Cudowna osoba.

– Tak samo jak ty... – Zsunął ledwie włożony płaszcz z ramion Peg i delikatnie pocałował ją w szyję. Poczul, że zadrżała. – Pięknie pachniesz – szepnął.

Odchyliła głowę i przymknęła oczy. Grange położył dłonie na biodrach Peg, delikatnie obrócił ją do siebie i znów pocałował w szyję, po czym przesunął się niżej, ominął sznur pereł i dotarł aż do brzegu sukni, która kończyła się tuż nad piersiami.

– Mógłbym zdjąć ci ten gorset – szepnął, nie przerywając pieszczoty – i krążyć ustami po twoich piersiach, aż trafiłbym na schowane pod materiałem różowe...

Czuła się kompletnie bezbronna, a zarazem pełna nadziei, niecierpliwa. Była jednym wielkim oczekiwaniem. Grange powoli odsunął materiał, a jego gorące usta dotknęły jej skóry. Peg pragnęła tylko tego, by uwolnił ją od ogromnego napięcia, które w niej narosło.

Rozsunął zamek i ściągnął materiał, spod którego wyłoniły się różowe twarde sutki, i jeden z nich zaczął pieścić ustami. Peg jęknęła bezradnie, co jeszcze bardziej go zachęciło, dzięki czemu zaofiarował jej doznania, jakich do tej pory nie znała. Wbiła się paznokciami w jego marynarkę. Kręciło się jej w głowie, płonęła z rozkoszy, przepełniało ją pożądanie, z jakim nigdy wcześniej nie miała do czynienia.

Nagle coś się zaczęło dziać przed domem. Co to za hałas? Och, po prostu silnik, samochód... A po chwili trzasnęły drzwi.

– Tata! – wykrzyknęła, jednak do Grange'a to nie dotarło, tylko szykował się do tego, by pokryć pieszczotami drugą pierś. – Tata! – znów wykrzyknęła.

– Tata? – szepnął półprzytomnie.

– No, tata! – powtórzyła.

Dłoń, którą ujmował pierś, zamarła.

– Cholera... – mruknął.

– Masz rację, cholera. – Roześmiała się.

Westchnął głęboko. Raz jeszcze rzucił okiem na biust Peg, podziwiając czerwone ślady po namiętym pocałunku, i szepnął zachwycony:

– Piękne...

To było dla niej takie nowe. Zupełnie jakby coś w niej wzbierało i domagało się ujścia. Ciekawe, czy z nim jest tak samo, pomyślała.

Niechętnie sięgnął do zamka błyskawicznego i zapiął sukienkę. Na szczęście pod materiałem zniknęły czerwone ślady po gorących pocałunkach.

– Powinniśmy już iść – powiedział.

– Tak, już pora.

Wyszedł pierwszy, Peg zaraz za nim, nie zapominając o zabraniu torebki, która była w komplecie z sukienką. Szli korytarzem, zmierzając w stronę drzwi, kiedy do domu wszedł Ed i przyjrzał im się uważnie. Wyglądali świetnie, zupełnie jakby otaczała ich świetlista aura.

– Ależ z was para – powiedział z promiennym uśmiechem. – Bywalec i bywalczyni.

– Dzięki, tato – odparła Peg.

– Raczej udający bywalca – skomentował rozbawiony Grange. – Nas, ludzi pracy, nie da się pomylić z prawdziwymi lwami salonowymi.

– Ja tam lubię to, kim jestem – stwierdził Ed. – Bawcie się dobrze.

– Tak zamierzamy – odparła Peg. – Do zobaczenia, tato.

– Wrócimy przed północą – oznajmił Grange. – Jutro mam dużo pracy.

– Jasne, jasne – mruknął Ed.

– Chodźmy już – niecierpliwie powiedziała Peg. – Przecież nie chcemy się spóźnić. – Wychodząc, puściła do ojca oczko.

W drodze na bal Grange milczał. Kilkanaście minut wcześniej, w pokoju Peg, całkowicie stracił nad sobą panowanie. Jak dobrze, że przyjechał Ed! Przecież od łóżka dzieliły ich tylko dwa kroki... Peg wyraźnie miała do niego słabość, a on do niej. Co za ulga, że Ed uratował ich przed nimi samymi.

Gdy Grange milczał uparcie, Peg zaczęła się denerwować. Nie potrafiła mu się oprzeć, rozpaczliwie go pragnęła, jednak wiedziała, że ani nie jest playboyem, ani nie myśli o żeniactwie. Więc co? W dodatku za kilka dni wyjeżdżał i mogli się już nigdy nie zobaczyć. Perspektywa była przerażająca, tym bardziej po tym, co zaszło w domu. Peg nadal czuła przyjemne mrowienie w piersiach.

Spojrzała na niego ukradkiem. Czyżby go rozgniewała? A może była zbyt chętna? Powinna była się opierać? Ale niby po co? Przecież Grange musi być na tyle doświadczony, by zorientować się, co ona do niego czuje. A jednak powtarzał, że jest młoda. Czy chciał przez to powiedzieć, że zbyt młoda dla niego? Czy jej wiek mógł stać się przeszkodą? Czy od pieszczot mogli przejść do czegoś więcej?

– Przestań się zadreć – mruknął Grange.

Aż podskoczyła, po czym roześmiała się i spytała:

– Skąd wiedziałeś?

– Stąd, że zaraz zawiążesz torebkę w supeł.

– Och! – Położyła torebkę na kolanach i wygładziła ją. – Pożyczona.

– Pożyczona?

– Tak samo jak sukienka i buty. Strój Kopciuszka. – Nachyliła się do niego na tyle, na ile pozwalały pasy. – Uprzedzam, że o północy piękna sukienka zamienia się w łachmany.

– Nawet w nich będziesz pięknie wyglądała.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście. – Obdarzył ją szybkim, ale ciepłym spojrzeniem, i ponownie skupił się na

prowadzeniu.

Peg dumiała przez chwilę, po czym ku zaskoczeniu Grange'a spytała:

– Macie broń automatyczną, rakiety i tak dalej, tak jak na filmach? – Nie kryła niepokoju, ale i zaciekawienia.

– Tak – odparł z uśmiechem. – Tyle że ja głównie będę się zajmował wywiadem oraz koordynacją działań miejscowych oddziałów i naszego.

– Aha. Czyli nie będziesz brał udziału w wymianie ognia, nie będą do ciebie strzelali, prawda? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Jasne, że nie – odparł, uznając, że nie ma sensu niepotrzebnie martwić Peg.

– Och, jak dobrze. – Wyraźnie jej ulżyło.

To było proste. Grange nie powiedział Peg o szkoleniu u Eba Scotta z użyciem najnowszego uzbrojenia, na przykład pocisków odpalanych z dużej odległości. Zdawał sobie sprawę, że operacja nie będzie należała do łatwych i nie obejdzie się bez rozlewu krwi. Paru jego chłopców na pewno nie wróci do domu. Sam brał w niej udział ze szlachetnych pobudek, chciał obalić dyktatora gnębiącego niewinnych ludzi. Ale pamiętał też o niezłej sumce, którą można było zarobić, a że miał ambitne plany co do rancza... Potrzebował pieniędzy, aby ostro ruszyć do przodu. Chciał mieć coś, co sam zdobył, nie zaś otrzymał od Jasona Pendletona w dowód wdzięczności. Samodzielnie, pracą własnych rąk, pragnął przemienić się z drobnego ranczera w wielkiego biznesmena. Oczywiście wiązało się z tym spore ryzyko, ale kto nie ryzykuje, ten nic nie zyskuje. Choć jego życie mogło potoczyć się zupełnie innym torem, ponieważ Machado przebąkiwał, że kiedy odzyska władzę, będą do objęcia ministerialne teki w nowym rządzie. Były to czytelne aluzje, niby nic konkretnego, jednak generałowi musiało chodzić o to, by Grange oswoił się z tą myślą. Więc się oswajał, chociaż nigdy wcześniej nie brał pod uwagę przeprowadzki do innego kraju, ba, na inny kontynent!

– Masz strasznie poważną minę – zauważyła Peg.

Jej słowa wyrwały go z zamyślenia. Spojrzał na nią skonsternowany. Czy w jego planach jest miejsce dla Peg? Była bardzo młoda, miała raptem dziewiętnaście lat. Czy to nie za mało? Bał się pomyśleć, że mógłby zabrać ją z kraju, w którym dorastała, i rzucić na całkiem nieznaną, głęboką i niebezpieczną wodę. Zresztą nowy rząd powstanie dopiero po militarnym zwycięstwie, które nastąpić może za kilka tygodni, miesiący, lat... Ot, wielka niewiadoma. Grange zebrał już sporo informacji o nastrojach panujących w Barrerze, o opozycji sprzeciwiającej się reżimowi i rodzącej się partyzantce miejskiej, o oddziałach powstańczych kryjących się w dżungli, o tym, jakie muszą być spełnione warunki, by powstała zdolna do zwycięstwa prawdziwa armia wyzwolenicza. A może do obalenia tyrana wystarczy doskonale przygotowana akcja komandoska? To były najważniejsze pytania, ale innych pytań było mnóstwo. Owszem, Grange dowodził oddziałem złożonym ze znakomitych fachowców, ale uzyskanie pełnego obrazu wymagało intensywnej i być może trwającej bardzo długo pracy na miejscu, w Barrerze.

– Myślałem o różnych rzeczach – odparł po chwili.

– To przestań – poradziła z uśmiechem. – Jedziemy na bal. Bawmy się, jakby świat miał się zaraz skończyć, okej?

– Okej.

Centrum kulturalne Jacobsville było już świątecznie przystrojone. Wszędzie wisały ostrokrzewy, lamety i złote dzwoneczki, a w środku stała wielka choinka udekorowana ozdobami wykonanymi przez dzieci z sierocińca i pracowników schroniska dla zwierząt. Pieniądze zebrane podczas Balu Hodowców miały zasilić konta obu tych opiekuńczych instytucji.

Mieszkańcy miasta stosownie do okazji ubrali się bardzo odświętnie. Aptekarka Bonnie włożyła czerwoną suknię wypożyczoną z butik i przysłała w towarzystwie przystojnego hodowcy w średnim



wieku. Rancier nie mieszkał w Jacobsville, a przyjechał na bal rolls-royce'em. Gdy tylko zobaczył Grange'a, oczy mu rozbłyły, jakby go rozpoznał, i podszedł do niego.

– Maxwell – przedstawił się. – Chciałbym porozmawiać.

– Obiecuje, że znajdę czas przed końcem balu – z powagą odparł Grange.

– Skąd go wystraszyłaś? – spytała szeptem Peg.

Bonnie, odgarniając z czoła blond lok, uśmiechnęła się od ucha do ucha i powiedziała:

– Przyszedł do apteki zrealizować receptę dla znajomego, no i zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że uwielbia epokę Tudorów. No i widzisz, co z tego wyszło!

– Powodzenia – szepnęła Peg.

– Wciąż wydaje mi się, że to sen – odparła Bonnie.

Maxwell wziął ją za rękę i z uśmiechem skłoniwszy się pozostałym, zaprowadził na parkiet.

Ubrana na zielono Nancy i mająca na sobie złotą suknię Holly, obie również aptekarki, stały z boku, przypatrując się Bonnie i jej partnerowi.

– Ciekawe, czy ten przystojniak nie ma dwóch wolnych kolegów – podkpiwała Peg.

Roześmiały się, po czym Nancy powiedziała z westchnieniem:

– Niesamowite, że wszystkie mamy na sobie takie ciuchy, co?

– Lep na facetów – mruknęła Peg w chwili, gdy jeden z zarządców, naprawdę niezłe ciacho, z ukłonem poprosił Nancy do tańca.

– O czym rozmawiałyście? – spytał Grange, zabierając Peg na parkiet.

– O pożyczonych sukniach i magii imprez. – Patrzyła na niego zauroczona. Był niesamowicie przystojny, wprost nie mogła uwierzyć, że tańczy z nim, choć wydawało się, że zepsuła wszystko tymi niezdnymi zaczepkami i prowokacjami. Ale naprawdę tańczył z nią, co więcej, zachowywał się tak, jakby bał się wypuścić ją z rąk. Fakt, zatańczył jeszcze z dwiema starszymi paniami, ale poza tym był do wyłącznej dyspozycji Peg.

– Ludzie będą gadali – stwierdził z krzywym uśmiechem, gdy dostrzegł, że pozostali interesują się nimi ponad zwykłą miarę.

– A niech gadają. – Peg wzruszyła ramionami. – Mam to w nosie, a ty?

– Ja tak samo. Ale pamiętaj, że niedługo wyjeżdżam. – Gdy dostrzegł, jak bardzo posmutniała, przytulił ją do siebie. – Hej, głowa do góry. Baw się, jak się umawialiśmy.

– Dobrze. – Zamknęła oczy i wtuliła się w niego. Ale przez chwilę poczuła się tak, jakby już wyjechał. I wiedziała, że trudno będzie znieść rozłąkę.

Zaczekali do ostatniego tańca. Grange zostawił Peg w towarzystwie Justina i Shelby Ballengerów, sam zaś wyszedł przed budynek z hodowcą, który przyjechał rolls-royce'em.

– Kroi się coś poważnego, mam rację? – zagadnął Justin.

– Masz – cicho odparła Peg

Justin i Shelby, razem z bratem Justina, Calhounem, byli właścicielami dużej firmy Ballenger Brothers Feedlot i należeli do elity finansowej. Shelby pochodziła w prostej linii od założyciela Jacobsville, którym był Big John Jacobs. Para miała swoje wzloty i upadki, ale była ze sobą szczęśliwa.

Grange wkrótce wrócił. Wyglądał na zadowolonego.

– Czas na nas – powiedział. – Świetna impreza. Mam nadzieję, że uzbieraliśmy furę pieniędzy.

– Owszem – odparł Justin, obejmując Shelby. – Podobno padł rekord.

– O, to super.

– Uważaj na siebie podczas misji. – Justin uściśnął dłoń Grange'a. – Szczytny cel to jedno,

a niebezpieczeństwo to drugie.

– Wiem o tym. I dziękuję.

– Będziemy się modlili za ciebie i twoich chłopców – dodała Shelby.

Grange skinął głową, wziął Peg pod ramię i zaprowadził do samochodu. Akurat trafili na moment, w którym rolls-royce odjeżdżał z parkingu.

– Będzie miała o czym opowiadać! – wykrzyknęła Peg. – Muszę załatwić sobie receptę, to pójdę i się wszystkiego dowiem.

– Kobiety i plotki...

– Mężczyźni też plotkują – odparowała.

Tylko się skrzywił.

Peg miała nadzieję, że zatrzymają się gdzieś po drodze, skręca w samotną, pustą uliczkę, jednak ku jej rozczerowaniu Grange podwiózł ją pod same drzwi. W domu paliło się światło, więc ojciec jeszcze nie spał.

Grange odprowadził ją na ganek. Miał bardzo poważną minę.

– Peg, zrobiliśmy falstart – powiedział łagodnie. – Nie ma sensu komplikować spraw. Nie teraz. Muszę się skupić przed wyjazdem, muszę mieć jasny umysł. Jeśli coś... lub ktoś będzie mnie rozpraszał, skutki mogą się okazać fatalne.

Tak oto dopadła ją twarda rzeczywistość. Starła się o tym nie myśleć, ale musiała stawić czoło faktom: Grange jechał na wojnę, nawet jeśli oficjalnie jej nie prowadzono. Mógł z niej nie wrócić. Zaczęła ogarniać ją panika.

– Posłuchaj, w wojsku dosłużyłem się stopnia majora. Byle kogo nie awansują. Po prostu trzeba się znać na rzeczy, rozumiesz?

– Rozumiem... – odparła słabym głosem.

Nagle uśmiechnął się szeroko.

– Wesołych świąt.

– Też ci tego życzę, Grange. Nic dla ciebie nie mam. Może powinnam ci coś wysłać? Ciepłe skarpetki? – próbowała zażartować.

– Do tropikalnej dżungli?

Westchnęła.

– No tak... Więc moskitierę i trutkę na węże?

– O, to już lepiej. Postaram się przekazywać wieści o tym, co się dzieje, za pośrednictwem twojego ojca, ale niczego nie obiecuję. Będę miał przy sobie telefon, ale wróg może wykorzystać sygnał do namierzenia nas. Nie wolno nam go lekceważyć. Większość żołnierzy szkolił sam Machado, w dodatku spodziewamy się, że niewielu przejdzie na naszą stronę. Ludzie z reguły nie lubią nagłych zmian.

– Ja ich w ogóle nie lubię – powiedziała. – Zostań.

– Nie mogę. Kto siedzi w domu, ten nie ma wpływu na historię.

– Wiem. – Westchnęła ciężko. – Uważaj na siebie.

– Będę.

Nie zważając na to, że Ed był w domu i w każdej chwili mógł wjść, pocałował ją tak czule, że Peg aż zaszumiało w głowie.

– Jesteś dla mnie kimś wyjątkowym. – Patrzył jej głęboko w oczy. – Wrócę do domu. Długo byłem sam, Peg. Czas to zmienić.

– Też tak myślę – zdołała wyszeptać.

– Moja kochana. – Pocałował ją w czubek nosa. – Wrócę, zanim się obejrzyysz.

– Trzymam cię za słowo. – Zmusiła się do uśmiechu.

– Dobranoc, Kopciuszku. – Pocałował ją raz jeszcze, po czym poszedł do samochodu.

Patrząc za nim, czuła narastającą tęsknotę. On zaś już wiedział z absolutną pewnością, że Peg jest dla niego kimś wyjątkowym, i nie chciał być już sam. Wiedziała to i czuła to samo. Wiedziała też, że może zrobić tylko jedno: wzbudzić w sobie niezłomną nadzieję.

Następnego dnia był już w obozie powstańców. Generał Machado przekazał mu podstawowe informacje, po czym Grange zajął się sprzętem, a także ustalał szczegóły ze swoimi ludźmi. Nie myślał o Peg, tak jak nie myślał o deserze lodowym i meczu w telewizji, ponieważ nie mógł sobie pozwolić, by wspomnienie miękkich ust wpłynęło na jego koncentrację.

Machado miał ponurą minę.

– Mamy ludzi, mamy sprzęt – powiedział. – Mamy pieniądze, głównie dzięki tobie i panu Pendletonowi, ale nie mamy lotnictwa, nie mamy transporterów...

– Rewolucje dawały sobie radę bez jednego i drugiego, o ile mogły polegać na oddanych zwolennikach i dobrym rozpoznaniu – stwierdził Grange. – Wywiad to mój atut. Wiem, jak zorganizować ruch oporu. Robiłem to w Iraku, zrobię to też w Barrerze.

– Podnosisz mnie na duchu – z uśmiechem powiedział Machado. – Walczę o słuszną sprawę. Popełniłem błąd, zostawiając kraj w rękach żadnego władcy zdrajcy, przez co zginęło wielu ludzi. Martwię się o Maddie – dodał strapiony. – Jest moją serdeczną przyjaciółką, amerykańską archeolog prowadzącą badania niedaleko stolicy. Odkryła coś ważnego. Najgorsze, że nie wiem, co się z nią dzieje. Jeśli ją złapano, zapewne już nie żyje. Nigdy nie zapomnę, że pośrednio przyczyniłem się do jej śmierci. Przypuszczam, że taki sam los spotkał dwóch moich znajomych profesorów. Że też przez moją nierozwagę musiało zginąć tak wiele wartościowych osób.

– Nie draż przeszłości i nie zastanawiaj się nad przyszłością – poradził Grange. – Żyj dniem dzisiejszym.

– Masz rację – z ciężkim westchnieniem odparł Machado. – O, wiadomość od amerykańskiej dziennikarki z magazynu ilustrowanego. Chciałaby z nami pojechać... – Pokazał Grange'owi zdjęcie w piśmie. – Nazywa się Clarisse Carrington...

– O nie! – wycedził Grange. – Tylko nie ona. To prawdziwa zakała! Jak się dowiedziała o naszej misji?

– Znasz ją?

– Spotkałem tę damulkę na Bliskim Wschodzie. Pisała jakiś artykuł – wyjawiał, nie kryjąc niechęci. – Potem w Waszyngtonie podczas jakiegoś przyjęcia nie miałem ochoty tańczyć, jak mi zagra, więc uznała, że zraniłem jej ego. Zaczęła za mną łązić. Zjawiała się na imprezie w stolicy, na którą poszedłem z kumplami z wojska. Zignorowałem ją, więc znów się wściekła. Potem natykałem się na nią dosłownie wszędzie, gdziekolwiek tylko poszedłem.

– Rozumiem.

– Ona uważa, że nie można się jej oprzeć. Można.

– Z tego wniosek, że najpewniej cię szukała. Musiał nastąpić przeciek o naszej operacji i tak się dowiedziała, gdzie jesteś. Oczywiście odmówię jej.

– Dzięki. – Grange spojrział na okładkę i zainteresował się tytułem jednego z artykułów. Otworzył pismo na odpowiedniej stronie, czytał przez chwilę, po czym powiedział cicho: – A niech to...

– Co znowu?

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o oficerze, który uznał, że posłużyłem się jego strategią, i postawił mnie przed sądem wojskowym? Tym, przeciwko któremu zeznawałem?

– Tak, pamiętam.

– Popełnił samobójstwo.

– Mój Boże!

– W artykule o wszystkim piszą. Miałem nadzieję, że ta sprawa między nami nie wypłynie, a to dla

dobra jego rodziny. Niestety tu jest napisane, że zarzucono mu szantaż i przywłaszczenie środków przeznaczonych na zakup wyposażenia. Jego syn twierdzi, że winnym śmierci ojca jest żołnierz, który zeznawał przeciwko niemu, czyli ja. – Westchnął. – Znam tego chłopaka. Przez całe życie zmagał się z problemami, podobno cierpiał na psychozę, ale najgorsze są narkotyki. Miał bogatą matkę, która zmarła i cały majątek zostawiła synowi, mężowi zaś okrągłe zero. – Odłożył pismo. – Tak więc obrzydliwie bogaty dzieciak obwinia mnie o śmierć swojego ojca. A damulka z redakcji uważa, że uwiedzie mnie, pisząc o naszej operacji. – Spojrzał na generała. – Może się okazać, że przestanę być twoim asem w rękawie, a stanę się kulą u nogi.

– Przyjacielu – z uśmiechem powiedział Machado – każdy z nas dźwiga swoje brzemię. Dasz sobie radę, nie bój się. Chodź, trzeba porozmawiać z chłopcami.

Doborowy oddział najemników pod dowództwem Grange'a wsiadł do starego douglasa DC-3 należącego do przyjaciela generała, i poleciał do niewielkiego miasteczka na wybrzeżu Ameryki Południowej, punktu przerzutowego do Barrery, która leżała w głębi puszczy amazońskiej, na północ od brazylijskiego miasta Manaus. Pozostałe wojska przegrupowywały się w granicach państwa, a ich ruchami sterowały zaufane osoby z ruchu oporu. Armia generała nie była liczna, ale przecież czasem do obalenia rządów dyktatora wystarczy niewielki, ale zmotywowany, dobrze wyszkolony i wyposażony oddział. Machado przypomniał wszystkim, że urzędu pozbawiła go zaledwie garstka wojskowych, która przeszła na stronę jego politycznego wroga, Sapary. Ci sami ludzie mogli raz jeszcze zmienić barwy klubowe. Atak należało zaplanować w najdrobniejszych szczegółach.

Na pokładzie DC-3 Grange wyłożył swoją strategię:

– Najskuteczniejszy w naszym przypadku będzie atak z zaskoczenia. Tutaj – pokazał Medinę, stolicę państwa – znajduje się sztab generalny. Nasi sprzymierzeńcy w Barrerze dysponują wprawdzie bombami zdolnymi skruszyć mury bunkra dowództwa armii wiernej Saporze, ale mają tych bomb raptem dwie. To oznacza, że musimy przypuścić zmasowany atak na wroga. Należy skoordynować działania mające na celu zniszczenie infrastruktury wojskowej i komunikacyjnej, jednocześnie musimy przejąć kontrolę nad mediami, lotniskami i trzema głównymi ośrodkami dowodzenia: w Colari, Salinie i Dobri. Tutaj, tutaj i tu. – Trzy krzyżyki na mapie. – Te miasteczka są mniejsze niż Jacobsville, dlatego ich zdobycie nie powinno przysporzyć nam specjalnych trudności.

– Niełatwo będzie ich zaskoczyć, przyjacielu – powiedział Machado. – Mój wróg ma szpiegów. Nie jest głupcem.

– Wiem o tym – odparł Grange. – Najtrudniejsze i najważniejsze jest to, żeby każdy wiedział, co ma robić podczas ataku. Zająłem się tym. Wysłałem dwóch ludzi do Barrery, żeby skontaktowali się w Medinie z twoim dawnym szefem sztabu generalnego. Domingo Lopez może być dla nas bezcennym źródłem informacji. Są przebrani za wieśniaków. Jestem pewien, że im się uda. Pochodzą z Meksyku, są świetnie wyszkoleni, byli komandosami.

– Jestem pod wrażeniem – przyznał generał.

– Wysłałem również mojego byłego dowódcę kompanii, wyjątkowo biegłego w organizowaniu sprzętu i uzbrojenia nawet w najtrudniejszych warunkach, a także najemnika z Afryki Południowej. Mają założyć obóz. Jest z nami tropiciel z tutejszego plemienia, Carson, zawzięty typ, który zna lokalne dialekty. Towarzyszy im pewien Irlandczyk, wyrocznia w dziedzinie elektroniki, zaklinacz komputerów, spec od wirusów.

– Od wirusów?

– Zanim trafił do grupy Eba Scotta, O'Bailey służył w armii brytyjskiej. Posługując się staroświeckim pecetem z archaicznym oprogramowaniem, rozłożył na łopatki całą komunikację wojskową na peryferiach Iraku. – Pokręcił głową. – Nawet dali mu za to medal.

– Masz niezły zespół – przyznał Machado. – Mam nadzieję, że wszyscy wyjdą cało z naszej

kampanii.

– Też mam taką nadzieję, ale nie ma wojny bez ofiar. Damy z siebie wszystko. Sęk w tym, że nasze zwycięstwo może się nie okazać natychmiastowe, dlatego priorytetem jest atak na infrastrukturę, stanowiska pocisków ziemia-powietrze i media.

– Rakiety... – ponuro powiedział Machado. – Kupiłem je od Rosjan. Nowoczesne cacuszka. Sądziłem, że posłużą do obrony przed wrogiem zewnętrznym. Nie przewidziałem, że zostaną użyte przeciwko moim rodakom. Sapara nie zawaha się zniszczyć całego miasta wraz z mieszkańcami. Zrobi wszystko, byle utrzymać się przy władzy.

– Zrobimy, co będzie trzeba. – Grange położył dłoń na ramieniu generała. – Nie zapominaj, że zginęło już wielu niewinnych ludzi. I zginie więcej, jeśli nie powstrzymamy tego satrapy.

– Wiem. – Machado uśmiechnął się smutno. – Wiem doskonale.

Zjawił się jeden z żołnierzy i oznajmił:

– Kapitan twierdzi, że wylądujemy za mniej więcej godzinę. Lotnisko jest kilka kilometrów od wioski nad rzeką. Poza nią w okolicy nie ma żadnych miast, wsi, zabudowań. Nasz wywiad donosi, że Sapara zlecił budowę tego lotniska dla firmy wydobywającej ropę naftową.

– Zgadza się – przyznał Machado. – Przepędził mieszkańców albo ich pozabijał. Część z nich mimo prześladowań została w rodzinnych stronach. Zamierzam się tym zająć. Ale lotnisko samo w sobie jest bardzo przyzwoite. – Zaświeciły mu się oczy. – Lądowałem tam, kiedy pierwszy raz przejmowałem władzę w Barrerze. Tubylcy nam sprzyjają.

– Czyli okazuje się, że piorun jednak uderza dwa razy w to samo miejsce... – skomentował Grange.

Korzystając z osłony nocy, opuścili samolot i odesłali maszynę do Manaus, gdzie załoga miała czekać na dalsze rozkazy. Grange dawno nie walczył w dżungli, ostatnio wojował na pustyni na Bliskim Wschodzie, ale dzięki nowoczesnemu kamuflażowi cała grupa idealnie wtapiała się w otoczenie.

Równie prędko, jak wypakowali się z samolotu, rozbili obozowisko i rozpalili niewielkie ognisko. Nie musieli się obawiać, że zostaną odkryci, ponieważ przynajmniej na razie nikt nie przypuszczał, że szykują się do ataku. Przygotowano kawę i rozdano racje żywnościowe. Wprawdzie odgłosy dżungli brzmiały niepokojąco, ale wkrótce do nich przywykli.

Grange dopił kawę i oznajmił:

– Skontaktuję się ze zwiadem.

Nawiązał łączność z Bradem Dunaganem, byłym dowódcą kompanii, który zdążył już dotrzeć do przedmieść Medyny i rozbić drugi obóz. W tej chwili zajmował się koordynacją ruchów małych oddziałów sił inwazyjnych. Grange skorzystał z częstotliwości niezwykle trudnej do namierzenia.

– Co się dzieje? – spytał cicho.

– Mamy dwa czołgi, dwa pociski taktyczne, kilka wyrzutni rakiet, ciężarówkę amunicji i około pięćdziesięciu miejscowych wściekłych na rząd i znających miasto na tyle dobrze, że pomogą nam przeniknąć do środka – odparł Dunagan.

– Jestem pod wrażeniem.

– No, ja myślę!

Grange rozmawiał z kimś przez chwilę, po czym powiedział:

– O’Bailey prosi, by coś ci przekazać. Otóż dorwał stary komputer, który przerobił i zainfekował jakimś cholernym wirusem. No i zamierza wpuścić tego wirusa do wojskowej sieci informatycznej.

– Zuch chłopak! Powiedz, że kupimy mu za to nowego pikapa!

– Nie! – zaprotestował O’Bailey. – Chcę jaguara!

– Człowieku, myślisz, że mnie stać na jaguara? – odparował rozbawiony Grange.

– No dobra, niech będzie pikap, ale z dobrymi głośnikami!

– Stoi. Brad, dam ci znać, kiedy O’Bailey będzie gotów wpuścić wirusa. Niech wszyscy czekają w pogotowiu, i niech nikt nawet nie kiwnie palcem, dopóki nie padnie rozkaz, jasne?

– Jasne – odparł Dunagan.

– Potrzebna jest chirurgiczna precyzja – przypomniał Grange. – Nie możemy sobie pozwolić nawet na najmniejszą pomyłkę.

– Wiem, wiem. Będziemy gotowi.

– Dam znać.

Wyłączył radiotelefon i usiadł przy ognisku. To będzie bardzo trudna operacja. Wiele mogło pójść nie po ich myśli. Żałował, że nie mogli zwrócić się do jednego z zaprzyjaźnionych rządów z prośbą o wsparcie. Niestety, o czymś takim nie mogło być mowy, ponieważ wszyscy bali się nadepnąć na odcisk sąsiadom Barrery, zwłaszcza w tak niepewnej sytuacji ekonomicznej i przy wciąż wrzącym bliskowschodnim kotle. Natomiast jeśli operacja się powiedzie, na pewno posypią się gratulacje i będzie poklepywanie po plecach. Bardzo dużo zależało od planu Grange’a i sprawności jego ludzi. Miał nadzieję, że to wystarczy.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Sednem tak trudnej operacji, myślał Grange, są koordynacja i wywiad. Istniało całe mnóstwo czynników, z których każdy mógł okazać się bądź to nieistotny, bądź decydujący dla powodzenia akcji. Chodziło na przykład o ukształtowanie terenu, pogodę, zagrożenie ze strony dzikich zwierząt i innych ludzi, a także o to, co tak naprawdę wiedział dyktator Barrery o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Okazało się przy tym, że ruch oporu jednak dysponował pewnym wsparciem artyleryjskim i skromnymi siłami powietrznymi. Operację należało przeprowadzić w sposób perfekcyjnie zsynchronizowany w czasie, co dawało szansę na uniknięcie ofiar wśród ludności cywilnej. Chodziło nie tylko o względy humanitarne. Niewinnie przelana krew mogłaby zrazić tych obywateli Barrery, którzy dziś stali po stronie powstańców, a generał Machado zyskałby miano zabójcy swoich rodaków.

Generał na szczęście dysponował ludźmi ulokowanymi w centrum nowej władzy i był z nimi w stałym kontakcie. Szczególną rolę mógł odegrać generał Domingo Lopez, były szef sztabu generalnego, którego Arturo Sapara uczynił szefem zaopatrzenia. Dla jednego z najważniejszych strategów poprzedniego rządu było to wielkie upokorzenie, dlatego Lopez był gotów zrobić wszystko, byle tylko generał Machado wrócił do władzy. Dlatego przełknął degradację, przyjął z rąk uzurpatora nominację na podrzędne stanowisko i szpiegował na potęgę reżim Sapary, mając nadzieję, że pomoże to powstańcom odnieść zwycięstwo. Generał Machado znów zostanie prezydentem i odpowiednio wynagrodzi wiernego poplecznika i współpracownika.

– Czas nas goni – powiedział Machado podczas jednej z narad. – Pogoda. Coraz bliżej do pory deszczowej. Zostało nam niewiele czasu. – Zerknął na dowódcę swoich oddziałów. – Nie muszę ci mówić, co to będzie oznaczało, jeśli nie odniesiemy szybkiego zwycięstwa. W porze monsunowej ruchy wojsk i transport sprzętu stają się praktycznie niemożliwe.

– Wiem – odparł Grange. – Szkoliłem się w walce w dżungli. Mam też ekspertów, którzy walczyli w Afryce Południowej i w Ameryce Południowej oraz Środkowej. Większy problem mam z tymi, którzy nigdy wcześniej nie byli w dżungli. Dwóch stawiło się na zbiórce z maczetami!

– Mój drogi – skomentował rozbawiony Machado – w amerykańskich filmach wiecznie ktoś wywija maczetą w dżungli.

– Co nie oznacza, że zawsze trafia w to, co trzeba. Bardzo łatwo o infekcję. Kiedy powiedziałem, że do przedzierania się przez dżunglę używamy nie maczet, a sekatorów, myśleli, że sobie z nich żartuję. Potem zacząłem im tłumaczyć, na czym polega zagrożenie ze strony węży. – Pokręcił głową. – Rourke nie tak dawno urządził wypad do dżungli ze swoim oddziałem. O’Bailey, jeden z jego ludzi, pierwszy raz zobaczył węża dopiero na misji w Iraku. Nie ma się co dziwić, w końcu to Irlandczyk. Tymczasem w dżungli stanął oko w oko z surukuku – wyjaśnił Grange, używając miejscowej nazwy groźnicy niemej, jednego z gatunków grzechotnika – i narobił w gacie. Miał szczęście, że wąż nie zaatakował. Słyszałem, że te gady potrafią niesprovokowane rzucić się na człowieka, zwłaszcza w sezonie godowym. Dlatego niech O’Bailey siedzi sobie przy komputerze, przynajmniej będzie bezpieczny. To samo tyczy się nas.

– O tak. Krzyk słyhać na wiele kilometrów, nawet w dżungli. Udało ci się załatwić uzbrojenie, o które prosiłem?

– Tak, oczywiście. Wyrzutnie rakiet, kałasznikowy i uzi. – Pokręcił głową. – Zobacz, technika wojskowa tak bardzo się rozwinęła, a my nadal używamy starej broni...

– Starej, ale jarej, wytrzymałej, prostej w obsłudze i łatwej do zneutralizowania – odparł Machado. – Kiedy pierwszy raz podbijałem Barrerę, miałem takie same karabiny, a do tego tylko lekką artylerię

i dwa czołgi.

– No tak, ale to było w czasach, zanim mogliśmy poprosić o wsparcie myśliwców i śmigłowców.

– Mimo wszystko mamy kilka tych maszyn do dyspozycji. Po cichu liczę na to, że wykorzystamy element zaskoczenia – przyznał Machado.

– Ja również. Póki co udało nam się niepostrzeżenie przekroczyć granicę państwa i na szczęście nie musieliśmy korzystać z helikopterów. Piloci bywają...

– Właśnie! – przerwał mu Machado. – Czy to prawda, że pilot śmigłowca nie wpuści żołnierza na pokład, dopóki nie podda go inspekcji?

– Zgadza się – przyznał Grange z ponurą miną. – Też mi się nie podoba, ale to ważne ze względów bezpieczeństwa.

– Rozumiem – mruknął Machado.

– Wykorzystamy śmigłowce dopiero w ostateczności. Nadal uważam, że zdołamy obalić rząd od środka, tylko symbolicznie posługując się siłą.

– Generał Lopez, którego Sapara zdegradował do stopnia pułkownika, ma dostęp do tajnych raportów o ruchach wojsk rządowych. Kiedy wkroczymy do akcji, postara się zasugerować pozostałym dowódcom takie posunięcia, by nasza pozycja nie wyszła na jaw.

– Dobrze, że Lopez przeżył czystkę.

– Wielu nie miało tyle szczęścia. Obiecuje, że ich pomszczę. – Przerwał na moment. – No cóż, paradoksalnie naszym największym sprzymierzeńcem jest sam Sapara, a konkretnie jego uzależnienie od kokainy. Nałóg odrywa go od rzeczywistości, Sapara coraz słabiej zdaje sobie sprawę, jak bardzo stał się znienawidzony przez własny naród.

– Koszmar. Nałóg to największy wróg człowieka – skomentował Grange. – Ja nawet nie piję i nie palę!

– Zauważyłem – powiedział Machado.

– Abstynentem zostałem trochę z przymusu. – Grange wzruszył ramionami. – Dawniej nie było mnie stać na żadne używki, a potem brak nałogów stał się moim nałogiem. Przyznaję, że teraz to prawdziwa obsesja.

– Alkohol może doprowadzić do zguby każdą operację, choćby taką jak nasza.

– Dlatego zarządziłem całkowitą prohibicję – powiedział Grange. – Próbowałem zakazać również tytoniu, ale prawie doszło do buntu. Wyznaczyłem więc czas i miejsce na palenie. Dym papierosowy może nas zdradzić, zresztą podobnie jak głośna rozmowa, szcęk broni i tak dalej.

– Podejmujemy wielkie ryzyko. – Machado położył Grange'owi dłoń na ramieniu. – Ale zapewniam cię, że jeśli nam się powiedzie, nagroda będzie wysoka.

– Nie, szefie – z uśmiechem zaproponował Grange. – Kiedy, nie jeśli. Głowa do góry!

– Tak jest! Kiedy wygramy!

O'Bailey pił kawę i rozglądał się niepewnie dokoła.

– Pięknie. Teraz będą mi się śniły.

– Rourke mówił ci o węzach, kiedy poprzednio tu byliście – przypomniał mu Grange.

– Myślałem, że chodziło o maleńkie pończoszki, jak te, które żyją w ogródku mojej siostry w Yorku! A nie jakieś węże morskie!

– To był grzechotnik, głupku – skomentował Rourke, kpiąco patrząc na O'Baileya swym jedynym okiem. Przejechał dłonią po blond kucyku, sprawdzając, czy przypadkiem nie zaplątało się tam jakieś robactwo. – Do tego pewnie jakiś mikrus.

– Kiedyś takiego widziałem – wtrącił się jeden z żołnierzy – i muszę powiedzieć, że te cholerstwa potrafią być naprawdę wielkie.

– Mowa! Jest wielki, kiedy się na ciebie rzuca, to pewne! – prychnął O'Bailey.

Rourke uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Czytałem książkę o badaczu, który na początku dwudziestego wieku zgubił się w Ameryce Południowej – powiedział, zabierając się do czyszczenia pistoletu. – Nazywał się Percy Fawcett. Był kartografem, pracował dla Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Z grupą współpracowników wyprawiał się tam, gdzie jeszcze nigdy nie stanęła stopa białego człowieka, i opisywał swoje przygody. Kiedyś opowiedziano mu historię gościa, który mył się w strumieniu, kiedy poczuł, że ktoś go stuka w ramię, a gdy się odwrócił, zobaczył, że to surukuku. Facet wrzasnął i pognął, gdzie pieprz rośnie. To niezwykle groźne węże, bardzo agresywne, gdzie one, tam trup ściele się gęsto, ale ten akurat surukuku postanowił nie ścigać nieszczęśnika. Ale za to miał poczucie humoru.

Grange się roześmiał, po czym powiedział:

– Też słyszałem niezłą historię, tyle że mniej optymistyczną. Otóż grzechotnik wpadł w szal, zaatakował obóz wędrowców i zabił połowę z nich.

– Nienawidzę węży! – oświadczył gniewnie O’Bailey.

– To kiepsko wybrałeś sobie zawód, Irlandczyku – skomentował Rourke. – Lepiej wracaj do Dublina i znajdź robotę w komisie.

– Próbowałem. Z tego nie da się wyżyć. – O’Bailey skrzywił się. – Za to dzięki tej misji, jeśli się powiedzie, stanę się legendą w moim mieście i dzianym gościem. Generał Machado obiecuje górę forsy, jeśli wygramy.

– Jeśli? – spytał Rourke, unosząc brwi i poprawiając czarną przepaskę na oko. – Ugryź się w język!

– Sorry. Zapomniałem, że już wygraliśmy! – odparł O’Bailey ze śmiechem.

Grange pokręcił głową, wstał i odszedł kilka kroków.

Z niepokojem spojrział na dżunglę. W mroku czaiło się tak wiele niebezpieczeństw, choćby tylko węże i jaguary. Nie wolno też zapomnieć o cichych zabójcach, czyli komarach przenoszących dengę i malarię. Dzięki Bogu trwała pora sucha, więc nie było ich tak dużo. Ale za miesiąc... trzeba będzie stawić czoło pladze komarów i innego robactwa, a także przedzierać się przez tereny, które zamieniają się w zdradliwe bagna. Jeżeli w ciągu miesiąca nie uda się doprowadzić kampanii do szczęśliwego zakończenia – oby się udało! – trzeba ją będzie zawiesić do końca pory deszczowej, dzięki czemu odurzony narkotykami szalenciec stojący na czele rządu będzie miał dość czasu, by zorganizować kontruderzenie. Zwróci się o pomoc do swoich sympatyków, a do tego nie wolno dopuścić.

Grange miał nadzieję, że uda się przeprowadzić bezkrwawy przewrót stanu w stolicy kraju, Medynie. Dysponował sporą piechotą, dobrym wsparciem z powietrza i przyzwoitą lekką artylerią. Jeśli Lopezowi uda się wykorzystać swoje wpływy i dokonać sabotażu w sztabie wroga, oddziały Grange’a przenikną do miasta i do akcji wkroczy partyzantka, która z kolei zachęci prosty lud do powstania, wówczas plan może się powieść.

Zamierzał wysłać ludzi z misją pozyskania wsparcia mieszkających na obrzeżach Mediny plemion, które przed laty pomagały generałowi dojść do władzy. Wywiad donosił, że Sapara krwawo rozprawił się z niepokornymi plemionami, pałały więc żądzą zemsty. Rourke miał za zadanie przekonać je do udzielenia pomocy podczas przewrotu. Sam zaś generał Machado z niewielką obstawą zostanie przetransportowany drogą powietrzną do stolicy, gdzie zajmą się nim lojalni współpracownicy.

W razie gdyby nie powiódł się plan przejęcia władzy bez rozlewu krwi, rozgorzeje powstanie wokół Medyny, a dżungla będzie zarówno schronieniem, jak i bazą wypadową dla armii wyzwolenczej. Im szybciej generał Machado będzie mógł ogłosić zwycięstwo, tym mniej ludzi zginie, o czym Grange doskonale wiedział. Zakładali wojnę błyskawiczną, jednak tak wiele mogło pójść nie tak i walki mogły trwać nie wiedzieć jak długo. Grange z bólem myślał o tym, jak wielu ludzi, jak wielu przyjaciół w ogniu może odnieść rany lub zginąć. Lecz cóż, był dowódcą, więc posyłał podwładnych na śmierć. Taka jest logika wojny. Wiedział to doskonale, choć nigdy nie przychodziło mu to łatwo.

Pomyślał o dowódcy z Iraku, który popełnił samobójstwo. Grange miał wyrzuty sumienia, choć

kompletnie nie wiedział, co mógłby zrobić inaczej. Przecież gdyby posłuchał rozkazów tego człowieka, zginąłby cały pluton. Dzięki znakomitemu wyszkoleniu Grange'a oraz jego błyskotliwej inteligencji do tragedii nie doszło. Przyjął najlepszą z możliwych w tamtej sytuacji taktykę i uratował oddział, a jednak dowódca zmusił go do zakończenia służby, bo w przeciwnym razie stanąłby przed sądem wojennym. Grange zgodził się, ale potem pewien oficer, prawa ręka owego dowódcy, upił się i wszystko wypaplał. Tym sposobem to dowódca stanął przed obliczem sędziego i został karnie zwolniony z wojska. Stracił twarz, czego nie mógł znieść. A może nie potrafił się pogodzić z utratą wysokiego żołdu? Ponoć miał kosmiczne długi, uprawiał bowiem hazard. Tak czy owak, wybrał rozwiązanie ostateczne, a jego upośledzony syn narkoman oskarża Grange'a o spowodowanie śmierci ojca.

Zarzut był absurdalny, przecież do tragicznego finału doprowadziła sama ofiara, jednak nieznający szczegółów ludzie dawali posłuch oskarżeniom syna, który przeżarty nałogiem całkiem pogrążył się w nienawiści. Tak się przy tym składało, że Grange jako nastolatek przeżył tragedię związaną z narkotykami. Jego siostra zabiła się, kiedy ojciec jej chłopaka zagroził, że oskarży Grange'a i pośle za kratki za morderstwo, które popełnili jego kumple. Umarła, by ocalić brata. Rzeczywiście ocaliło go to, ponieważ wziął się w garść, pozbył wszelkich używek i został przykładnym obywatelem, a przecież mogło się skończyć zupełnie inaczej. Dlatego bardzo mu było żal syna byłego dowódcy, choć chłopak ostro zalażł mu za skórę. Dobrze przynajmniej, że nie gania za nim ze strzelbą.

Dobrze też, że nie gania za nim ta waszyngtońska damulka, Clarisse. To znaczy gania, ale Machado nie zgodził się na jej prośbę, więc nie dotrze do oddziału powstańczego. W tym momencie Grange pomyślał o Peg, która czeka w Jacobsville na wieści od swojego wojaka. Kusilo go, żeby wyjąć telefon i zadzwonić do niej, ale powstrzymał się, bo było to niebezpieczne. Podszuch, namierzenie pozycji dzwoniącej osoby... Były jednak sposoby na przeprowadzenie bezpiecznej, niewykrywalnej dla osób postronnych rozmowy. Rourke znał różne sztuczki i zawsze zabierał ze sobą amatorską radiostację.

Peg zmywała naczynia, kiedy zadzwonił telefon. Ojciec zajmował się krową z infekcją oka, więc Peg wytarła ręce i poszła odebrać. Na wyposażeniu kuchni znajdowała się zmywarka – była jedną z całej serii nowoczesnych sprzętów, które kupił Grange – ale Peg nie lubiła jej używać do umycia zaledwie kilku talerzy i dwóch kubków, bo uważała, że to marnotrawstwo prądu i wody.

– Ranczo Grange'a, słucham?

– Panna Peg Larson? – spytał ktoś, kogo nie rozpoznała po głosie.

– Tak...

– Nazywam się Bill Jones. Nie znamy się. Jestem radioamatorem. Nawiązał ze mną łączność ktoś, kto powiedział, że przebywa na innym kontynencie i ma dla pani wiadomość, która brzmi następująco: Grange miło spędza czas na wakacjach, ale bardzo za panią tęskni.

– Nic mu nie jest? – spytała bez tchu.

Nieznajomy się roześmiał, po czym odparł:

– Zakładam, że czekała pani na informację, czy dotarł na miejsce. Zapewniam, że doleciał cały i zdrowy. Powiedział również, że raczej nie będzie mógł się z panią skontaktować bezpośrednio, ale życzy pani miłych świąt i ma nadzieję, że zobaczycie się już za kilka miesięcy. Powtórzył, że bardzo za panią tęskni.

– Dziękuję! – powiedziała z przejęciem. – Ja... martwiliśmy się.

– Przekażę.

– Proszę życzyć mu udanych wakacji i powiedzieć, żeby... żeby na siebie uważał. I dodać, że bardzo mi go brakuje.

– Tak zrobię. Miłego wieczoru, droga pani.

– Dziękuję, nawzajem.

Tak naprawdę chciała krzyknąć z radości. Grange, choć brał udział w niebezpiecznej operacji wojskowej, znalazł jednak czas, by wysłać jej wiadomość.

Peg poszła do stodoły. Ed właśnie wcierał balsam w obolałe oko krowy.

– Coś się stało? – spytał, widząc córkę.

– Grange się odezwał – powiedziała z uśmiechem. – Niejaki Bill Jones, radioamator, przekazał wiadomość od niego, że dotarł na miejsce, nic mu nie jest i że życzy nam wesołych świąt.

– No to mi ulżyło. – Ed wstał. – Bo już zacząłem się martwić. Przed wyjazdem Grange zapewniał, że skontaktuje się z nami, ale nie byłem pewien... Peg, to nie jest wycieczka szkolna, tylko niebezpieczna wyprawa.

– Przecież wiem, i też się martwiłam, tato.

Razem wrócili do domu. Dąb zrzucił już prawie wszystkie liście, a na hikorach trzymały się tylko jakieś niedobitki. Orzechów już dawno nie było, wiewiórki sprawnie pozbierały wszystkie pekany, kiedy jeszcze były zielone.

– Powiniennem pilnować tego drzewa z nabitą strzelbą – mruknął Ed. – Może by się uchowała garść orzechów na ciasto.

– I tak musiałbyś się zdrzemnąć od czasu do czasu – skomentowała Peg. – A wtedy one by się zakradły. Nie pokonasz wiewiórek, są za cwane.

– Pewnie masz rację.

– Barbara zamawia orzechy do kawiarni i dzieli się ze mną. Głowa do góry, tato, upiekę ci ciasto na święta. Obiecuję. Specjalne, z warstwą orzechów i lukrem na wierzchu przyozdobionym wiórkami kokosowymi, orzechami i kandyzowanymi wiśniami.

– Dzięki, Peg. Nie przeżyję bez ciasta. Twoja matka, świeć Panie nad jej duszą, co roku piekła takie ciasto. Zresztą tak samo jak jej matka.

– Tak, ale babcia zamiast trzech robiła aż sześć warstw! Mama nigdy nie miała tyle cierpliwości. Dałam przepis Barbarze, a ona mi powiedziała, że ciasto sprzedaje się znakomicie. Mama byłaby szczęśliwa.

– Była doskonałą kucharką. Ty też sobie fantastycznie radzisz.

– Dzięki. Ale ja gotuję tylko podstawowe rzeczy, nie eksperymentuję.

– Eksperymentowanie nie zawsze przynosi ciekawe efekty – zauważył Ed. – Nie zapomnę ziemniaków po duńsku.

– Szef też nie! – zawołała. – Grange spróbował, spojrzał na mnie, spytał, czy już to wcześniej gotowałam, a kiedy odparłam, że nie, powiedział: „No to nigdy więcej nie gotuj”.

– Nie było tak źle – powiedział rozbawiony Ed. – Po prostu mężczyźni nie przepadają za słodkimi ziemniakami. Dla nich to coś nienaturalnego.

– Mięso i kartofle, to wasz kulinarny raj. – Przewróciła oczami.

– Im prostsze jedzenie, tym lepsze.

– Rozumiem, są gusta i guściki, a faceci gustują w czymś takim. Ale od czasu do czasu nie zaszkodzi spróbować czegoś nowego.

– Spróbuj przygotować ziemniaki i mięso w inny sposób.

– Próbowałam!

– Nie w aż tak inny sposób...

Wybuchli śmiechem i weszli do domu.

Następnego dnia rano Peg musiała odebrać receptę dla ojca. Ponieważ Ed cierpiał na nadciśnienie, doktor Copper Coltrain przepisał popularny specyfik łączący cechy leków moczopędnych i środków

stabilizujących ciśnienie. W tutejszej aptece sprzedawano go w dobrej cenie.

Nancy przyjęła receptę, a Bonnie poszła na zaplecze po tabletki.

– Odezwał się? – spytała Peg, ponieważ Bonnie wprost promieniała radością.

Oczywiście pytała o Maxwella, z którym Bonnie zjawiła się na Balu Hodowców. Mówiło o tym całe miasteczko.

– Tak! Dzwonił przedwczoraj – odparła Bonnie. – Z Paryża!

– Wow.

– Za trzy tygodnie przyjeżdża do Stanów. Ma nadzieję, że znajdzie czas, by zabrać mnie na kolację w San Antonio. – Bonnie pokręciła głową. – Wyobraź sobie, że wpadłam w oko milionerowi!

– Bonnie, to dlatego, że świetna z ciebie dziewczyna!

– Dzięki. Mam tylko nadzieję, że to wszystko nie okaże się snem...

– Mam cię uszczypnąć? – spytała Peg.

– No wiesz! – Bonnie udała oburzenie.

– Hej, tylko chciałam pomóc! – zawołała rozbawiona Peg.

Potem Peg zajrzała do Barbara's Café, by odebrać torebkę świeżych pekanów.

– Zawsze je zamawiam do świątecznych wypieków. Jedna torebka nie robi różnicy – powiedziała Barbara, kiedy Peg chciała zapłacić.

– Wielkie dzięki!

– Podzieliłaś się ze mną przepisem na pyszne ciasto. Już ci mówiłam, że dobrze się sprzedaje, ale to prawdziwy przebój.

– Nam też smakuje.

– Grange się odezwał? – Barbara zniżyła głos.

– Wiem tylko tyle, że bezpiecznie dotarł na miejsce – równie konspiracyjnie odparła Peg, zerkając wokół.

– Rozumiem.

– Czy wiesz o czymś, czego ja nie wiem? – spytała podejrzliwie Peg. – Powiedz, proszę!

Barbara zaprowadziła ją do kuchni, gdzie przy piecu krzątały się dwie pracownice, więc wyszły na tylne podwórze.

– Pamiętasz oficera, który twierdził, że Grange przypisał sobie autorstwo jego planów taktycznych, a potem doprowadził do wydalenia Grange'a z wojska?

– Tak.

– Popełnił samobójstwo.

– O Jezu!

– To nie wszystko – mówiła dalej Barbara. – Ten człowiek ma syna, któremu, mówiąc wprost, brak piątej klepki. Chłopak zaklina się, że Grange zapłaci mu za śmierć ojca.

– Najpierw musiałyby znaleźć Grange'a. Powodzenia! – skwitowała Peg, jednak mimo hardych słów poczuła narastający ucisk w żołądku.

– Obyś miała rację. Ojciec chłopaka był nieźle ustosunkowany. Ci ludzie mogą wiedzieć, dokąd i po co wyjechał Grange. – Przerwała na moment. – Na pewno wiesz, że ojcem Ricka jest generał Machado. Rick miał z nim niedawno kontakt i dowiedział się trochę, co się dzieje w dżungli. Otóż generał nie zgodził się, żeby pewna dziennikarka towarzyszyła żołnierzom podczas misji, ponieważ okazało się, że to bywalczyńni salonów, która ugania się na Grange'em.

– Bywalczyńni salonów? – Peg zbladła.

– Nie martw się – pocieszyła ją Barbara. – Z tego, co dowiedział się Rick, wynika, że Grange był gotów się wycofać, gdyby generał pozwolił dziennikarce z nimi pojechać. Nie znosi jej i była to całkiem realna groźba.

– No, to już coś. – Peg wyraźnie się rozluźniła. – A skoro o generale mowa, to słyszałam, że w Święto Dziękczynienia miałaś wyjątkowego gościa.

– Owszem, teścia Ricka. Też jest generałem. Z pozoru wyjątkowo stanowczy człowiek, ale ma złote serce – dodała z uśmiechem. – I lubi gotować.

– A to ciekawe.

– Wie o wszystkim, co dzieje się w wojsku. Dlatego na pewno dotrze do jego uszu, jeśli syn byłego dowódcy Grange’a wyjedzie z kraju. Naprawdę, nie przejmuj się tym. Po prostu uznałam, że muszę ci o tym powiedzieć.

– Dzięki. – Peg uściskała Barbarę.

– Popieram generała, wiem, że Machado jest szczerym demokratą, ale martwi mnie, że ta misja jest tak niebezpieczna.

– Nie musisz mi o tym mówić. – Peg westchnęła. – Rick zapewne to strasznie przeżywa. Przecież dopiero niedawno dowiedział się, kim jest jego ojciec.

– O tak. Boi się, że go straci, zanim zdążą się naprawdę poznać.

– Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze, i módlmy się o to.

– Generał ma dobrą obstawę, bo większość oddziału Grange’a to ludzie Eba Scotta.

– Słyszałam, że starannie dobiera najemników – zauważyła Peg.

– Bardzo starannie. Chłopaki jadają u mnie, więc wielu z nich znam osobiście. Jednym z najlepszych ludzi Eba jest Rourke, Południowoafrykańczyk. – Uśmiechnęła się. – Nawet nie wiem, jak ma na imię, znam tylko nazwisko. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że Grange ma na imię Winslow.

– Wszyscy nazywają go Grange, imienia nikt nie używa.

– Nawet ty?

– Nawet ja. – Peg zarumieniła się.

– Grange nie spotyka się z żadną dziewczyną – zauważyła Barbara. – To znaczy przez pewien czas, zanim wyszła za J. B. Hammocka, umawiał się na randki z Tellie Maddox, ale w sumie byli tylko dobrymi przyjaciółmi. Od tamtej pory z nikim go nie widziałam. – Roześmiała się. – Powiem ci szczerze, że wszyscy byliśmy w lekkim szoku, kiedy zjawiliście się razem na Balu Hodowców.

– Też byłam zaskoczona! – wyznała Peg. – Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek włożę takie ciuchy. Miło ze strony Bess Truman, że wypożyczyła nam te suknie. A pani Pendleton pożyczyła mi płaszcz.

– Słyszałam. Gracie jest do rany przyłoż. Od dawna się przyjaźnimy. – Pokręciła głową. – Złoiłabym skórę Jasonowi za to, jak ją traktował. Uwierz mi, to nie był bezkonfliktowy związek.

– Wydają się szczęśliwi...

– Teraz tak. Byli ze sobą bardzo blisko, zanim Jason uwikłał się w tę znajomość z modelką. Ale to już inna bajka... – Barbara wzruszyła ramionami. – No, ale leć już do domu, upiecz tacie ciasto z orzechami. Muszę wracać do pracy.

– Dzięki raz jeszcze za pekany. – Peg była już w drzwiach, ale zawróciła. – Jeśli dowiesz się czegoś nowego od teścia Ricka, no wiesz, o tym synu dowódcy, który chce się rozliczyć z Grange’em, daj mi znać, dobrze?

– Oczywiście – obiecała Barbara. – Nie zamartwiaj się tak, kochanie. Grange potrafi o siebie zadbać.

– Jasne, że potrafi. – Peg uśmiechnęła się. – Ale gdybyśmy wiedzieli, że coś się kroi, teść Ricka, ten generał, mógłby jakoś ostrzec Grange’a, prawda? Chyba się znają.

– Owszem. Na pewno tak zrobimy.

– Wiem, że nie powinnam tak się martwić, a jednak się martwię.

– Tak to jest, kiedy ci, na których nam zależy, znajdują się w niebezpieczeństwie – przyznała cicho

Barbara.

Peg wzięła torebkę pekanów, uśmiechnęła się i wyszła.

W drodze do domu błędziła myślami. To takie skomplikowane. Darzyła Winslowa Grange'a uczuciem, miała przy tym nadzieję, że z wzajemnością. Ucieszyła się na wieść, że z nikim się nie spotykał i że z Tellie łączyła go jedynie przyjaźń. Dotąd zakładała, że między nim a Tellie, z którą znali się od szkolnych czasów, było coś więcej, więc teraz poczuła się lepiej.

Ale ta bywalczyni, ta damulka z salonów. Grange jej nie cierpiał, ale najwyraźniej nie dawała za wygraną. A jeśli okaże się, że zignorowała odmowę generała i mimo wszystko pojechała do Barrery? Jeżeli przybyła do obozu i omotała Grange'a?

– Omotała – mruknęła pod nosem. – Peg, weź się w garść. W dwudziestym pierwszym wieku nikt już tak nie mówi!

Skręciła na drogę prowadzącą do rancza, ale nastrój wcale jej się nie poprawił. Bywa, że zdesperowani mężczyźni postępują desperacko. Podczas misji Grange mógł nie być tak powściągliwy, a jeśli do tego kobieta była wyrafinowana i agresywna, mogła postawić na swoim.

Peg była biedna. Ładna, ale nie piękna. Nie wiedziała, jak się zachowywać na salonach, nawet nie potrafiła nakryć do stołu zgodnie ze wszystkimi regułami. Tymczasem ta dziennikarka na pewno jest doświadczona, elegancka i obeznana w tego rodzaju sprawach. Grange porówna je ze sobą, a wtedy okaże się, że Peg wypada blado przy tej damulce.

Dręczyła się takimi rozmyślaniami przez całą drogę do domu. Gdy wysiadła z auta, tak bardzo była zatopiona w myślach, że nie zauważyła ojca i wpadła na niego.

– Co z tobą? – spytał Ed.

– Nie umiem nakryć do stołu i nie wiem, jak się zachować w towarzystwie – wyznała mocno zasmucona.

– Słucham? – Ed był kompletnie zbity z tropu.

– Jakaś kobieta z Waszyngtonu ugania się za Winslowem – wyznała Peg. – Próbowала wkręcić się na misję jako dziennikarka. Wszędzie lata za nim. A jeśli pojedzie do Ameryki Południowej...

– Peg, weźże się w garść – powiedział łagodnie Ed. – Nawet jeśli, to co? Grange nie ma piętnastu lat. Zabrał cię na Bal Hodowców, tak?

– Tak, ale ta kobieta pewnie jest piękna – odparła ze smutkiem – i ma ekstra ciuchy...

– Jeśli go nie pociąga, to nie ma znaczenia.

– Naprawdę tak myślisz?

– Wiem o tym. – Zerknął na torebkę orzechów. – Upiecz ciasto. To pomoże.

– Komu? – Spojrzała na niego rozbawiona. – Tobie czy mnie?

– Nam obojgu. – Roześmiał się. – Peg, naprawdę przestań się martwić. Grange nie jest głupi. Przekonasz się.

– Okej, tato.

W nocy śniła jej się dżungla. Winslow leżał na hamaku. Ubrany tylko w szorty, prężył szeroką klatkę piersiową i uśmiechał się do Peg.

– Chodź do mnie, kochanie – szepnął.

Poszła więc do niego. Miała na sobie czerwony sarong w białe kwiaty, strój raczej polinezyjski niż południowoamerykański, ale to w końcu tylko sen. Grange sprawnie zdjął z niej sarong, po czym łąpczywie ujął piersi Peg. Nachylił się, by je pocałować. Peg jęknęła przez sen, czując miękki dotyk na skórze i zarazem wyczuwając rosnącą sztywność, gdy Grange napierał na nią biodrami. Kątem oka dostrzegła, że do sarongu, który poleciał gdzieś poza hamak, dołączyły szorty. Grange położył się na niej i zaczął namiętnie całować.



– Och, Winslow – szepnęła zaskoczona, gdy nagle wsunął się w nią.

W porywie pierwszej ekstazy wygięła się. Płonęła. Gorące zespolenie i żar bijący od słońca doprowadzały ją do szaleństwa. Wtedy nagle uzmysłowiła sobie, gdzie leży. Rozejrzała się dokoła i poważnym głosem oznajmiła:

– Ależ nie możemy tego zrobić w hamaku!

Wtedy się obudziła.

Sen był tak realistyczny, że aż zadrzała. Oblizła suche usta i spojrzała na poduszkę, którą tuliła do piersi. Zamknęła oczy, przewróciła się na bok i spróbowała ponownie zasnąć.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

Grange i Dunagan wysłali dwóch zwiadowców, by pod osłoną nocy dotarli do Medyny i skontaktowali się z przyjacielem generała, Domingiem Lopezem.

To będzie wyścig z czasem, zwłaszcza jeśli będą musieli zbrojnie przebijać się do miasta. Istniała niska szansa, że uda się przeprowadzić bezkrwawy przewrót, przechwytyjąc strategiczne pozycje i werbując najważniejsze osoby do współpracy, zanim dojdzie do krwawej konfrontacji. Jeśli zdołają przejąć kontrolę nad centrami komunikacji, komputerami wojskowymi, mediami i mostami, być może wkroczą do stolicy, nie napotykając na opór. Zależało to od wielu czynników, ale Grange jako świetnie wyszkolony i odnoszący sukcesy dowódca kierował się dwoma podstawowymi zasadami: zawsze należy mieć nadzieję, że będzie dobrze, i przygotowywać się na to, że będzie źle.

Jeśli przyjdzie co do czego, Machado dysponował kontaktami, które mogą przekonać rządy sąsiednich państw do udzielenia pomocy. Niedaleko stacjonowały jednostki sił specjalnych USA, które również mogły stanąć po stronie generała. Miała to być tajna operacja, jedna z wielu, które faktycznie miały miejsce, lecz o których media milczały.

Grange ukląkł obok Rourke'a, który sprawdzał radio i słuchał miejscowej stacji.

– Czysta propaganda – oświadczył zniesmaczony. – Dwóch profesorów stołecznego uniwersytetu aresztowano za to, że skrytykowali nacjonalizację zagranicznych firm wydobywczych i narzekali na aparat represji.

– Ropa – skomentował Grange. – Błogosławieństwo i przekleństwo ostatnich trzech pokoleń, może nawet czterech. Konstrukcja całego naszego społeczeństwa opiera się na ropie.

– Płacimy za nią katastrofami ekologicznymi.

– Tak...

– Na studiach miałem wykładowcę antropologii, wyjątkowego profesora – zaczął Rourke, kręcąc gałkami radia. – Głosił dość zresztą oczywistą, choć przez wielu lekceważoną tezę, że społeczeństwo, które opiera swoje istnienie na jednym surowcu, jest skazane na zagładę, bo zasoby tego surowca kiedyś muszą się wyczerpać. Dlatego zawsze powinno się zadbać o alternatywne rozwiązania.

– Tylko nie mów tego szefom firm wydobywczych – ironizował Grange.

– Wiesz, że na tym świecie jeden procent ludzi kontroluje całą resztę, czyli dziewięćdziesiąt dziewięć procent? Przeciętnego człowieka nie stać nawet na porządne buty dla dziecka.

– Ani nie ma szans znaleźć sobie pracy.

– Wiem, o czym mówisz. Widziałem niejedno – zgodził się Rourke.

– No właśnie, pochodzisz z Afryki Południowej – z zaciekawieniem powiedział Grange. – Czy po tych wszystkich przemianach w waszym społeczeństwie żyje się lepiej?

– Wciąż wybuchają lokalne konflikty, wciąż leje się krew i rządzi przemoc. Nadal jest to najważniejsza forma dialogu społecznego – dodał cierpko. – Plemiona nie dogadują się między sobą albo nie akceptują reszty społeczeństwa i wybucha kolejna wojenka. Ale wystarczy, że ktoś obcy skrytykuje nasze państwo, a solidarnie stajemy w jego obronie. To nasza Afryka! Innym wara od niej.

Grange roześmiał się, zaraz jednak spoważniał, wracając do tu i teraz.

– Powiedz mi coś o mediach w Barrerze. Z czym musimy się zmierzyć?

– Jedna stacja telewizyjna, dwie stacje radiowe, trzy gazety. Przepraszam, dwie gazety. Niedawno wysadzono w powietrze siedzibę jednego z dzienników, bo wydrukował coś, co nie spodobało się El Presidente.

– Czyli mamy tutaj tyle mediów, co w amerykańskim miasteczku zamieszkałym przez dwadzieścia, trzydzieści tysięcy ludzi – skomentował Grange.

– Właśnie tyłu mieszkańców ma Medina. To mały kraj, otoczony przez dużo większych i potężniejszych sąsiadów. Dopiero niedawno odkryto tu złoża ropy, ale krążą plotki, że jakaś amerykańska antropolożka trafiła na ślady cywilizacji starszej od egipskiej, gdzie powstały piramidy. Co ciekawe, ponoć ta uczona dokonała swego odkrycia akurat tam, gdzie znajdują się największe złoża ropy... Niestety, po puczu zaginęła. Zapewne nie żyje. – Rourke skinął na siedzącego w pewnym oddaleniu generała. – Była jego ulubienicą. Ta wyprawa to w takim samym stopniu misja wyzwoleńcza, co akt zemsty.

– Misja wyzwoleńcza... – Grange zadumał się na moment. – Po to tu jesteśmy. Jeśli uda się nam z zaskoczenia i po cichu opanować najważniejsze cele, to unikniemy długotrwałych walk, co ma dla nas ogromne znaczenie. Zbliży się pora deszczowa, a kiedy już nastanie, a my nie zakończymy zwycięsko tej wojny, to znajdziemy się w paskudnym położeniu. Owszem, mamy w zanadrzu lotnictwo i artylerię, ale nie bardzo sobie wyobrażam zbombardowanie stolicy czy coś w tym stylu. Nie da się wtedy uniknąć strat wśród ludności cywilnej, co samo w sobie jest fatalne, a dodatkowo zniechęci społeczność Barrery do udzielenia nam pomocy podczas przewrotu.

– Zgadzam się – z pełnym przekonaniem poparł go Rourke. – Kluczem jest dobry wywiad. To powinna być chirurgiczna operacja, a nie jakaś demolka. Jak powiedziałaś, powinniśmy zaatakować z zaskoczenia, dlatego jak najdłużej nie wolno nam zdradzać naszej siły.

– Oczywiście. Dlatego nakazałem przesunięcie największych oddziałów do, nazwijmy to, zaprzyjaźnionego kraju. Niedaleko Mato Grosso.

– Mato Grosso? – Rourke nie krył zdziwienia. – Moim zdaniem to zły wybór. Czy to nie tam w 1925 roku zaginęli Fawcett, jego syn i przyjaciel syna? – spytał, mając na myśli niewyjaśniony los brytyjskiego kartografa i odkrywcy, pułkownika Percy’ego Fawcetta, oraz jego towarzyszy. Nadal znajdowali się śmiałkowie pragnący rozwiązać zagadkę śmierci podróżnika, i wielu z nich przepadało bez wieści w dżungli.

– Niedaleko Mato Grosso. – Grange uśmiechnął się leciutko. – Może przy okazji coś odkryją, na przykład wyjaśnią losy Fawcetta? Przynajmniej unikniemy zbrojnego powstania, ale przez cały czas będziemy mieli ich pod ręką, jeśli się okaże, że potrzebne są posiłki. Liczę na przejęcie miasta po cichu i bez rozlewu krwi.

– Ja też.

– Muszę jedynie przekonać szefa – powiedział Grange, zerkając na siedzącego samotnie i pogrążonego w zadumie generała.

– Myślę, że łatwo da się przekonać. W końcu jemu też nie zależy na przelewaniu krwi swoich rodaków. Założę się, że ma już dość ciągłych niepokojów.

– Oczywiście. Sam najchętniej złożyłbym broń i przeszedł na emeryturę – z westchnieniem wyznał Grange.

– Co stoi na przeszkodzie?

– To, że nie stać mnie na to. Jason Pendleton podarował mi stado, ziemię i dom, przekazał też zarządcę i jego córkę, najlepszą kucharkę, jaką znam. Okej, naprawdę mam z czego się cieszyć, tyle że muszę to wszystko utrzymać. Opiekuję się Comanche Wells i nieźle na tym zarabiam, ale to jednak za mało na nowe byki i rozbudowę rancza. No więc nadal muszę tym się zajmować. – Machnął ręką, ogarniając obóz, i nagle z błyskiem w oku spojrzął na Rourke’a. – A skoro o tym mowa, to co z tobą? Czy naprawdę musisz pracować? Masz prywatne zoo, a twój ojciec...

– Nie pytaj o to – odparł Rourke niby łagodnym tonem, lecz tak naprawdę ostrzegająco.

– Przepraszam – wycofał się Grange.

– Niektóre tematy są dla mnie jak pole minowe. Każdy krok grozi wybuchem.

– Wiem. Nie powinienem był zaczynać.

– Nie szkodzi. – Rourke uśmiechnął się z przymusem. – Przekonaj naszego nieustraszonego wodza,

że warto spróbować rozsądzić rząd od środka.

– Postaram się – obiecał Grange.

Grange wiedział, że powinien ugryźć się w język. Oczywiście słyszał plotkę, że Rourke jest nieślubnym dzieckiem K.C. Kantora, byłego najemnika, obecnie miliardera. Oczywiście nikt nic nie wiedział na pewno, a sam Rourke nigdy nie opowiadał o rodzicach i nigdy nie wspominał o Kantorze, choć przez wiele lat pracował dla niego. A jednak wszyscy byli przekonani, że taka właśnie jest prawda. Rodowód Rourke'a był faktycznie tajemnicą poliszyneła, choć dla samego zainteresowanego sprawa miała nader delikatny charakter. Kto próbował ją drążyć, łatwo mógł nadepnąć na minę, jak określili to Rourke. Dlatego Grange był zły na siebie, że właśnie tak się zachował. Byli w trakcie trudnej operacji, więc takie zachowanie tym bardziej nie miało sensu.

Podszedł do generała, usiadł obok niego i powiedział:

– Wysłałem rezerwy do Casery w Mato Grosso. Zabrali się DC-3. Mamy ludzi w Manaus, ale nie stać nas na to, by wysłać tam grupę najemników. Kontakty w Caserze nawiązał Rourke przy okazji poprzedniego wypadu. Chcemy przeniknąć do miasta, uderzyć od środka, nastawić przeciw Saporze jego ludzi. Innymi słowy, zrobić to samo, co on tobie.

– To oczywiste, że wołałbym przeprowadzić bezkrwawą rewolucję. – Machado pokręcił głową. – Przez moją nieostrożność ci ludzie wiele wycierpieli. To nie może się powtórzyć.

– Mamy dwóch ludzi w mieście – mówił dalej Grange. – Nawiążą kontakt z twoim dawnym szefem sztabu generalnego i spróbują uzyskać od niego pomoc.

– Jestem przekonany, że Lopez stanie po naszej stronie. Sapara dał mu w kość. Na szczęście Lopez okazał się zbyt ważny, by go zabić lub uwięzić. Perfekcyjnie zna strukturę armii, jest bardzo kompetentny. Owszem, został zdegradowany, ale pełni wprawdzie niezbyt prestiżową, jednak szalenie istotną z praktycznego punktu widzenia funkcję szefa zaopatrzenia. Jeśli zaryzykuje życie i przyłączy się do naszej sprawy, będzie naszym największym atutem.

– Zgadza się. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać i liczyć na powodzenie misji naszych ludzi.

Nagle do obozu wjechał dżip. Kierowca, miejscowy przewodnik i sympatyk generała, miał pasażera.

– Mój Boże! – wykrzyknął Grange, z trudem maskując wściekłość. – Nie wierzę!

Machado również nie krył zdziwienia.

Pasażer nieśpiesznie wysiadł z auta. A raczej pasażerka, dwudziestoparoletnia Amerykanka z krótkimi pofalowanymi blond włosami i niebieskimi oczami. Ubrana jak turystka wybierająca się na safari, to znaczy w ciuchy w kolorze khaki. Na szyi miała zawieszony aparat fotograficzny.

– Jak widzisz, mój drogi – powiedziała, podchodząc do Grange'a i zalotnym ruchem kładąc mu dłoń na piersi – przyjechałam tak czy siak. Nie potrafię się od ciebie uwolnić – dodała.

– Stój! – krzyknął Grange do kierowcy, który zdążył wykręcić i właśnie miał odjeżdżać. Następnie chwycił Clarisse za rękę i choć się opierała, zaprowadził ją do samochodu, otworzył drzwi i wepchnął do środka.

Sprawiła wrażenie oszołomionej, jakby nie wiedziała, co się dzieje dokoła niej. Chyba jest pijana, pomyślał Grange.

– Nigdzie się nie wybieram! – zaprotestowała wreszcie.

– Oczywiście, że się wybierasz – warknął Grange. – Jesteś najbardziej odpychającą kobietą, jaką spotkałem w swoim życiu. Co mam zrobić, żeby cię przekonać, że nie jestem tobą zainteresowany? Uważasz, że żaden mężczyzna nie jest w stanie ci się oprzeć? Otóż mylisz się. Jesteś zwykłą dziwką – dorzucił z pogardą. – Nie zniżyłbym się do przespania z tobą, nawet gdybyś była ostatnią kobietą na

świecie. Dotarło?

Gdy Rourke zauważył Clarisse, podszedł do niej, zionąc nietypową dla niego złością.

– Co, u diabła, tu robisz, Tat? – wycedził lodowatym tonem.

Zaskoczył ją widok Rourke'a, jak i to, że użył jej dawnego przezwiska z czasów, kiedy krótko mieszkała w Afryce Południowej niedaleko jego domu. Przed laty dobrze się znali, można powiedzieć, że nawet przyjaźnili.

Przyjęła wojowniczą postawę. Ewidentnie była w konfrontacyjnym nastroju do bitki. Od tragedii, w której straciła rodzinę, brała środki przeciwlękowe, i jak widać, przesadzała z nimi. Jedyne Rourke wiedział, co się stało, a nawet przyjechał na pogrzeb. Był dla niej miły...

– Jestem reporterką – oznajmiła chłodno. – Tym się zajmuję.

– E tam – odparł Rourke. – Zajmujesz się uwodzeniem mężczyzn, Tat, a na liście masz Grange'a, prawda? Długa ta lista, co?

Clarisse tylko wpatrywała się w Rourke'a. W głębi duszy czuła ból, ale nie miała zamiaru ujawniać go, czy tym bardziej nim się dzielić.

– Pewnie nawet jestem na pierwszym miejscu – skomentował Grange. – Ale nic z tego, Clarisse. Od dawna ci to powtarzam. – Ciekawe, dlaczego Rourke wygląda, jakby mu ulżyło, pomyślał. – W moim życiu jest pewna kobieta – dodał po chwili. – Cudowna, młoda, niewinna kobieta, która po spotkaniu z tobą byłaby w ciężkim szoku. Różnica jest po prostu miażdżąca. – Widział, jak przełknęła, jak pieką ją policzki. – A teraz wynoś się z obozu i nigdy tu nie wracaj! – oznajmił gniewnie Grange. – Odjazd! – krzyknął do kierowcy.

– Pożalujesz tego – syknęła. Już nie była zalotną ślicznotką, tylko wściekłą furią. – Obiecuję ci to!

– Rób, co chcesz – odparł równie wściekły Grange. – Odjazd! – Uderzył otwartą dłonią w maskę samochodu.

Dżip ruszył i po chwili zniknął między drzewami. Grange nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak zdenerwowany. Przekłęta, uparta jak osioł kobieta!

– Od jak dawna za tobą biega? – spytał Rourke.

– Poznałem ją w Iraku – odparł Grange. – Jeździła z moją jednostką i zbierała materiały do artykułu. Ale nic więcej się nie działo. Dopiero jak wróciłem do kraju, a konkretnie cztery miesiące temu, coś w nią wstąpiło i od tej pory nie mogę się jej pozbyć. Upierdliwa baba.

– Rozumiem – mruknął Rourke, podumał przez chwilę, po czym wrócił do przerwanej zajęcia.

Grange odetchnął głęboko, by się opanować, i powiedział do generała:

– Przepraszam. Straciłem panowanie nad sobą, w efekcie czego Clarisse pojedzie do Sapary i wszyscy zginiemy przez mój dumny błąd.

– Niekoniecznie, przyjacielu – powiedział z uśmiechem Machado. – Znam się na kobietach. Sądzę, że akurat ona nie wyda wyroku na cały pułk tylko po to, by odegrać się na jednym facecie. Ale na twoim miejscu miałbym się na baczności.

– Wiem, że może być niebezpieczna.

– Nie tylko niebezpieczna. – Machado spojrzał uważnie na Grange'a. – To doświadczona i wyrafinowana kobieta, a mimo to uważasz ją za nieatrakcyjną. Cenisz niewinność, tak?

– Można tak to ująć. W Stanach czeka na mnie córka mojego zarządcy. – Grange mimowiednie zerknął gdzieś w dal, na północ. – Jest jak powiew świeżości.

– Teraz już wszystko jasne. – Rozweselony Machado poklepał go po plecach. – Chodź, zapomnij o zwariowanej damulce i napij się ze mną kawy. Wkrótce powinniśmy dostać wieści z miasta.

Clarisse wróciła samolotem do Manaus i uruchomiła kontakty z Teksasie. Godzinę później już wiedziała, kim jest Peg Larson i gdzie ją znaleźć. Grange gorzko pożaluje swoich słów. Szkoda tylko, że nie była w stanie dopiec również Rourke'owi, jednak był człowiekiem ze stali. Nawet bomba by go

nie ruszyła.

Za to Grange'a nietrudno zranić. Clarisse była potomkinią jednego z twórców amerykańskiej konstytucji, pochodziła z potężnej, zamożnej rodziny. Miała pieniądze, urodę i urok, i wiedziała, jak z tego korzystać. Grange zapłacił za zniewagę, i to słono.

Z pokoju hotelowego wyszła na balkon i spojrzała na miejską dżunglę, zamieszkaną przez dwa miliony stworzeń. Zawiesiła wzrok na okazałym budynku opery, wzniesionym w 1896 roku. Na początku dwudziestego wieku, w czasach prosperity branży kauczukowej, Manaus, nazywane „Paryżem tropików”, było ośrodkiem prężnego przemysłu, który z mężczyzn wydzierających dżungli cenne rośliny błyskawicznie czynił milionerów. Zapotrzebowanie na kauczuk zmalało w latach dwudziestych, ale odżyło z nową mocą po wybuchu drugiej wojny światowej. Obrotni biolodzy zdążyli jednak przetransportować sadzonki kauczukowca na Cejlon i do krajów Dalekiego Wschodu, łamiąc tym samym południowoamerykański monopol. Manaus znów wtopiło się w otoczenie i skończyła się era wielkich fortun zbudowanych na surowcu wydartym dżungli. Miasto było jednak niczym feniks i powstało z popiołów.

W 1967 roku, wraz z utworzeniem specjalnej strefy ekonomicznej, miasto stało się ważnym ośrodkiem produkcji sprzętu elektrycznego i elektronicznego, a także celem podróży turystów nastawionych proekologicznie, ponieważ udało się zachować naturalne piękno i biologiczną różnorodność Rio Negro, rzeki, nad którą leży Manaus.

Miasto było imponująco majestatyczne. Ponieważ leżało na terytorium Brazylii, mówiono w nim po portugalsku, ale już całkiem niedaleko, tuż za granicą Barrery, gdzie stacjonował Grange i jego ludzie, dominował hiszpański. Jednak dla Clarisse nie stanowiło to różnicy, ponieważ płynnie mówiła w obu tych językach. Wykręciła numer i zarezerwowała bilety samolotowe, które pomogą zrealizować jej plan. Była pewna swego. Zamierzała przekonać Peg Larson, by poleciała z nią do dżungli. Miała co do niej pewne plany, ale niezbyt przyjemne. Poczowała wyrzuty sumienia, ponieważ z natury nie była okrutna. Wzięła lekarstwo, położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Cóż, nie była z natury okrutna, a jednak nie powinna czuć się winna. Grange sam się o to prosił.

Zadrzała, oczami wyobraźni widząc zdradliwe wody Rio Negro i przypominając sobie, co zaszło cztery miesiące wcześniej. Za wcześniej. Nie powinna do tego wracać. Sięgnęła po leki przeciwłękowe, by zażyć kolejną tabletkę, ale ze zdziwieniem stwierdziła, że buteleczka jest prawie pusta. Nie szkodzi. W Manaus miała znajomego lekarza. Zadzwońi do niego i poprosi o receptę.

Następnego dnia poleciała do Waszyngtonu. Była wściekła, łykała stanowczo zbyt dużo proszków. Zranione ego i urażona duma sprawiały, że nie myślała rozsądnie. Pragnęła jedynie wyrównać rachunki. Grange zapłacił, tak samo jak jego panienka. Wszyscy zapłacą!

Peg właśnie karmiła kury, które razem z ojcem hodowała dla świeżych domowych jaj, kiedy na podjazd skręcił srebrny mercedes. Odstawiła pojemnik z ziarnem i wyszła gościom na spotkanie.

Z początku sądziła, że przyjechała Gracie, ale przypomniała sobie, że Pendletonowie jeżdżą jaguarami, a ulubiony sportowy model Gracie był koloru zielonego. A więc to nie ona.

Z auta wysiadła piękna blondynka, ubrana w spodnie koloru khaki i niebieską jedwabną bluzeczkę, na którą miała narzuconą utrzymaną w tym samym kolorze co spodnie kamizelkę z milionem kieszeni i kieszonek.

– Cześć! – zaszczebotała, błyskając śnieżnobiałym uśmiechem. – Szukam Peg Larson.

– To ja.

– Nazywam się Clarisse Carrington. – Wyciągnęła rękę. – Właśnie przyleciałam z Ameryki Południowej. – Podeszła bliżej, upewniając się, że nikt nie podsłuchuje. – Widziałam się z Winslowem Grange'em.

– Czy wszystko u niego w porządku? – spytała porażona nagłym lękiem Peg.

– W najdoskonalszym. – Clarisse nie spodobała się mina Peg. Było dla niej oczywiste, co czuła ta dziewczyna. Opanowało ją przelotne poczucie winy za to, co zamierzała zrobić. Jednak naprawdę tylko przelotne. Uśmiechnęła się jak najmilej, po czym dodała: – Czekają z atakiem, aż wyjaśni się pewne wątpliwości. Grange chciałby się z tobą zobaczyć.

– Przyjeżdża do Stanów?

– Nie, to niemożliwe. – Clarisse spojrzała na swoje drogie mokasyny. – Chce, żebyś go odwiedziła w obozie. Mam cię eskortować. Jestem dziennikarką, mogę swobodnie podróżować. Mam prywatny samolot i dzipa z kierowcą. Kupiłam bilety z San Antonio do Atlanty i dalej do Miami, gdzie wsiądziemy do samolotu lecącego do Manaus, a tam już zarezerwowałam pokój w hotelu. Z Manaus jest blisko do obozowiska Grange’a i jego ludzi.

Clarisse mówiła szybko i z absolutnym przekonaniem, jednak było coś w jej oczach, co sprawiało, że Peg się wahała.

– To droga impreza. Skąd wezmę na to pieniądze?

– Chyba żartujesz! – Clarisse odchrząknęła. – Za nic nie musisz płacić. Nie brakuje mi pieniędzy. Pracuję jako dziennikarka wyłącznie dla przyjemności.

– Dlaczego to robisz?

Clarisse przykleiła do twarzy kolejny rozbrajający uśmiech. Cwaniara, pomyślała o Peg. Zamiast się cieszyć, że zawiozę ją do kochasia, węszy podstęp.

– Piszę artykuł o misji Grange’a – oświadczyła. – Dla znanego magazynu. – Wymieniła nazwę. Chodziło o popularne kolorowe pismo, które Peg często przeglądała w poczekalni u lekarza. – Chcę opowiedzieć o osobach związanych z najemnikami. Planowałam napisać o innym żołnierzu biorącym udział w wyprawie, ale jego siostra nie chciała polecieć ze mną do dżungli. – Kłamiąc, nawet nie mrugnęła okiem. – Uznała, że to zbyt niebezpieczna podróż, choć wcale tak nie jest. Po prostu dziewczyna boi się węży.

Węże. Co za kiepska wymówka, pomyślała Peg. Gdyby miała brata, poleciałaby choćby na koniec świata, byle się z nim zobaczyć. I pojedzie dokądkolwiek, jeśli dzięki temu spotka się z Grange’em. Kiedy przekazywał wiadomość przez radio, nie wspominał o Clarisse Carrington, tylko o jakiejś nieszczęsnej damulce, która się za nim uganiała. Wcześniej wspomniała jej o tej damulce Barbara. Ale to nie może być jedna i ta sama osoba... Czy jednak na pewno? – zastanawiała się Peg. Grange bierze udział w niebezpiecznej misji wojskowo-politycznej, więc każda intryga jest możliwa...

– Zgódź się – nalegała Clarisse, dostrzegając jej wahanie. – To pomoże sprawie. Musisz tylko poświęcić dwa, trzy dni. Przed weekendem wrócisz do domu. Obiecuję. – Uśmiech przeszedł w lekki grymas. – Winslow tęskni za tobą, bardzo mu zależy na tym spotkaniu.

Serce Peg aż podskoczyło. Naraz zapomniała o wszystkim, co przed chwilą usłyszała. Grange chciał się z nią zobaczyć. Tak strasznie za nim tęskniła... Zaglądała w miejsca, które lubił, przesiadywała w jego pokoju i patrzyła na łóżko, na którym sypiał. Snuła się po swoim pokoju, gdzie ją całował i namiętnie pieścił. W myślach odgrywała ich ostatnie spotkanie, kiedy znów ją pocałował, ale tym razem czule i delikatnie. Niemal każdej nocy miała gorący, erotyczny sen ze sobą i Grange’em w roli głównej. Wiedziała, że coś do niej czuje, ale nie zdawała sobie sprawy, jak silne jest to uczucie. Skoro tak bardzo pragnął się z nią zobaczyć, że aż poprosił znajomą dziennikarkę, żeby przywiozła ją do obcego kraju, i to raptem na parę dni, to... to może chciał się oświadczyć?

– O rety – szepnęła Peg, kładąc dłoń na sercu.

– Niedługo zacznie się walka – powiedziała Clarisse. – Grange to dobry żołnierz, ale co będzie, jeśli do niego nie pojedziesz, a jemu coś się stanie? Jak będziesz się czuła, jeżeli przestraszysz się dżungli i nie polecisz ze mną, a potem już nigdy go nie zobaczysz?

– Wcale nie boję się dżungli. – Peg błysnęła zielonymi oczami. – Owszem, nie lubię węży, ale żeby miałam się ich bać? W życiu!

– Zuch dziewczyna – pochwaliła ją Clarisse. – No więc o co chodzi? Bo czuję, że wciąż się wahasz.

– Czy ten artykuł, który piszesz, nie zdradzi planów generała?

– Kochanie, jakże mogłabym zaszkodzić tym, którzy walczą o przywrócenie demokracji! –

z wyniosłą nutą powiedziała Clarisse. – To oczywiste, że tekst zostanie wydrukowany już po tym, jak Machado odzyska władzę. – Po czym dodała już innym tonem, jakby mówiła do siebie: – Nigdy w życiu bym ich nie zdradziła. Nawet na torturach.

Peg nadal się wahała. Zanim poleci z tą kobietą na inny kontynent, powinna zadzwonić w kilka miejsc i sprawdzić ją.

Clarisse jakby czytała jej w myślach, bo zerknęła na zegarek i oznajmiła niecierpliwie:

– Samolot z Atlanty do Miami odlatuje za cztery godziny. Musimy jechać, jeśli chcemy zdążyć, a potem lot z Miami na miejsce... Gdybyś teraz nawaliła, nie wiem, na kiedy zdobędziemy następne bilety... i czy w ogóle będzie jeszcze sens lecieć do Ameryki Południowej.

Peg głośno jęknęła. Ona się waha, a Grange czeka na nią przed atakiem, który może się okazać ostatnim w jego życiu. Nie ma czasu na wahanie!

– Tylko się spakuję – rzuciła. – I powiem tacie, dokąd się wybieram. – Ruszyła do domu. – Wejdz do środka, Clarisse, i poczekaj w salonie. Szybko się uwinę.

– Dzięki. Weź coś lekkiego, najlepiej jedwab.

– Jedwab? – Peg machnęła ręką. – Sądziś, że mnie stać? Nie mam nawet jedwabnej chustki.

Clarisse ugryzła się w język. No tak, Peg była ubrana w bawełnianą koszulkę, bo innej nie miała. Rozejrzała się i dostrzegła tanie meble. Ale bieda, pomyślała z pogardą, zaraz jednak przypomniała sobie o roli, jaką miała odgrywać.

– Po prostu weź wygodne ciuchy, a także krem do opalania. Ale pamiętaj, że niedługo zaczyna się pora deszczowa. Ale Manaus, choć to nie Paryż, jest jednak całkiem sporym miastem, więc na pewno będziemy mogły kupić coś na miejscu. Więc może lepiej weź same ubrania. Byłe nie bawełnę, bo trzyma wilgoć. Pamiętaj o wysokich butach i spodniach ze sztucznego materiału.

– Okej, okej. Już pędzę. – Sęk w tym, że miała całe mnóstwo bawełniano-poliestrowych ciuchów, bo były tanie. Jedwab! Dobre sobie!

Clarisse przechadzała się po salonie. Zainteresowała się obrazem wiszącym nad kominkiem, na którym galopowały konie na tle pochmurnego nieba.

– Kto namalował ten obrazek nad kominkiem? – zawołała.

– Miejskowa malarka, Janie Brewster Hart – odparła Peg. – Wystawia w San Antonio, razem ze swoją szwagierką, żoną naszego prokuratora stanowego, która jest rzeźbiarką.

– Nieźle – mruknęła Clarisse. Obraz był naprawdę udany, autorka miała niezaprzeczalny talent.

Nagle dotarło do niej, że znajduje się w domu Grange'a. To była jego posiadłość, mieszkał tutaj. Zmarszczyła brwi. Dom stanowił odbicie jego osobowości. Wnętrze było proste, wręcz spartańskie, choć wygodne. Tu i ówdzie dało się zauważyć pamiątki z Bliskiego Wschodu. Prócz tego dwa niewielkie obrazki, kilka skamielin, nóż z kościaną rękojeścią. Oprawione zdjęcia przedstawiające Grange'a i chłopaków z jego jednostki z Iraku. Fotografie przywołały bolesne wspomnienia chwil, kiedy Clarisse usiłowała flirtować z Grange'em. Nie była tak agresywna jak dziś, przeciwnie, bardzo nieśmiała. Z trudem wyrażała własne pragnienia. Nikt nie znał całej prawdy. Nawet Rourke.

– Już prawie jestem gotowa. Jeszcze tylko zadzwonię do taty i powiem mu, dokąd jadę.

– Tylko nie mów zbyt dużo – ostrzegła Clarisse. – Telefon może być na podsłuchu.

– Nie żartuj!

No tak, żartowała, ale przecież nie chciała, żeby ojciec Peg przejrzał misterny plan. Nie mogła sobie pozwolić na wpadkę.



– Wcale nie żartuję. Mówimy o tajnej operacji wojskowej, a to jest dom Grange’a. Nie możemy niczego wykluczyć. – Przyszło jej do głowy, że przez przypadek mogła to być prawda.

– No dobrze – po chwili namysłu zgodziła się Peg. – Tata jest na ranczu Pendletonów. Zadzwoń i powiem, że wyjeżdżam na kilka dni do Atlanty z przyjaciółką ze szkoły.

– Dobry pomysł... – Clarisse o mały włos się nie rozmyśliła. To, co robiła, było okrutne, a przecież z natury wcale taka nie była. To życie uczyniło ją taką. Grange uważał ją za modliszkę. Zabawne. W rzeczywistości była niewinna jak Peg. Po prostu okazała się niezłą aktorką. Ale tylko przy Grange’u. Tak bardzo go pragnęła. Przypominał jej Rourke’a...

Poszła do kuchni po szklankę wody. Ponieważ nie znalazła butelki z wodą mineralną, nalała sobie trochę z kranu, wyjęła tabletki i połknęła dwie. Nie znosiła latać. Ale musiała się przyzwyczaić, w czym pomagały proszki. Tak jak na wszystko.

Zabawne, że mężczyźni w zasadzie nigdy jej nie pociągali. Z wyjątkiem Rourke’a. Grange pojawił się w życiu Clarisse w Iraku, gdzie stacjonował z zielonymi beretami. Dostała pozwolenie z Pentagonu, bo miała wysoko postawionych przyjaciół, i jeździła z jednostką, zbierając materiały. Grange stał się głównym obiektem jej zainteresowania. Na wszelkie sposoby starała się go skusić, ale nic nie działało. Potem znowu się spotkali, tym razem na imprezie w Waszyngtonie, wkrótce po tragedii, która dotknęła rodzinę Clarisse. I wkrótce po tym, jak zaczęła łykać leki przeciwlękowe. Czowała, jak zmienia się jej osobowość. Wtedy, na przyjęciu, była agresywna i namolna. Nic dziwnego, że ją zbył. Od tamtej pory miała obsesję na punkcie Grange’a starała się zwrócić jego uwagę, jeździła za nim, nagabywała w restauracjach i hotelach. Grange się nie odzywał, ale raptem przestał nocować w tych hotelach, w których Clarisse udało się przekupić obsługę.

To tym bardziej zmotywowało ją do działania. Najciekawsze, że Grange wcale nie był w jej typie. Westchnęła i wstawiła szklankę do zlewu. Woda nie była taka zła, lepsza niż ta butelkowana.

Myślami wróciła do ostatniego spotkania z Grange’em w Barrerze, do obraźliwych słów, które wyrzaskiwał i które słyszeli wszyscy... łącznie z Rourkiem. Nie pragnął jej. Uważał, że jest odpychająca. To słowo przebiło ją jak gorący sztylet. Cóż mógł o niej wiedzieć, o jej przeszłości, o cierpieniu? Wcale nie chciał wiedzieć. Miał tę swoją milutką i niewinną panienkę, która nie wyglądała nawet na nastolatkę, biedną jak mysz kościelna, niemającą znajomości, nic. Clarisse miała za to wszystko... oprócz Grange’a.

– Chyba oszalałam! – powiedziała do siebie. – Zupełnie zwariowałam!

– Słucham? – Peg stała na schodach.

– Dobra woda – odparła Clarisse.

– Dziękuję. Mamy własną studnię. – Weszła do salonu, taszcząc starą walizę. Włożyła najlepszą wyjściową sukienkę i buty na wysokim obcasie. – Może być?

Clarisse stała jak porażona.

– Leciałaś kiedyś samolotem?

– No... nie. Tak. To znaczy takim do opryskiwania pól. Raz – odparła Peg. – To taki dwumiejscowy samolocik. Rozpyła się z niego środek owadobójczy. To znaczy my nie rozpylamy, ale inni tak.

Clarisse odetchnęła głęboko. Była już bodaj wszędzie. Latała różnymi samolotami, od pasażerskich gigantów po maszyny wojskowe. Tymczasem to dziecko, które nigdy nie leciało prawdziwym samolotem, sądziło, że aby wejść na pokład, należy się odświętnie ubrać. Buty na wysokim obcasie na lotnisku w Atlancie? Tam, gdzie trzeba wychodzić kilometry pomiędzy poszczególnymi stanowiskami?

– Włóż lepiej zwykłe spodnie, jakąś przewiewną koszulkę, wygodne buty i skarpetki. Na pokład weź sweterek. Nie da się paradować po lotnisku na wysokich obcasach. Poobcierasz sobie stopy, zrobią się bąble, wda się infekcja, a to w lesie deszczowym może się skończyć fatalnie. Łatwo o zakażenie krwi.

– Och.

– Nic nie szkodzi, moja droga – odezwała się łagodnym tonem Clarisse. – Też o tym nie wiedziałam, dopóki ktoś mi nie powiedział.

– Dzięki. – Peg uśmiechnęła się nieśmiało. – To ja się pójdę przebrać.

Pobiegła do swojego pokoju. Clarisse czuła, jakby sufit spadł jej na głowę. Peg tak bardzo przypominała Matildę, nie z wyglądu, ale charakterem i niewinnością. Zamknęła oczy, próbując powstrzymać falę bólu. To jej wina. Uparła się, żeby Matilda wzięła udział w tej wyprawie, poznała Indian i zobaczyła dżunglę okalającą Manaus. Clarisse miała swoje obowiązki dziennikarskie, ojciec wykonywał misję jako przedstawiciel Departamentu Stanu, natomiast Matilda była tylko turystką...

– Fantastyczna przygoda, zobaczysz! – powiedziała jej Clarisse, szykując się do wywiadu z wodzem plemienia.

Była to rodzinna wyprawa, dla Clarisse połączona z pracą. Matilda zapłaciła najwyższą cenę za jej krótkowzroczność. A teraz zamierzała narazić kolejną dziewczynę celowo, z zemsty...

– Gotowa – obwieściła Peg.

Clarisse spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. Tym razem to ona się wahała.

– Nie wiem. Może to jednak nie jest dobry pomysł... – myślała na głos.

– Ale ja chcę jechać! – odparła Peg. – Zrobię wszystko, żeby go zobaczyć. Wszystko!

Clarisse zacisnęła zęby. Grange obraził ją na oczach Rourke'a, który miał swoje powody do nienawiści. Grange zdeprecjonował ją i zasugerował, że jest tania. Swoimi słowami pozbawił ją reszty skrupułów. Zmusiła się do uśmiechu.

– W takim razie w drogę!

Peg nigdy nie była na lotnisku, jeśli nie liczyć tego, że kiedyś Jason Pendleton musiał po przylocie jak najszybciej dotrzeć na ranczo i poprosił Eda o pomoc, a Peg zabrała się z tatą. Terminal w San Antonio był sporych rozmiarów, wypełniało go mrowie ludzi. Zerknęła na palmy rosnące przed wejściem i oznajmiła:

– To mnie zawsze rozbraja – mruknęła. – Palmy, zupełnie jak na Florydzie. No, tak myślę, bo nigdy nie byłam na Florydzie.

Clarisse tylko pokiwała głową. Ależ ciemne z niej stworzenie, pomyślała.

Godzinę później siedziały już na pokładzie samolotu. Miały miejsca w klasie biznesowej, razem z mężczyznami w eleganckich garniturach, z podłączonymi do internetu telefonami komórkowymi i laptopami. Panowie kompletnie nie zwracali na nie uwagi.

Peg fascynował każdy szczegół. Kiedy stewardesa rutynowo objaśniała pasażerom sposoby zachowania się podczas wodowania, jak zawsze odtwarzając przy tym instruktażowy film wideo, Peg wszystko wysłuchiwała i obejrzała uważnie, a potem skomentowała podekscytowana:

– To było świetne!

– Tak, jasne, kamizelka ratunkowa na pewno ci się przyda – zadrwiła Clarisse. – Jedyne zbiorniki wodne, nad którymi będziemy lecieli, to rzeki i jeziora. Jeśli spadniemy, to zapewniam cię, że ostatnią rzeczą, jakiej będziemy potrzebowali, to kamizelka ratunkowa.

– Aha. – Peg bawiła się ustawieniami fotela. – Ale kiedy będziemy lecieli do Ameryki Południowej, mogą się przydać.

Jeśli samolot spadnie, uderzy w wodę z prędkością prawie tysiąca kilometrów na godzinę, pomyślała Clarisse. Maszyna wraz z pasażerami rozpadnie się na kawałki. A jeśli ktoś jakimś cudem przeżyje, rekiny dokończą sprawę. Jednak nie powiedziała o tym Peg, tylko wzięła kolejną pigułkę i zasnęła, żeby nie myśleć o okrutnej zemście na mężczyźnie, który ją odtrącił.

Była już ciemna noc, gdy Grange i Rourke skończyli omawiać pewne szczegóły dotyczące akcji.

Wtedy Grange, którego gryzło sumienie, powiedział:

– Nie powinienem być taki bezwzględny wobec Clarisse. To nie było w porządku. Ale cóż, wreszcie mnie poniosło. Ona nie daje mi spokoju, a ja mam już tego dość.

– Nie znasz jej za dobrze, prawda? – spytał Rourke.

– Wiem tyle, że od kilku miesięcy jest jak wrzód na dupie.

– A jednak powinieneś coś jeszcze wiedzieć. – Rourke wbił spojrzenie w kubek z kawą. – Mniej więcej sześć lat temu jej ojciec wycofał się z interesów i zaczął pracować w Departamencie Stanu, o czym zawsze marzył. Przed czterema miesiącami rząd wysłał go do Barrery, gdzie miał wynegocjować kontrakt na ropę naftową. Sprawa była szemrana, bo Sapara przepędzał albo mordował Indian, którzy nie zgadzali się na wydobywanie ropy na ich terytorium. Rozchodziły się o tym pogłoski, ale ani odpowiednie służby Stanów Zjednoczonych, ani media nie wiedziały nic na pewno. Ojciec Clarisse miał za zadanie to sprawdzić, a także, niezależnie od rozmów z rządem centralnym, wynegocjować umowy z plemionami, do których należały tereny roponośne. Sapara wiedział, że takie postawienie sprawy przez Departament Stanu to faktyczne wotum nieufności wobec prezydenta Barrery, jednak współpraca gospodarcza ze Stanami Zjednoczonymi była dla niego zbyt ważna, by mógł jawnie zaoponować, tym bardziej że w to przedsięwzięcie zaangażował się również najpotężniejszy sąsiad, to znaczy Brazylia. Dlatego Sapara rozegrał to w inny sposób, po swojemu. – Wypił łyk kawy. – W Manaus i okolicy cumuje mnóstwo łodzi turystycznych, ale jeśli chcesz odwiedzić tubylców w ich wiosce, musisz wziąć przewodnika, który zawiezie cię do dżungli swoją łodzią. I tak się jakoś stało, że właśnie ta łódka była w opłakanym stanie i na jednym z progów rzecznych wywróciła się. Żebyś miał cały obraz, stało się to akurat tam, gdzie były piranie. Przewodnik zdołał się uratować, jakby był przygotowany na to, co ma się stać, natomiast...

– Rozumiem... – Grange w napięciu czekał na ciąg dalszy.

– Złośliwy los dodatkowo dopomógł Saparze, ponieważ rano ojciec Clarisse zaciął się przy goleniu. Ranka była mała, ale wystarczyła. Zresztą najpewniej i tak utonął, zanim te żarłoczne ryby go dopadły. Na wyprawę zabrał ze sobą dwie córki, bo sądził, że to będzie dla nich ciekawa przygoda. Kiedy młodsza, Matilda, zobaczyła, jak ojciec wpada do wody, popłynęła mu na ratunek i również zginęła. W tym czasie Clarisse przeprowadzała wywiad z wodzem tamtego plemienia. Stała nad brzegiem rzeki, kiedy to się stało. W jednej chwili straciła całą rodzinę. – Przerwał na moment. – Nasz wspólny znajomy powiedział mi, że od tamtej pory Clarisse bierze leki przeciwłękowe. Czasem, gdy wspomnienia dają się jej we znaki, łyka zbyt wiele tych pigułek, przez co ma problem z oceną sytuacji. I popełnia błędy, zachowuje się dziwacznie, nieracjonalnie. – Westchnął. – Nigdy jej nie lubiłem, arogancka młoda dama z wyższych sfer, tak ją oceniałem. Ot, zwykłe chamidło z rozdymanym ego. Jednak po tej tragedii coś w niej pękło. No i rodzi się pytanie, jak to naprawić? – Rourke zauważył, że Grange zbladł. – Jak naprawić to coś, co w tobie pęka? Masz jakiś pomysł? Jakieś życiowe doświadczenie?

– Mój Boże, to ostateczne kwestie... Gdybyś wcześniej mi o tym powiedział, gdybym znał prawdę... – Grange przerwał na moment. – Wtedy nie potraktowałbym jej tak brutalnie. Powinienem był trzymać język za zębami. Cóż, żyjemy tu w strasznym napięciu. Bardzo tęsknię za Peg i martwię się o powodzenie operacji. – Spojrzał na Rourke'a. – Jeśli ruszymy do boju z całą naszą artylerią, zginie wielu ludzi. Być może on również. – Pokazał na generała, który omawiał coś z żołnierzami. – Nawet go polubiłem.

– No. Ja też. – Poklepał Grange'a po plecach. – Nie przejmuj się tak. Clarisse przeżyje. Ma za sobą gorsze rzeczy. – Przypomniał sobie spędzone z nią chwile sprzed wielu lat, gdy oboje byli dużo młodszy. Chwile, które na zawsze oddaliły ich od siebie. Ciekawe, czy pamiętała. Ponieważ on starał się zapomnieć.

– Gdyby dało się cofnąć słowa wypowiedziane w gniewie...

- Gdyby dało się ludzi nakarmić piaskiem, nikt nie umierałby z głodu. Prześpij się. Jutro ważny dzień.
- Ważny dzień – Grange powtórzył jak echo.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Podczas jazdy przez Manaus, z lotniska do hotelu, w którym Clarisse miała wynajęty pokój, Peg podziwiała widoki za oknem. Zatrzymały się w hotelu na dzień czy dwa, ponieważ należało się przygotować do wyprawy do dżungli, a przede wszystkim znaleźć przewodnika godnego zaufania, który bocznymi drogami doprowadzi je do celu.

Oznaczało to konieczność nawiązania kontaktu z przewodnikiem, który nazywał się Enrique Boas i znakomicie znał dżunglę. Clarisse doszła też do wniosku, że potrzebny jej będzie lepszy wóz niż ten rzęch, którym przemieszczał się Enrique. Pomyślała o land roverze.

Mniej więcej godzinę drogi od obozowiska Amerykanów, już na terytorium Barrery, niedaleko granicy z Amazonią, znajdowała się wioska, której wszyscy mieszkańcy posługiwali się językiem portugalskim. Nie było tam żadnych obcych. W wiosce mieszkała matka Boasa, więc dobrym pomysłem było zostawienie Peg właśnie u niej, w tej niepozornej osadzie. Następnie Clarisse zamierzała pojechać do obozu Grange'a i poinformować go o tym, co zrobiła.

Z pewnością Grange rzuci się jej do gardła, ale tego się nie obawiała. Plan był dobrze przemyślany, po prostu bezbłędny. Clarisse porzuci rywalkę w miejscu, z którego Peg nie zdoła uciec, zaś Grange'owi powie, że wywiozła ją do dżungli i tam zostawiła.

Proszki sprawiały, że miewała problemy z koncentracją, robiła jednak wszystko, by nieustannie ogarniać myślą całość. Plan był makiaweliczny, zakładał bowiem, że to, co najgorsze – czy też najważniejsze – dokona się samo. Mianowicie Peg może – a raczej powinna – umrzeć. Turystom, którzy nie wiedzą, jakie niebezpieczeństwa czają się w dżungli, często przytrafiały się różne rzeczy. Ugryzienie owada może się skończyć ciężką chorobą. Wąż może zabić. W rzece są piranie...

Poczuła mdłości. Matilda jak szalona wskoczyła do wody i popłynęła ojcu na ratunek, natomiast ona stała bezradnie na brzegu rzeki i nawet nie kiwnęła palcem. Tej prawdy nic nie zmieni. Boże drogi, jakże kochała ojca i siostrę. Więc dlaczego im nie pomogła? Matilda, dzielna Matilda umarła...

Zadrzała. To wspomnienie wciąż ją osaczało, napawało przerażeniem, niszczyło. Cztery miesiące. Jak wczoraj. Dlaczego tu wróciła? Tak, za Grange'em, ale nie była to cała prawda. Coś tu się koszmarnie nie zgadzało. Więc po co? Gdzie sens, gdzie logika? Przecież nigdy nie był nią zainteresowany! Wyjechał do żalosego miasteczka gdzieś w Teksasie i znalazł tę petunię, ten fiołek, tę niewiarygodnie naiwną dziewiętnastolatkę, tę całą Peg. A ona ją karze za zdradę Grange'a. Zamrugala. Czy to była wina Peg? Zresztą Grange jej nie zdradził, tylko odtrącił na samym wstępie, nie dawał żadnych nadziei...

Spojrzała na Peg i znów zobaczyła swoją ukochaną siostrę. Odetchnęła głęboko i spróbowała rozproszyć mgłę spowijającą umysł. Skup się, pomyślała, gdy samochód zatrzymał się przed hotelem.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła.

Dziwnie się poczuła. Wręczyła banknot kierowcy, który wysiadł i poszedł wyładować torby z bagażnika i zanieść je do hotelu.

Clarisse zatoczyła się, wysiadając z auta, i byłaby upadła, gdyby Peg jej nie przytrzymała.

– Ostrożnie – powiedziała Peg. – Bo się połamiesz.

Clarisse zagryzła wargę, a po chwili odparła:

– Dziękuję, Matildo.

– Kim jest Matilda? – Peg wbiła w nią pytające spojrzenie.

Naraz wszystko powróciło. Ciało rzucające się w wodzie, nieludzkie krzyki, przerażenie, krew...

Clarisse gwałtownie nabrała powietrza. Stała bez ruchu, zbladła. To nie Matilda, ale Peg. Nie zapominaj, powtarzała sobie, nie zapominaj! Nie! Właśnie postaraj się zapomnieć o tym, co się stało.

– Wejdźmy do środka – rzuciła.

– Oprzyj się na mnie – zaproponowała Peg. – Nie czujesz się najlepiej.

Clarisse poczuła ukłucie bólu, jakby zimne ostrze noża przebiło jej pierś. Spojrzała na tę młodą dziewczynę i zobaczyła lśniące oczy, pełen troski wyraz twarzy, i o mały włos by ją znienawidziła. Czy ta naiwna osóbką naprawdę sądziła, że życzliwa nieznajoma poleciała na drugi koniec świata tylko po to, żeby wyświadczyć kosztowną przysługę? Ależ jest ufna. Matilda też była ufna...

– Już dobrze – powiedziała Clarisse. – Mimo to dziękuję.

Peg się uśmiechnęła.

– Nie ma sprawy. Zaopiekuję się tobą.

Ból narastał. Peg była dużo młodsza, ale nie brakowało jej charakteru i zdecydowania. Clarisse wiedziała, że są do siebie podobne.

– Mają tu dobre jedzenie – powiedziała.

– Super, bo umieram z głodu.

– Zamówimy coś do pokoju. – Zerknęła na zegarek. – W tych stronach jadają dużo później niż w Stanach. Dopiero o siódmej, może nawet o ósmej będzie coś otwarte.

– Wieczorem? – zdziwiła się Peg.

– Niestety tak.

– W takim razie zjem jakąś kanapkę.

Clarisse się roześmiała.

– Co najwyżej ser i *crudités*.

– Crudi... crude... co?

– Surowe warzywa z dipem.

– Aaa... jadłam to kiedyś.

– W tym kraju czeka cię jeszcze wiele niespodzianek. – Niektóre będą tak okropne, że prędko ich nie zapomnisz, dodała w myśli. Odwróciła się, gdy poczuła kolejną falę wyrzutów sumienia. – Chodźmy na górę. Jestem zmęczona. Domyślam się, że ty również.

– Nieszczególnie. Kiedy pojedziemy do Winslowa? – dodała z nadzieją w głosie.

– Na przygotowania musimy zarezerwować dzień, może dwa. Obóz nie znajduje się daleko, ale zaczyna się pora deszczowa, a to utrudnia poruszanie się. Nie możemy tam dopłynąć, więc będziemy musiały skorzystać z dróg, chociaż „droga” to zdecydowanie za dużo powiedziane. Z Manaus do stolicy Amazonii prowadzi przyzwoity wybetonowany szlak, ale my pojedziemy na północ drogami gruntowymi. Zdarza się, że wezbrane rzeki niszczą mosty, ale ponieważ to dopiero początek pory deszczowej, jest szansa, że wszystkie trasy są jeszcze przejezdne.

– Och.

– Wolałybyśmy uniknąć wypadku, prawda? – dodała Clarisse. – To by zmartwiło Grange’a, a przecież ma przed sobą trudne chwile.

– Tak. Oczywiście. Nie pomyślałam. Możemy do niego zadzwonić?

– To nie byłoby rozsądne.

– Przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, że wygaduję takie głupoty. Pewnie dlatego, że jestem zmęczona podróżą.

– Powinłam była ci dać nie tylko chininę, ale i melatoninę – stwierdziła Clarisse. Już na lotnisku w San Antonio Clarisse zaczęła faszerować Peg chininą, mając na uwadze plagę komarów, których co prawda w samym Manaus było stosunkowo niewiele, ale od których aż się roiło tam, dokąd zmierzały. Nie wiedzieć czemu, od samego początku podróży otaczała Peg opieką. Przecież miała wobec niej zupełnie inne plany!

– Najważniejsze to dostosować się do miejscowego czasu – wyjaśniła. – Trzeba zasypiać i budzić się zgodnie z porą obowiązującą w tej strefie czasowej. Przyzwyczaisz się.

– Domyślam się, że dużo podróżujesz – powiedziała Peg, gdy zatrzymały się przed drzwiami do ich pokoju.

– Owszem, całkiem sporo. – Próbując uciec przed wspomnieniami, mogłaby dodać, ale powstrzymała się. – To tutaj. – Otworzyła drzwi.

Peg ostrożnie weszła do środka. Nigdy jeszcze nie była w tak eleganckim miejscu, jeśli nie liczyć wielkiej restauracji w San Antonio, do której Grange zabrał ją i jej ojca, kiedy zaczęli dla niego pracować. Ale tamta restauracja nie dorastała do pięt temu hotelowi.

Tu wszystko było luksusowe. Dwa podwójne łóżka z aksamitnymi białymi narzutami z zielonymi wykończeniami. Pasujące do nich zasłony. Telefon, komputer, faks. Minibarek z napojami i przekąskami. Gruba i zadbana wykładzina, na ścianach nie reprodukcje, tylko prawdziwe obrazy, pewnie tak samo drogie jak te, które miał Grange na ranczu.

Peg poczuła wyrzuty sumienia, że nie powiedziała ojcu prawdy, tylko wcisnęła mu bajeczkę o znajomej, która zabrała ją na zakupy do Atlanty. Ale cóż, gdyby była z nim szczerą, na pewno nie obyłoby się bez kłótni.

– Nie podoba ci się? – spytała Clarisse, widząc zmarszczone czoło Peg.

– Pokój jest piękny. Nigdy w takim nie byłam. Wygląda jak ze snu. Ale wiesz, pomyślałam o ojcu. Okłamałam go. Nigdy wcześniej to mi się nie zdarzyło.

– Wybacz ci. Nie zapominaj, że Grange bardzo pragnie się z tobą zobaczyć.

– Tak, wiem... – Rozejrzała się. – Tak tu egzotycznie. Naprawdę są tu papugi i iguany? Czytałam w samolocie.

– W Amazonii żyje całe mnóstwo różnych stworzeń. – Nagle Clarisse ogarnęła senność. – Kontakt z większością z nich skończy się źle, jeśli nie będziesz ostrożna.

– Cieszę się, że mam cię przy sobie – z uśmiechem odparła Peg. – Dobrze jest podróżować z kimś, kto zna miejsce, do którego się jedzie.

– Tak. – Clarisse położyła się na łóżku i zamknęła oczy. – Zdrzemnę się chwilę. – Otworzyła oczy.

– Nie wychodź z pokoju! Musisz mi to obiecać!

– Okej, obiecuję – odparła niechętnie.

– Jutro pójdziemy pozwiedzać – mruknęła Clarisse. – Pokażę ci zoo.

– Mają tu zoo? – wykrzyknęła Peg.

Ale Clarisse już spała.

Peg dokładnie obejrzała pokój, po czym wyszła na balkon, z którego rozciągał się widok na miasto. Miała ochotę dowiedzieć się wszystkiego o Manaus. Nigdy nawet nie marzyła o wyjeździe do obcego kraju, a kiedy w końcu znalazła się za granicą, nabrała wątpliwości. Skłamała ojcu. Pokonała kilka tysięcy kilometrów w towarzystwie kobiety, o której nie wiedziała zupełnie nic. Po prostu Clarisse oznajmiła, że Grange chce się z nią zobaczyć, i to wystarczyło, żeby przekonać ją do podróży.

Teraz Peg ogarnął strach, że podjęła decyzję pod wpływem impulsu i naraziła się na ryzyko. Miała paszport, w porządku, ale czy przed wyjazdem za granicę nie trzeba się choćby zaszczepić? Clarisse dała jej proszki przeciwko malarii, ale Peg była zaszczepiona tylko przeciwko tężcowi. Zabrała ze sobą zaledwie kilka dolarów, nie wzięła żadnych lekarstw ani telefonu.

Im dłużej o tym wszystkim rozmyślała, tym bardziej była niespokojna. Do tego burczało jej w brzuchu. Clarisse mówiła, że zamówią coś do pokoju, ale zasnęła!

Peg zerknęła na kartę dań leżącą przy telefonie. W menu było jedzenie opisane w kilku językach, z czego rozpoznała wyłącznie angielski i hiszpański. Wprawdzie nie mówiła płynnie po hiszpańsku, ale sporo rozumiała i co nieco potrafiła powiedzieć. Gorzej z czytaniem, choć przecież uczyła się tego języka w liceum. Ale przez dwa lata od skończenia szkoły ani nie zaglądała do hiszpańskojęzycznych gazet, ani nie czytała książek w tym języku. Najwyżej przelatywała wzrokiem po szyldach

i ogłoszeniach wywieszanych w Jacobsville. Teraz żałowała, że nieszczególnie przykładała się do nauki. Manaus leżało w Brazylii, gdzie językiem urzędowym był portugalski. No, tego to już na pewno nie przeczytam, pomyślała Peg, a co dopiero gdybym miała coś powiedzieć! Ciekawe, czy Clarisse rozumie tutejszy język.

Z wahaniem podniosła słuchawkę, wykręciła numer obsługi i zaraz ktoś powiedział:

– *Sí?*

– Czy macie rybę? – spytała ostrożnie.

Zapadła cisza, a po chwili ktoś z obsługi, tłumiąc śmiech i starając się mówić jak najuprzejmiej, odparł:

– Tak, mamy rybę. Po angielsku, tak? Mówię po angielsku. Chce pani rybę, tak? Mamy każdy rodzaj.

– Cudownie! – Zawahała się. – Czy może pan coś polecić? Jestem pierwszy raz w Ameryce Południowej. Chciałabym spróbować czegoś nowego.

Mężczyzna roześmiał się radośnie, po czym powiedział z entuzjazmem:

– Wyślę półmisek z rybami. Pani spróbuje różne rodzaje. Jak mamy zrobić?

– Hm. Usmażyć? I jeszcze poproszę ziemniaki, też smażone. Z keczupem.

– Już się robi, szanowna pani. Coś do picia?

– Tak, poproszę. Czy dostanę gorącą herbatę?

– Może jaśminową?

– Super!

– Z cukrem?

– Tak. Ale jestem głodna! – Zerknęła na Clarisse. – Moja koleżanka poszła spać... Może powinnam zaczekać z zamówieniem, aż się obudzi.

– Będzie pani czekała do rana. – Mężczyzna nie był już taki radosny, wręcz przeciwnie, jego słowa zabrzmiały bardzo chłodno. – *Señorita* będzie długo spała. Panie są przyjaciółki?

– Nie, w zasadzie to jej nie znam – przyznała Peg. – Przyjechała do mnie i powiedziała, że mój... szef chce mnie widzieć, więc mam z nią polecieć. On jest... – zawahała się. Była zła na siebie, że tak papple. Przecież mogło wyrwać się jej nieopatrzone słowo, a Grange brał udział w tajnej operacji wojskowej. – Pracuje tutaj. Jest naukowcem – dodała szybko.

– Jeśli pani czegoś potrzebuje, portier wszystko powie. I jeszcze w Manaus mamy konsulat amerykański.

– Bardzo pan uprzejmy. Dziękuję.

– Uprzejmość to żaden problem, *señorita* – odparł łagodnie mężczyzna. – Zaraz przyniosą jedzenie. Pół godziny.

– Dziękuję. *Gracias* – rzekła niepewnie.

– Tutaj mówi się *obrigado* – poprawił ją wesoło. – Po portugalsku.

– *Obrigado* – powtórzyła ze śmiechem. – Moje pierwsze słówko po portugalsku!

– Nauczy się pani więcej, na pewno. *Boa tarde*. – Znów się roześmiał. – To znaczy „dobry wieczór”.

Warto zapamiętać.

– *Boa tarde* – powtórzyła.

– *Boa tarde*. – Mężczyzna wybuchł śmiechem i rozłączył się.

Czekając na jedzenie, podeszła do komputera Clarisse i włączyła go. Miała nadzieję, że nawet jeśli Clarisse się obudzi, nie będzie miała nic przeciwko. Przesunęła kursor nad ikonkę przeglądarki, ale nagle zauważyła dziwny plik. Ponieważ jego nazwa sugerowała związek z miejscem, w którym się znajdowały, otworzyła go.

Była to notatka sprzed czterech miesięcy. Dotyczyła urzędnika federalnego związanego



z Departamentem Stanu USA, który miał takie samo nazwisko jak Clarisse. Carrington miał za zadanie wynegocjować z rządem kontrakt na wydobycie ropy naftowej, a także dogadać się z Indianami zamieszkującymi tereny roponośne. Niestety wpadł do wody, płynąc łodzią do indiańskiej wioski. Okazało się, że Carrington miał niewielką ranę na twarzy, ale to wystarczyło, by zwabić piranie. Autor notatki zaznaczył, że piranie nie zawsze są groźne, ale wtedy musiały być wygłodzone, bo natychmiast zaatakowały amerykańskiego dyplomatę. Jego córka wskoczyła do wody, żeby ratować ojca, ale również zginęła. Była bardzo młoda, nazywała się Matilda Carrington. Jej starsza siostra stała na brzegu i z przerażeniem obserwowała całe zajście. Autor napisał na końcu, że po tym zdarzeniu doznała ona załamania nerwowego i została zabrana do szpitala.

Zszokowana Peg zamknęła plik i wyłączyła komputer. Z bólem w sercu spojrzała na śpiącą Clarisse. Na jej oczach w straszny sposób zginęli jej ojciec i siostra. Nic dziwnego, że się załamała. Peg była zdziwiona, że po tragedii, która przecież wydarzyła się nie tak dawno, Clarisse przemogła się, by wrócić w to miejsce.

Miała zamknięte oczy i rozluźnione mięśnie twarzy, lecz i tak było widać, że Clarisse od dawna zmaga się z napięciem i bólem. Peg westchnęła. Biedactwo, przeżyła ogromną tragedię. Tym dziwniejsze, że zdobyła się na hojność wobec obcej osoby, bo przecież po czymś takim ludzie zwykle zamykają się w sobie. Peg na pewno właśnie tak by zareagowała. Choć tak naprawdę nigdy nie wiadomo, jak człowiek zachowa się w konkretnej sytuacji, dopóki do niej nie dojdzie, pomyślała.

Wyrzała przez okno. Hotel, jeden z najlepszych w mieście, jak podkreślono w prospekcie, stał na piaszczystej plaży. Zaskoczył Peg tym, że nie otaczały go nędzne chatynki przycupnięte w cieniu drzew, pośród których wiły się jadowite węże i przechadzały jaguary, lecz tętniące życiem duże miasto.

Manaus nazywano „Paryżem tropików”. Rzeczywiście było piękne, pełne światła i kolorów. Były tu zarówno nowoczesne, jak i typowo kolonialne budynki, wyposażone we wszystko, do czego przywykli mieszkańcy światowych metropolii. Kiedy lądował samolot, zafascynowana Peg nie mogła oderwać oczu od zacumowanego w porcie wielkiego transatlantyku. Clarisse powiedziała, że Amazonka aż do Manaus jest żeglownym traktem wodnym dla liniowców transoceanicznych, które dość często tu zawijają. Brazylijski przewoźnik, linie lotnicze TAM, oferował loty z Manaus, zarówno międzykontynentalne, jak i do innych państw Ameryki Południowej.

Z balkonu Peg widziała biały piasek na plaży, palmy i lśniąca wodę. Wygląda jak ocean, pomyślała, nie jak rzeka. Tak bardzo chciała wyjść z hotelu i pobiec na plażę. Miała nadzieję, że w ciągu tych dwóch dni, które Clarisse przeznaczyła na przygotowania do podróży w głąb dżungli, znajdą trochę czasu na zwiedzanie. Dla Peg to mogła być jedyna okazja... Choć gdyby jeszcze dziś mogła wyruszyć na spotkanie z Grange'em, zrobiłaby to bez wahania. Nie mogła się doczekać, aż zobaczy jego minę!

Kelner przyniósł ogromny półmisek ryb, a także herbatę i smakowicie wyglądający, elegancko przybrany deser.

– Raoul ma nadzieję, że skusi się pani również na deser. To jedna z naszych specjalności – powiedział z uśmiechem. – Deser zawiera miejscowe owoce, a także orzechy kokosowe. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić.

Zawahała się.

– Dziękuję... – Nagle poczuła się bardzo niezręcznie. – Nie mam napiwku dla pana.

– Nie szkodzi, *señorita*. – Uśmiechnął się uprzejmie. – Naprawdę.

– *Mil gracias*.

– *De nada* – odparł kelner. – Znając hiszpański, szybko zacznie pani rozumieć portugalski.

Przekona się pani. *Bom dia*.

– *Bom dia*. – Uśmiechnęła się szeroko. – *Obrigado*.

Kelner popatrzył na nią przyjaźnie, ukłonił się i wyszedł.

Peg rzuciła pełne skruchy spojrzenie na pogrążoną we śnie Clarisse. Zamówi sobie coś, kiedy się obudzi, pomyślała. Miała tylko nadzieję, że starczy jej oszczędności, żeby zwrócić Clarisse za jedzenie. Zgodzi się, nie zgodzi, zaproponować wypada.

Usiadła przy oknie, by podziwiać widok, i zabrała się do pałaszowania ryb.

Nie dała rady zjeść wszystkiego. Ryby były lekko obtoczone w panierce i usmażone. Pychota. Kucharz doskonale przyprawił ziemniaki. A była jeszcze sałatka owocowa i deser nie do opisania, który jadła z zamkniętymi oczami, pomrukując z zachwytem. Nigdy jeszcze nie jadła czegoś takiego. Gdyby знаła portugalski, poprosiłaby szefa kuchni o przepis, którego i tak by nie dostała, bo to najpewniej pilnie strzeżona tajemnica zawodowa. Szkoda. Tata byłby pod wrażeniem, gdyby zaserwowała mu taki obiad.

Och, tata... Miała nadzieję, że nie będzie musiała powiedzieć mu, gdzie była. Nigdy dotąd go nie okłamała, a tu taka historia... Będzie zawiedziony jej zachowaniem, bardzo go to zaboli. Tyle że tak bardzo pragnęła zobaczyć się z Winslowem. Wszystko będzie dobrze. Na pewno!

Zapadł zmierzch, a Clarisse wciąż spała. Peg spojrzała na skąpane w morzu tysiące kolorowych świateł Manaus. Wielkie, piękne miasto, w jakim nigdy jeszcze nie była. Gdy zapadł zmrok, dzięki miejskiemu oświetleniu widziała doskonale, jak ogromną powierzchnię zajmuje Manaus. Nie spodziewała się, że ujrzy coś tak fenomenalnego w samym sercu amazońskiej dżungli. Niesamowite!

Otworzyła broszurę leżącą obok telefonu, znalazła rozdział po angielsku i przeczytała o historii miasta. Kiedy dotarła do ostatniego akapitu, poczuła się senna. To był długi, bardzo długi dzień.

Clarisse nadal spała w najlepsze!

Peg wzięła prysznic, po czym przyłożyła głowę do poduszki i natychmiast usnęła.

Obudził ją dźwięk otwieranej walizki. Clarisse pakowała kosmetyki. Miała na sobie ubranie w takim samym kolorze khaki, ale o innym kroju, do tego niebieską kamizelkę z mnóstwem kieszeni i pasujące do niej niebieskie buty.

Peg przetarła oczy.

– Wreszcie się obudziłaś – z uśmiechem powiedziała Clarisse. – Jak się spało?

– Dzięki, dobrze. Wieczorem zamówiłam kolację. Zwrócę ci...

– Nie trzeba. – Clarisse machnęła ręką. – Ja stawiam. Przepraszam, że tak odpadłam, ale byłam wykończona. W ciągu trzech dni dwa razy pokonałam tę samą trasę i nie zrobiłam sobie przerwy. Głodna? Bo zamówiłam śniadanie. Mają tu świetną kawę. Pijesz?

– Och, uwielbiam kawę.

– Nie byłam pewna, bo Raoul powiedział, że wczoraj poprosiłaś o herbatę.

– Nie wiedziałam, czy mają kawę.

– Peg! – Clarisse nie kryła zdumienia. – Jesteśmy w Ameryce Południowej! To światowe zagłębie kawy!

– Przepraszam. – Peg roześmiała się. – Przecież wiem! Tyle że byłam strasznie zmęczona i rzuciło mi się na mózg. Poza tym nigdy nigdzie nie wyjeżdżałam. A to miejsce jest takie cudowne! – dodała, wstając z łóżka. – Wygląda jak zdjęcia Nowego Jorku nocą. Nie sądziłam, że Manaus jest takie duże.

– Owszem, całkiem spore. Jest opera, mnóstwo kościołów i jedno z najnowocześniejszych biurów w Brazylii.

– Będziemy miały czas na zwiedzanie?

– Oczywiście. Ale najpierw trzeba cię zaszczepić. Poprosiłam znajomego lekarza, żeby przyszedł do hotelu, bo po co mamy chodzić po gabinetach? Wczoraj dałam ci chininę, bo w Ameryce Południowej malaria jest sporym problemem. W dodatku już są pierwsze oznaki pory deszczowej. Na szczęście w rejonie Rio Negro nie jest tak źle.

– Zaszczepić?

– Na zapalenie wątroby typu A i B, na malarię, na żółtą febrę. To konieczne, a Winslow by mi nie wybaczył, gdybyś zachorowała na jakąś chorobę tropikalną. – Clarisse umknęła wzrokiem. Początkowo nie zamierzała zapewniać Peg żadnej ochrony, ale ponieważ gryzło ją sumienie, uznała, że może dla niej zrobić przynajmniej tyle, że nie puści jej do dżungli bez szczepionek.

– Nie cierpię zastrzyków.

– Wolisz zachorować?

– No nie – odparła z westchnieniem.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Śniadanie! – oznajmiła Clarisse, przywołując szeroki uśmiech.

Nie śpiesząc się, zjadły śniadanie. Po posiłku zjawił się lekarz. Oprócz szczepionek przyniósł zestaw lekarstw niezbędnych dla przyjezdnych, których organizmy mogły źle zareagować na tutejszy klimat, drobnoustroje oraz zwyczaje kulinarne.

Zastrzyki okazały się niemal bezbolesne, po czym doktor i Clarisse wyszli na korytarz.

– W hotelu możesz jeść i pić do woli – powiedziała Clarisse, gdy wróciła po kilku minutach – ale poza miastem wystrzegaj się wody i jedzenia. I błagam, zwracaj uwagę, czy coś cię nie ugryzło. Ukąszenia owadów bywają niebezpieczne, jeśli się je zlekceważy.

– Okej.

– Zawsze musisz o tym pamiętać. A teraz się zbieramy, pokażę ci miasto. Manaus jest naprawdę niezwykle.

– Nie wiem, jak zdołam ci się odwdzięczyć – powiedziała ze smutkiem Peg. – Jestem gospodynią na ranchu, mogę ci zaofiarować tylko wiejskie atrakcje. – Uśmiechnęła się. – Jeśli lubisz takie atrakcje, mogę cię zabrać na konną włóczęgę po Teksasie. Coś wspaniałego! I nauczę cię łowić ryby. Znam najlepsze miejsca w okolicach Jacobsville!

Zaskoczona Clarisse spojrzała na nią. Owszem, czasami dla towarzystwa zabierała kogoś na światowe wojaże. Chętnych było wielu, lecz każdy liczył, że za wszystko zapłaci Clarisse. I tak też było, każdy chętnie za darmo zwiedzał atrakcyjne miejsca, choć przecież nie zadawała się z ubogimi ludźmi. Natomiast Peg, której na taki wyjazd absolutnie nie było stać i czuła się zażenowana jej hojnością, zaproponowała w zamian to wszystko, co miała najlepszego do zaoferowania.

– Odwdzięczyć?

– Tak, właśnie tak. Oczywiście doceniam to, co robisz dla mnie, ale musisz zrozumieć, że czuję się zażenowana. Po prostu nie lubię przyjmować niczego za darmo, dlatego pragnę ci się odwdzięczyć.

Clarisse nie wiedziała, co powiedzieć. Czuła narastające poczucie winy.

– Lubię Grange’a – odezwała się po chwili. – Poprosił, żebym cię przywiozła.

Peg chciała zapytać o plotki, które do niej docierały, o jakiejś kobiecie, która ponoć ugania się za Grange’em. Zastanawiała się, czy Clarisse może ją znać. Bo na pewno nie chodziło o nią, o tę tak uprzejmą i szczodłą osobę. Nie mogła być tą szaloną damulką, o której Peg słyszała. Wahała się jednak, czy powinna poruszyć nieprzyjemny temat, zwłaszcza teraz.

– W takim razie chciałam ci bardzo podziękować – powiedziała Peg. – Jeśli jednak będę mogła dla ciebie coś zrobić, po prostu to powiedz. A moje zaproszenie do Jacobsville jest zawsze aktualne.

Clarisse nie odważyła się na nią spojrzeć, tylko rzuciła krótko:

– Chodźmy już.

Odbyły wycieczkę po Manaus.

Gmach opery powstał w czasach kolonialnych. Gdy weszły do środka, dostały specjalne kapcie zakładane na buty, żeby nie porysować starej lśniącej podłogi. Peg z podziwem przyglądała się bogatemu wnętrzu. Raz na jakiś czas słyszała dźwięki opery dochodzące z pokoju Grange'a. Kiedyś razem z nim wysłuchała arii w wykonaniu śpiewaka, którego wcześniej nie kojarzyła. Nazywał się Placido Domingo. Spodobał się jej zwłaszcza utwór pod tytułem „Niech nikt nie śpi” czy jakoś tak.

– Akcja rozgrywała się w Chinach i był taki fragment o tym, żeby nikt nie spał...

– Chodzi ci o „Turandota” Pucciniego. Aria nazywa się „Nessum dorma” – powiedziała Clarisse udreńczonym tonem. – Jedna z najpiękniejszych, jakie słyszałam.

– Śpiewał Placido Domingo, zapamiętałam. Aż miałam gęsią skórkę.

– Byłaś kiedyś w operze? – spytała Clarisse, zerkając na nią.

– Tak naprawdę to nigdzie nie byłam – odparła z rozbijającą szczerością Peg.

– W takim razie powinnaś pójść do opery. Przynajmniej raz. Nigdy tego nie zapomnisz. – Tak jak tego, co się niedługo z tobą stanie, pomyślała Clarisse. Biedna Peg nigdy nie wyrzuci z pamięci tych zdarzeń. Clarisse odsunęła się na bok, wyjęła proszki przeciwlękowe, wysypała dwa na dłoń i szybko połknęła, popijając wodą. Prochy, zawsze prochy. Żeby zasnąć, żeby wstać, żeby zabić wspomnienia...

– Musimy już iść – powiedziała po chwili. – Niestety nie mamy całego dnia.

– Och. Jasne.

Pojechały za miasto do zoo. Zobaczyły małpy, iguany, tapiry i... piranie. Wielkie akwarium pełne piranii.

– Lepiej chodźmy stąd – powiedziała Peg, widząc minę Clarisse, gdy wpatrywała się w ostre zęby ryb. – Idziemy.

Clarisse odwróciła się, ale poruszała się jakby w zwolnionym tempie. Wbiła spojrzenie w Peg.

– Co?

– Nie powinnaś na nie patrzeć... – Peg bardzo by chciała cofnąć te słowa.

Błękitne oczy Clarisse zaśniły groźnie.

– Węszyłaś! – oznajmiła lodowatym tonem. – Przeglądałaś mój komputer, mam rację? – spytała.

Błada jak ściana Peg tylko patrzyła na nią.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie wiedziała, co powiedzieć. Clarisse wyglądała jak dzikie zwierzę, które wyrwało się spod kontroli. Jakby była na prochach. Peg wiedziała, jak wygląda człowiek pod wpływem substancji odurzających, ponieważ jeden z pomocników na ranchu Pendletona ulegał temu nałogowi. Kiedy był naćpany, chamsko przystawiał się do Peg, więc Ed Larson ostro pogadał z chłopakiem, który potem, na szczęście, poszedł na terapię opłaconą przez Pendletona, uwolnił się od uzależnienia i wrócił do pracy. Peg nigdy jednak nie zapomniała jego spojrzeń i agresywnych zaczepek.

– Tak – odparła wreszcie. – Szukałam informacji o Manaus i znalazłam notatkę. Myślałam, że chodzi o jakieś atrakcje turystyczne. Przepraszam cię, bardzo cię przepraszam. Siostra i ojciec... jaka tragedia!

Clarisse czuła się, jakby ktoś wymierzył jej cios. Kiedy zginęli ojciec i Matilda, nie miał kto jej pocieszyć. Rourke wprawdzie zjawił się na urządzonym w tajemnicy pogrzebie, ale nie ośmieliła się poprosić, by dodał jej otuchy. Obiecał, że gdyby czegoś potrzebowała, czegokolwiek... Podziękowała oficjalnym tonem i szybko odeszła.

Nigdy nie pragnęła mieć przyjaciół. Uczyła się w ekskluzywnej szwajcarskiej szkole dla dziewcząt, w której nie czuła się dobrze i którą opuściła z poczuciem izolacji. Matka Clarisse, osoba niezwykle religijna, nauczyła córkę szacunku dla samej siebie i dla własnego ciała, surowo zabroniła seksualnych eksperymentów, alkoholu i narkotyków z kumplami. Wszystko to było z gruntu złe, a ludzie ulegają tym słabościom z podszeptu szatana. Podkreślała, że zwierzęta spółkują, z czym popadnie, natomiast ludzie otrzymali od Boga dar miłości i właśnie tym uczuciem powinni się kierować. Zwieńczeniem prawdziwej miłości są sakramentalne związki, i tylko nimi połączeni ludzie mogą bez grzechu uprawiać seks, który służy nie próżnej rozkoszy, tylko prokreacji.

Oczywiście grzech kusił Clarisse. Na przykład na zabój zakochała się w jednym ze swoich profesorów, i wcale nie myślała o sakramentalnym związku, tylko o dzikim seksie. Problem w tym, że profesor wolał mężczyzn. Clarisse nie wiedziała, czemu inne dziewczęta chichoczą, kiedy rumieniała się, będąc blisko niego. Podkopywało to jej wiarę w siebie. Po porażce z profesorem stała się jeszcze bardziej nieśmiała i niepewna, choć starała się tego nie okazywać. W rezultacie nie była zdolna do ostatecznego kroku, za to pozwalała sobie na flirty, bywało, że bardzo śmiałe, a nawet wulgarne, by koleżanki myślały, że jest normalna. Natomiast Grange uważał ją za balangowiczkę i puszczalską. Po prostu śmiechu warte!

Owszem, dostała szału, kiedy Grange nie reagował na jej zaloty. Miał w nosie, że jest bogata i ustosunkowana. Po prostu nie pragnął jej.

Powód, dla którego odrzucał wszelkie awanse, stał właśnie przed nią. To słodkie, niewinne, wrażliwe dziecko, które patrzyło na nią z takim współczuciem, że Clarisse załamała się po raz pierwszy od wypadku.

– Już dobrze, już w porządku – szepnęła Peg, przytulając Clarisse. – Wyrzuć z siebie ból, bo inaczej będzie się jątrzył jak rana. Już w porządku.

Clarisse płakała jak dziecko. Pomyśleć, że znalazła pocieszenie w tak niespodziewanym miejscu, u wroga, u rywalki, którą zamierzała skrzywdzić. To wprost nie do zniesienia! A jednak poddała się fali uczuć.

Jednak szybko wzięła się w garść. Uwolniła się z objęć Peg, sięgnęła do saszetki, wyjęła chusteczkę i wytarła oczy. Było jej niedobrze.

– Z nikim o tym nie rozmawiałaś, prawda? – spytała cicho Peg.

– A z kim miałabym rozmawiać? – odparła cicho Clarisse. – Matka umarła wiele lat temu. Ojciec

i siostra... – Przerwała na moment. – Tylko ich miałam, to była cała moja rodzina, a żeby się spotkać z przyjaciółmi, muszę ich czymś przekupić, wypadem na miasto, zakupami, weekendem w drogim hotelu...

– To nie są twoi przyjaciele.

– Nigdy tak naprawdę nie miałam przyjaciela – wyznała ze smutkiem.

– W sumie ja też nie – w zadumie odparła Peg. – Owszem, mam za to sporo znajomych, ale to nie to samo.

– Tak, całkiem nie to samo...

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Clarisse odetchnęła głęboko, popatrując na Peg, ale zaraz umknęła wzrokiem. – Dziękuję – powiedziała zakłopotana.

– Każdy potrzebuje, żeby go czasem przytulić – przyjaźnie skomentowała Peg.

– Podobno. – Clarisse wybuchła nerwowym śmiechem.

Peg chciała zapytać o fiolkę z pigułkami i częstotliwość, z jaką do niej sięgała, ale ugryzła się w język. Tak naprawdę były dla siebie niemal obcymi osobami, choć już polubiła Clarisse. Miała nadzieję, że poznają się lepiej, kiedy wreszcie dotrą do obozu Grange'a. Nie chciałyby, żeby Clarisse wpadła w uzależnienie, jak ten chłopak na ranchu Pendletona.

– Wracajmy do hotelu. Muszę załatwić jeszcze kilka spraw, a ciebie pewnie boli ręka po zastrzykach – dodała, widząc lekką opuchliznę na ramieniu Peg.

– Rzeczywiście czuję się nieciekawie.

– Położysz się, a ja się wszystkim zajmę.

Kiedy wyszły z akwarium, Peg powiedziała:

– Naprawdę nie węszyłam. Szukałam czegoś o Manaus.

– W sumie nic złego się nie stało – skwitowała Clarisse.

Peg dostała gorączki, natomiast Clarisse, zaskoczona troską o rywalkę, siedziała przy niej i robiła zimne okłady. W końcu rano zadzwoniła po znajomego lekarza.

– To tylko reakcja na szczepionki – oznajmił doktor Carvajal, zbierając się do wyjścia. – Za dużo tego bierzesz – dodał z troską, mając na myśli proszki przeciwłękowe.

– Biorę, kiedy muszę. – Umknęła wzrokiem. – Tylko wtedy, nie przesadzam z dawką. – Odprowadziła go do drzwi, wyraźnie chcąc zakończyć temat.

Jednak lekarz, stojąc już za progiem, miał coś jeszcze do powiedzenia:

– I tak za dużo. Te leki źle wpływają na ocenę sytuacji, zniekształcają obraz rzeczywistości.

– Naprawdę? – Zjeżyła się wewnętrznie, bo przekaz był oczywisty. Doktor Carvajal oznajmił ni mniej, ni więcej, że po tych pigułkach może zachowywać się jak psychotyczka.

– Tak, i proszę cię, nie zapominaj o tym. – Dumał o czymś przez chwilę, po czym spytał zdecydowanym tonem: – Co tu robi ta dziewczyna? Po co ją przywiozłaś do Manaus?

– Żeby spotkała się ze znajomym – szybko odparła Clarisse. – On tutaj pracuje.

– Tak, a ty robisz to z dobrego serca. – Świdrował ją wzrokiem. – Widać, że nigdy nie była za granicą.

– To moja sprawa!

– Owszem, twoja sprawa... – Cały czas patrzył na nią uważnie. – Wróciłaś tu po raz pierwszy od wypadku. Myślę, że prześladuje cię przeszłość. A wspomnienia, tak jak pigułki, sprawiają, że nie jesteś sobą, stajesz się... lekkomyślna, że poprzestaniemy na tym dość niewinnym określeniu. – Mocno ujął jej dłoń. – Clarisse, obiecaj, że nie zrobisz nic głupiego i niebezpiecznego, a już zwłaszcza

nic złego nie zrobisz tej dziewczynie. Kolejna tragedia by cię dobiła, moja droga.

– Co masz na myśli? – Gwałtownie pobladła.

– To, że jesteś w kiepskim stanie emocjonalnym, resztkami sił trzymasz się rzeczywistości, a nawet chwilami tracisz z nią kontakt i kierujesz się urojeniami – powiedział bez ogródek. – Przestałaś być tą silną Clarisse, która kieruje się żelazną logiką oraz elementarnym kanonem moralnym. Jesteś poraniona, nie wyrwałaś się jeszcze z traumy, do tego te leki... Cały czas musisz o tym pamiętać. Trzymaj się pionu, trzymaj się tej dawnej Clarisse, postępuj tak, jak ona by postąpiła. – Urwał na moment. – Mówię strasznie kategorycznie, pouczam cię, ale kieruje mną troska. Nie wolno ci ryzykować, Clarisse. Pamiętaj, że Amazonia to groźne miejsce. Ta dziewczyna nie wie, co może tu na nią czyhać. Ale chyba nie zamierzasz narażać jej życia na niebezpieczeństwo, prawda?

Clarisse nie mogła znów tylko się zjeżyć i zignorować jego słów. Był mądrym i życzliwym człowiekiem, a także doskonałym lekarzem. Musiała więc się zastanowić, czy rzeczywiście zatraciła zdolność właściwej oceny sytuacji. Cóż, ostatnio nie była sobą, a ta wyprawa jest czystym wariactwem. Natomiast to, co zaplanowała dla Peg, zakrawało na prawdziwe szaleństwo, choć wcześniej wydawało się całkiem sensowne...

– Pomagam jej – odparła. – Bardzo się ucieszyła, że może tu przyjechać. Naprawdę nie chcę jej skrzywdzić.

– Clarisse, nie jesteś okrutna – z uśmiechem oznajmił doktor Carvajal. – Dobrze znałem twoją matkę. Była cudowną, delikatną i bardzo uprzejmą osobą, a gdy ktoś zachorował, zawsze pierwsza śpieszyła z pomocą. Żyła z Matką Boską w sercu, była oddana Kościołowi. Wspaniała kobieta.

– Wraz z jej śmiercią umarł cały mój świat. – Clarisse przymknęła oczy. – Tata i Matilda nigdy tego nie zrozumieli.

– Ze względu na pracę ojca zjeździliście Afrykę i Amerykę Południową, przez co nie miałaś czasu nigdzie się zakorzenić i nawiązać prawdziwych przyjaźni. Twoją jedyną przyjaciółką była matka. Ojciec wiecznie był czymś zaaferowany, miał opinię specjalisty od trudnych spraw i dyplomatyczne misje pochłaniały go niemal bez reszty, a Matilda była za mała, byś mogła mieć z nią partnerski kontakt. To z matką byliście jak siostry bliźniaczki. Doskonale wiem, jak bardzo za nią tęsknisz.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała cicho, po czym odetchnęła głęboko.

– Dziewczynie nic nie będzie. Jesteś dobrą pielęgniarką – stwierdził przyjaźnie.

– Wcale nie – odparła dziwnie martwym głosem.

– Rano poczuje się lepiej, zobaczysz.

– Dziękuję.

– Clarisse, muszę to powtórzyć. Trzymaj się jak najdalej od dżungli.

Z uśmiechem podniosła dwa palce jak do przysięgi harcerskiej.

Doktor Carvajal tylko pokręcił głową i wyszedł.

Clarisse podeszła do łóżka i przyjrzała się śpiącej, rozpalonej Peg. Jej blond włosy leżały rozrzucone na poduszce. Zmoczyła szmatkę i położyła ją na czole Peg. Z każdą chwilą coraz bardziej uświadamiała sobie, że jej plan jest po prostu głupi.

Czyżby zatem lekarz się nie mylił? Leki przeciwlękowe rzeczywiście wpływają na ocenę sytuacji? Nie była jednak pewna, czy poradziłaby sobie bez nich. Poszła do łazienki. Otworzyła buteleczkę i odliczyła tyle pigułek, by mieć zapas, gdy stopniowo będzie się od nich odzwyczajala, resztę zaś wrzuciła do toalety i spuściła wodę.

– No, przekonamy się, czy miał rację – mruknęła, bojąc się przy tym, jak wytrzyma bez proszków.

Jednak opanowała ten strach. Przed wypadkiem jakoś żyła bez pigułek, a teraz przekona się, czy teoria, jakoby leki przeciwlękowe zaburzały jej percepcję rzeczywistości, jest słuszna. Jeśli brak tabletek doprowadzi do załamania nerwowego, to cóż, zawsze można kupić nowe opakowanie. Wprawdzie będzie musiała zadzwonić do Stanów do swojej apteki, ale cóż to za kłopot?

Gdy wróciła do sypialni, Peg właśnie otworzyła oczy i powiedziała słabym głosem:

– Wciąż czuję się okropnie.

– Po prostu tak zareagowałaś na szczepionki. Przykro mi.

– To nie twoja wina – odparła z uśmiechem, ale gdy poczuła wilgotną szmatkę na czole, zmarszczyła brwi. Clarisse w ten sposób próbowała zbić gorączkę, a przecież są lepsze sposoby. – Mamy aspirynę?

– Oczywiście! Że też o tym nie pomyślałam, tylko całą noc kładłam ci okłady na czoło. – Po chwili podała jej dwie tabletki i wodę. – Był lekarz z wizytą. Obejrzał cię i stwierdził, że to nic groźnego, tylko reakcja na zastrzyki. Poczujesz się lepiej za dzień lub dwa. Aspiryna pomoże zwalczyć gorączkę. Przepraszam, że wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

– Przesiedziałaś przy mnie całą noc? – spytała zaskoczona Peg.

– Bałam się zasnąć – z pewnym ociąganiem przyznała Clarisse. – Wyglądałaś naprawdę marnie.

– A potem wezwałaś lekarza...

– To mój znajomy, świetny specjalista.

– Dziękuję. – Peg nie odrywała od niej wzroku. – Nikt, poza moim tatą, nie czuwał przy mnie całą noc, gdy byłam chora. Kiedyś siedziała ze mną mama, ale umarła przed kilkoma laty.

– Moja też. – Clarisse przysiadła na łóżku. – Urodziła się tutaj. Ojciec pochodził z Madrytu, natomiast matka była Niemką. Udzielała się w różnych grupach kościelnych, pracowała bez wytchnienia.

– Była katoliczką?

– Tak... I była niczym święta. – Wbiła spojrzenie w podłogę. – Ja, w przeciwieństwie do niej, nie jestem dobrą osobą.

– Ależ jesteś! – Peg położyła dłoń na jej ramieniu. – Czuwałaś przy mnie całą noc, wezwałaś lekarza. Czy ktoś, kto jest zły i nieczuły, tak by się zachował?

Clarisse ogarnęło potworne poczucie winy. Pragnęła wszystko wyznać, wypowiadać się tej dziewczynie, jednak to, jak Peg ją podziwiała, było dla niej czymś tak nowym i wzruszającym, że po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się szczęśliwa.

– Odpoczywaj. – Ścisnęła jej dłoń. – Zamówię śniadanie. Dasz radę coś zjeść?

– Spróbuję, ale poproszę o coś lekkiego – odparła Peg. – Żołądek wciąż mnie pobolewa.

– Zobaczymy, co zaproponują.

Po śniadaniu Peg znów zasnęła. Budziła się i zapadała w sen kilka razy, a nazajrzo rano czuła się już znacznie lepiej. Nawet opuchlizna na ramieniu całkiem zniknęła. Miała już dość wylegiwania się i z radością wstała z łóżka, wzięła prysznic i ubrała się.

Przez pierwsze godziny po wyrzuceniu proszków Clarisse chodziła podminowana. Wzięła zalecaną liczbę pigułek, piła tylko wodę i sok, unikając kawy. Kiedyś lekarz tłumaczył jej, w jaki sposób odzwyczaić się od takich leków, więc teraz musiała tylko zastosować się do instrukcji. I tego ranka też poczuła się lepiej.

Zeszły do restauracji i podczas śniadania słyszały śpiew ptaków, bo dżungla była tuż za oknem.

– Wkrótce zaczną się powodzie – powiedziała Clarisse. – Czasem zalewa też hotel, ale można to przeżyć. Najważniejsze, że człowiek przebywa w pięknym i urokliwym miejscu. Kiedy byłam mała, często tu przychodziłam. Wprawdzie przez większość czasu mieszkaliśmy w Waszyngtonie, ale mama tęskniła za ojczystym krajem, dlatego często tu przyjeżdżaliśmy.

– Masz w Brazylii rodzinę albo znajomych?

– Już nie. Mieszkała tu moja ciocia, siostra mamy, ale zmarły mniej więcej w tym samym czasie.

– To smutne, że nie masz rodziny. Ja mam tylko tatę.

– Żadnych wujków i cioć? – spytała Clarisse.



– Niestety i tata, i mama byli jedynakami.

Clarisse upiła łyk kawy. Pierwsza i ostatnia kawa tego dnia, pomyślała. Oby wystarczyła na cały dzień. Przez kofeinę stawała się jeszcze bardziej pobudzona i nerwowa.

– Duże rodziny mają swoje niewątpliwe zalety.

– Też tak myślę. – Peg uważnie spojrzała na nią. – Nie widziałam, żebyś dzisiaj łykała tabletki.

– Odstawiam prochy! – z entuzjazmem odparła Clarisse. – Większość spuściłam w toalecie, bo lekarz uznał, że biorę zbyt dużo. Najpierw pomyślałam, że nie ma racji, ale się pomyliłam. Po raz pierwszy od... wypadku taty i Matildy mam absolutnie jasny umysł.

– Myślę, że leki przeciwlękowe przydały ci się zaraz po tych strasznych zdarzeniach, ale teraz...

– Zgadza się. – Clarisse zadumała się na moment. – Teraz, choćby nie wiem, jak bolało, powinnam poradzić sobie sama. Życiu należy przytomnie patrzeć w oczy, jak mawiała moja matka.

– Dobra rada.

– Była mądrą kobietą. Ale dość o tym. Co powiesz na to, żebyśmy wynajęły samochód z kierowcą i pojechały do wioski Indian niedaleko obozu Grange'a? Wstępnie już wszystko uzgodniłam telefonicznie. Enrique właśnie wrócił z São Paulo, więc mógłby nas zabrać. Zostawię cię w wiosce i pojedę po Grange'a. Kierowca pomoże mi odnaleźć obóz, bo to wcale nie jest łatwe.

– Dzisiaj?

– Owszem, dzisiaj – z uśmiechem odparła Clarisse.

– Wolałabym pojechać z tobą do obozu.

– Peg, moja droga... – Clarisse miała śmiertelnie poważną minę, mówiła z wysiłkiem. – Muszę ci wyznać, że nie byłam z tobą szczerą. Chciałabym być, ale jeśli ci powiem, co zrobiłam, znienawidzisz mnie.

Peg patrzyła na nią z wielką uwagą. Było to dziwne oświadczenie, ale nie wątpiła, że jest absolutnie szczerą, choć pozbawioną konkretów. Ale właśnie ta szczerść liczyła się najbardziej, dlatego odparła:

– Nie ma znaczenia, co było wcześniej, najważniejsze jest to, że zostałyśmy przyjaciółkami. Nie znienawidzę cię, choćby nie wiem co.

Clarisse próbowała powstrzymać łzy, ale nie zdołała. Wyjęła chusteczkę i wytarła oczy.

– Ale to coś okropnego.

– Powiedz. Ulży ci.

Clarisse odetchnęła głęboko. Wiedziała, że jeśli Peg ją znienawidzi, ból będzie nie do zniesienia.

– Zakochałam się w Grange'u – powiedziała. – Nie wiem, jakim cudem to się stało, bo on w ogóle nie jest w moim typie, ale po tym, jak się poznaliśmy w Waszyngtonie, po prostu dostałam bzika na jego punkcie. To było już po... tragedii. Brałam dużo leków, a to, że Grange się przede mną bronił, dodatkowo mnie nakręcało. Mówiąc wprost, dostałam obsesji. Tak bardzo chciałam, żeby mnie pragnął. – Zawahała się, jednak Peg wcale nie wyglądała na wściekłą. – Grange sądzi, że jestem puszczalska, uwodzę facetów na prawo i lewo, jednak prawda jest inna. Moja mama była bardzo religijna, więc wpoila mi szacunek dla ciała i dla samej siebie. Ja nigdy... – Odchrząknęła. – No wiesz.

– Tak się składa, że wiem – wyznała Peg z nieśmiałym uśmieszkiem. – W szkole dziewczyny śmiały się ze mnie, ale odpowiadałam, że mam zbyt dużo szacunku dla samej siebie, a poza tym wolę nie ryzykować jakiejś choroby wenerycznej. Zdumiewające, jak wiele dziewcząt oddawało się chłopakom tylko dlatego, że wszyscy tak robią. Ale ja żyję według własnych zasad, a nie według tych, które tworzą inni.

– Jesteś świetna, godna podziwu – powiedziała szczerze Clarisse. – A wracając do mojej opowieści... Pojechałam do obozu powstańców i poprosiłam o pozwolenie na obserwowanie operacji, by potem opublikować artykuł. Naprawdę jestem reporterką, mam dobre referencje, więc generał Machado z pewnością by się zgodził, jednak Grange, którego generał mianował dowódcą tej operacji,

a może i całej armii powstańczej, zorientował się, że w głównej mierze przygnała mnie tam obsesja na jego punkcie, i przegrał z obozu. Uważa mnie za puszczalską, nie krył obrzydzenia i pogardy, nazwał dziwką, a zrobił to na oczach pewnego mężczyzny, którego znam od wielu lat i bardzo szanuję. – Skrzywiła się na wspomnienie miny Rourke’a, gdy Grange ją obrażał. – Po tym wszystkim myślałam już tylko o zemście. Otumaniały mnie te przeklęte pigułki, buzowały we mnie tylko złe emocje, zatraciłam poczucie rzeczywistości. Zemścić się na Grange’u, tylko tego pragnęłam. – Spojrzała na nią z pełną bólu skruchą. – Peg, przywiozłam cię tutaj, żeby cię skrzywdzić. Strasznie mi wstyd. Byłaś dla mnie dobra, jak prawdziwa przyjaciółka, jak... kochająca siostra. Tak cholernie mi wstyd!

– Wystarczy – zdecydowanym tonem powiedziała Peg, jednocześnie obejmując Clarisse. – Ludzie robią różne głupstwa i popełniają różne błędy. Właśnie dlatego na końcu ołówka jest gumka do ścierania. I dobrze, bo przecież nikt nie jest doskonały.

Clarisse wtuliła się mocniej i powiedziała głęboko wzruszona:

– Nigdy nie znałam kogoś takiego jak ty.

– Szczęściara! – podkpiwała Peg.

– Mówię poważnie! – Clarisse odsunęła się nieco. Miała czerwone, zażawione oczy. – Wynagrodzę ci to po stokroć, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię. Zrobię wszystko. Zabiorę cię do wioski, która leży niedaleko granicy. Mieszkają tam dobrzy ludzie, będziesz bezpieczna. Z tej osady pochodzi matka naszego kierowcy, który nazywa się Enrique Boas. Grange nie może przyjechać do Manaus, ponieważ pełno tu agentów Sapary. Trzeba zorganizować spotkanie tam, gdzie nie docierają szpiedzy, a w każdym razie mają bardzo utrudnione zadanie, a ta wioska idealnie się do tego nadaje. Enrique zawiezie mnie do obozu. Sama za nic bym nie znalazła drogi, zresztą bardzo bym się bała, bo zaczyna się pora deszczowa. Pojadę do Grange’a, powiem mu, co zrobiłam, i będę się modliła, żeby mi wybaczył. I oczywiście sprowadzę go do ciebie, a kiedy Grange wróci do obozu, odeskortuję cię całą i zdrową do Teksasu.

– Winslow Grange jest dobrym człowiekiem – powiedziała z niezłomną wiarą Peg, odgarniając niesforny lok z czoła Clarisse. – Zrozumie.

– Tak myślisz? – Wytarła oczy. – Jest na mnie tak bardzo wściekły, że równie dobrze może mnie zastrzelić, więc jeśli nie wrócę... Właśnie! – Dyskretnie wyjęła z torebki zwitek banknotów i zerknąwszy wokół, czy nikt nie patrzy, włożyła pieniądze do kieszeni Peg. – To na wszelki wypadek – powiedziała cicho. – Masz co prawda bilet powrotny do domu, ale dzięki pieniądzom będziesz mogła bezpiecznie wrócić do Manaus, jeśli coś się stanie. Pamiętaj, żeby zawsze mieć przy sobie pieniądze, bilet, dowód i ubrania na zmianę.

– Co może pójść nie tak? – spytała niespokojnie Peg.

– Nie wiem, po prostu czasami mam przecucie. – Clarisse na moment przymknęła oczy. – To pewnie nic takiego, ale musisz mieć przy sobie gotówkę, bo dzięki niej można tak wiele załatwić. – Wstała i uregulowała rachunek. – Peg, naprawdę bardzo żałuję, że cię w to wciągnęłam. To wina zarówno mojego ego, jak i leków. Nie zdawałam sobie sprawy, co ze mną wyprawiają.

– Mieliśmy na ranczu chłopaka, który się uzależnił i wylądował na odwyku. Bardzo mu to pomogło. Prawdę mówiąc, zbierałam się, żeby porozmawiać z tobą o pigułkach, bo czułam, że bierzesz ich zdecydowanie za dużo.

– Kochana jesteś. – Clarisse znów się wzruszyła. – Naprawdę przypominasz mi siostrę. – Zagryzła wargę, po czym dodała już energicznym tonem: – No, zbierajmy się.

– Tak, zbierajmy się – powtórzyła Peg, która nabrała dużo szacunku dla udręczonej przez życie Clarisse.

Spakowały walizki, ale zostawiły je w hotelu. Zabrały ze sobą tylko to, co najpotrzebniejsze podczas jedno- lub dwudniowej wyprawy.

– Kierowca zna Amazonię jak własną kieszeń – powiedziała Clarisse, kiedy wychodziły na ulicę. –

Jest przedstawicielem plemienia.

– Czy ci ludzie mówią po angielsku? – spytała niespokojnie Peg.

– Nie, ale znają hiszpański i portugalski. Z twoim hiszpańskim doskonale sobie poradzisz, nawet jeśli będziesz używała czasowników w bezokoliczniku.

– Posługują się trzema językami? – Peg była pod wrażeniem. – I pomyśleć, że uważamy ich za dzikusów, za prymitywny lud.

Clarisse się roześmiała.

– No właśnie. Dlatego za karę jakaś obca kobieta porwała cię w te strony i zmusza do tego, byś poznała, jak tu jest naprawdę! – Clarisse po raz pierwszy zażartowała w obecności Peg.

– Przecież nie narzekam – odparła rozbawiona. – Zobaczę się z Grange'em, a to mi wszystko wynagrodzi.

– Ciebie pocałuje, a mnie zabije, zobaczysz – podkpiwała dalej Clarisse. – Zawsze mnie ciekawiło, jak to jest, gdy się stanie pod ścianą z zasłoniętymi oczami i ostatnim papierosem w ustach.

– Przecież nie palisz.

– Och, nie czepiaj się takich drobiazgów, bo psujesz cały efekt. Ale niech ci będzie, ostatni, a zarazem pierwszy papieros Clarisse Carrington. Tak czy owak, brzmi romantycznie, prawda?

Peg roześmiała się.

Enrique Boas był wysokim, przystojnym mężczyzną o dużych ciemnych oczach i falujących czarnych włosach. Miał piękny uśmiech.

– Dla mnie to zaszczyt, że będę mógł wieść dwie urocze panie – oświadczył, kłaniając się.

– Dziękuję! – Peg była oczarowana.

– Cóż za uśmiech. – Enrique pocałował ją w rękę. – I te twoje oczy, zielone jak dżungla.

– Przestań – zbeształa go Clarisse. – Ona jest zajęta.

– Aha, zajęta...

– I to poważnie zajęta. Ma narzeczonego – wyjaśniła Clarisse. – Pojedziemy do jego obozu.

– Ach, co za szczęściarz z niego! – wykrzyknął, wciąż wpatrując się z podziwem w zarumienioną Peg. – W takim razie nie traćmy czasu.

– No właśnie, Enrique, czas w drogę – powiedziała Clarisse. – Zostawimy Peg w wiosce, u twojej matki. Tam będzie bezpieczna.

– W pobliżu ruin – dodał Enrique, otwierając drzwi auta. – Amerykańska uczona twierdzi, że to, co tam odnaleziono, wywróci do góry nogami dotychczasowe teorie o południowoamerykańskich cywilizacjach. Dacie wiarę, że ponoć te ruiny są starsze od egipskich piramid?

– Ruiny? – zaciekała się Peg. – Uwielbiam ruiny!

– Wszystko w swoim czasie – powiedziała Clarisse, siadając z przodu na miejscu dla pasażera, po czym z uśmiechem odwróciła się do Peg. – Najpierw Grange mnie zastrzeli, potem się spotkacie, i dopiero wtedy pojedziemy zwiedzać ruiny.

– Nie wolno mu cię zastrzelić. Powiedz, że mu zabraniam.

– Oby to coś dało!

Peg uśmiechnęła się, a Enrique włączył silnik land rovera i ruszyli w drogę.

Maleńka wioska składała się z owalnego placu, wokół którego stały pokryte strzechą chaty w kształcie bochenka chleba. Mieszkańcy byli niscy, mieli ciemną skórę i czarne włosy. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety nosili ubrania przypominające rzymskie togi. Kiedy Enrique zatrzymał się tuż przed polaną i odezwał w rodzimym języku, wieśniacy ostrożnie wyszli z domostw.

Do Peg i Clarisse podeszła starsza kobieta i obrzuciła je podejrzliwym spojrzeniem. Gdy Enrique

porozmawiał z nią przez chwilę, wyraźnie się uspokoiła. Zafascynowała ją Peg. Przyglądała się jej przez dłuższą chwilę, po czym znów o coś spytała, na co Enrique roześmiał się.

– Ona chce wiedzieć – powiedział do Peg – co to za jasnowłose i zielonookie plemię, z którego pochodzisz.

– Powiedz, że moje plemię nazywa się Teksas – odparła rozbawiona Peg.

Przetłumaczył jej słowa, po czym dodał po angielsku:

– To Maria, moja mama. Nie jest to jej prawdziwe imię, ale mamy księdza, który często przyjeżdża do wioski i tak ją ochrzcił przed laty.

– Maria – powtórzyła Peg. – *Me gusta ser aqui.* - Znaczyło to: „Cieszę się, że tu jestem”.

– *Se habla español?* – Maria uradowała się, że Peg mówi po hiszpańsku, i objęła ją serdecznie. – *Bienvenidos.*

– *Gracias.*

– Widzę, że trafiłaś w dobre ręce – stwierdziła Clarisse. – No chodź, niech też cię uściskam. Ruszamy do obozu. Chcę to mieć za sobą. Im prędzej, tym lepiej.

– Dam sobie radę. Jak myślisz, kiedy wrócisz?

– To wie tylko Enrique – odparła Clarisse, patrząc na niego.

– Do obozu, o ile nadal jest w tym samym miejscu, a rzeki nie wezbrały i nie zniszczyły mostów, dotrzemy za dwie godziny – odpowiedział. – Ale jeśli przenieśli się, najpierw będę musiał odnaleźć obóz, co może mi zająć trochę czasu. W dżungli łatwo się ukryć nawet dużemu oddziałowi. Więc myślę, że powinniśmy wrócić do wioski najpóźniej przed zmrokiem.

– Tylko błagam, bądź ostrożny – powiedziała Peg. – Wiem, Enrique, dla ciebie to takie babskie gadanie. Wychowałeś się w dżungli, masz ogromne doświadczenie, ale słyszałam, jak tu bywa niebezpiecznie. Więc proszę, oboje uważajcie na siebie.

– Jesteśmy stare wygi, co nie? – Clarisse puściła oko do Enrique. – Napisałam wiele artykułów o dżungli do europejskich magazynów, a Enrique – położyła dłoń na jego ramieniu – zawsze był moim przewodnikiem. Ośmielam się twierdzić, że wiem tyle, co on.

– Z wyjątkiem tropienia.

– A po co mi to! – Machnęła ręką. – Nie muszę szukać drogi przez dżunglę, bo od tego mam ciebie.

Enrique uśmiechnął się, ucałował matkę i wszedł do auta.

Clarisse ponownie przytuliła Peg.

– Też bądź ostrożna. Pod żadnym pozorem nie opuszczaj wioski. Zaufaj mi, w dżungli czyha mnóstwo niebezpieczeństw, takich jak owady, węże czy jaguary. Przrzeknij.

– Przrzekam.

– Noś ubranie przeciwdeszczowe. O, powiedziałam w złą godzinę! – Naciągnęła kaptur, bo na jej głowę spadły grube krople. – Skorzystaj z pieniędzy, jeśli to będzie konieczne.

– Ty i te twoje przeczucia... – Peg uśmiechnęła się do niej. – Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Clarisse pokiwała głową, ale minę miała poważną, a kiedy Enrique zapalił silnik i ruszyli w drogę, nie obejrzała się za siebie.

Peg z uśmiechem spytała Marię:

– *Puede mostrarme su ciudad, por favor?*

– *Como no?* – odparła staruszka. – *Venga!*

Maria oprowadziła ją po wiosce, zatrzymując się przy wszystkich chatkach i przedstawiając mieszkańcom gościa. Peg zauważyła, że wszędzie wisiały hamaki do spania. Towarzyszyły im dzieci, które zafascynowała blondwłosa i zielonooka Amerykanka, czy też, jak przedstawiała ją Maria, kobieta z plemienia Teksas.

Maria opowiedziała Peg o tutejszych zwyczajach kulinarnych. Peg martwiła się o jedzenie i picie

poza miastem, ale za nic nie chciała urazić przemiłych ludzi, którzy przyjęli ją tak serdecznie, jakby należała do ich plemienia.

Spytała, dlaczego domy znajdujące się bliżej rzeki zbudowano na palach. Maria wyjaśniła, że od stycznia do czerwca, czyli podczas zniechęconej przez wszystkich pory deszczowej, rzeka często wylewa. Ale nawet gdy pale nie pomogą i rzeka zniszczy chatę, szybko zostaje odbudowana. Od niepamiętnych czasów chaty mają ten sam kształt przypominający bochen chleba i wznosi się je w ten sam sposób.

Peg usiadła pośrodku obszernej izby, w której znajdowało się rozżarzone palenisko. Kobiety piekły mięso. W kociołku nad ogniem znajdowało się coś, co przypominało tapiokę. Obok pionowej belki podtrzymującej strop młoda matka uwijała się przy krośnie, a obok niej leżało na kocu dziecko.

Peg podano tykwę z jakimś napojem. Sądziła, że dostała wodę, ale gdy łyknęła nieco, ku rozbawieniu pozostałych gwałtownie nabrała powietrza i złapała się za gardło. Alkohol! I to jaki mocny!

– Nie obrażaj się – powiedziała Maria, tłumiąc śmiech. – To tradycyjny poczęstunek, symbol naszej gościnności.

– Wcale się nie obrażam. – Peg też się roześmiała. – Jeszcze nigdy nie piłam alkoholu.

– Nie? W dżungli dużo osób go pije. Ten robi się z liści koki, ale z innej odmiany niż ta, z której wytwarza się narkotyki. Robi się go też z owoców. Dla wielu plemion Indian alkohol to przekleństwo, bo odbiera rozum i strasznie rozleniwia.

– To samo w moim kraju – przyznała Peg. – Zresztą chyba jak wszędzie.

– Tak, masz rację. A teraz dla odmiany spróbuj tego. Proszę. – Zdjęła kawałek mięsa z rożna i podała go na plecionym talerzu.

Peg ostrożnie ugryzła kawałek i przeżuła, po czym oznajmiła:

– Smakuje jak kurczak.

Czym wywołała kolejny wybuch śmiechu wszystkich kobiet.

– Pewnie dlatego, że to jest kurczak! – oznajmiła wreszcie Maria. – Nie widziałaś kur biegających po wiosce?

Peg też oczywiście się roześmiała, po czym ugryzła kawałek słonego mięsa. Później dowiedziała się, że co prawda tutaj nie używa się soli, jednak mieszkańcy wioski wiedzieli, że Europejczycy ją lubią, więc uznano, że Peg będzie wołała solone mięso. Jeszcze wiele musiała się nauczyć.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Clarisse martwiła się, czy uda im się znaleźć Grange'a, choć Enrique twierdził, że bez trudu trafi do obozu. Pora deszczowa dopiero się zaczęła, ale woda w rzekach zdążyła się podnieść. Region Barrery, w którym rozlokowali się powstańcy, znajdował się po drugiej stronie trudnej przeprawy przez jeden z dopływów ogromnej Amazonki. Generał Machado zadbał o doskonałą lokalizację.

Clarisse najadła się strachu, kiedy Enrique jechał land roverem po rozkołysanym moście i kluczył drogami wytyczonymi z myślą o pieszych, a nie o pojazdach.

– To solidna maszyna – oznajmił Enrique. – Słusznie cieszy się dobrą opinią.

– Tak, na pewno. – Clarisse nerwowo przeczesła dłonią krótkie blond włosy. Była w dżungli tyle razy, była doświadczonym podróżnikiem, a jednak podczas tej wyprawy nerwy miała napięte do ostatnich granic. – Jesteś pewien, że jedziemy w dobrą stronę?

– No tak. – Dla pewności zerknął na GPS. – Zarówno według mojego nosa, jak i według tego urządzenia jedziemy we właściwym kierunku.

– Grange będzie zły – rzuciła z westchnieniem.

– Dlaczego?

– Nie pamiętasz, jak niedawno wyrzucił mnie z obozu? Jednak tym razem przywiozłam mu prezent na zgodę, czyli przyjaciółkę ze Stanów. – Uśmiechnęła się. – Miło ze strony twojej matki, że zaopiekowała się Peg. Wspaniała osoba.

– Moja mama czy twoja koleżanka?

– Obie – odparła Clarisse z uśmiechem.

– Wydajesz się... – Zerknął na nią. – Sam nie wiem... no, jakaś inna.

– Nie biorę lekarstw – wyznała. – Odstawiłam je na zawsze.

– Tak, rozumiem... – Pokiwał głową.

– Słuchaj, jak człowiek tonie, śmierć następuje szybko, prawda? – wyrzuciła z siebie pytanie, które przez ostatnie miesiące strasznie ją dręczyło.

Enrique zwolnił, wbił spojrzenie w Clarisse i powiedział:

– Wiem, że chodzi ci o tę łódź, którą płynęła twoja rodzina...

– Tak – wpadła mu w słowo. – Piranie...

– Posłuchaj, Clarisse. W tej rzece tonie się bardzo prędko. Gwałtowny nurt, wiry... Już nie żyli, kiedy dopadły ich piranie.

– To znaczy, że nie poczuli...

– Spotkała ich szybka śmierć. Wiem, że to marna pociecha...

– Mylisz się, bardzo duża. Dziękuję ci, Enrique.

– *De nada*. – Spojrzał na mapę i wstał, żeby wyjrzeć przez otwierany dach. – Widzę drogę.

– Wreszcie... – Clarisse odetchnęła z ulgą.

I wtedy rozległy się strzały. Pociski strzaskały przednią szybę, a zakrwawiony Enrique krzyknął i opadł na fotel.

Zanim Clarisse zdążyła zrobić cokolwiek, by mu pomóc, kolejne kule rozbiły szybę po stronie pasażera. Poczowała silne uderzenie w głowę. Ostatnie, co zapamiętała, to biegnący w jej kierunku żołnierze w mundurach noszonych przez armię rządową...

Głowa jej pękała, a brzuch strasznie bolał, ale dwaj eskortujący ją żołnierze zatrzymali się, dopiero gdy zgięła się w pół i zwymiotowała na ulicy. Zaraz jednak bezceremonialnie zaciągnęli ją do dużego budynku. Dopiero niedawno odzyskała przytomność. Pamiętała strzały, ale nic więcej, zupełnie jakby

umysł spowijała mgła.

Znajdowali się w mieście. Nie wiedziała na pewno, ale przypuszczała, że jest to Medina. W Barrerze jedynie stolica była tak dużym miastem, choć według standardów amerykańskich byłoby to niewarte wzmianki miasteczko. Niektóre budynki, zwłaszcza katedra, pamiętały czasy kolonialne. Clarisse nie zdziwiła się, gdy przed drzwiami kościoła zobaczyła uzbrojonego żołnierza w mundurze polowym. Media podawały, że Sapara zamknął wszystkie świątynie, a masowe protesty ludności utopił we krwi, bo gdy nie pomogły gazy łzawiące, na rozkaz dyktatora wojsko zaczęło strzelać do protestujących ostrą amunicją. Wiadomość o masakrze natychmiast trafiła do mediów na całym świecie, w efekcie czego Sapara wygnał z Barrery zagranicznych dziennikarzy bez szans na powtórny przyjazd do tego kraju.

Clarisse wiedziała, że czeka ją przesłuchanie. Nieważne, co będzie się działo, w żadnym razie nie wolno jej wyjawiać prawdziwej przyczyny przyjazdu do Barrery. Nie zdradzi Grange'a i Peg, choćby miała przez to zginąć.

Powie, że jest dziennikarką, co było wiarygodnym wytłumaczeniem przyjazdu do tego kraju. Wprawdzie nie miała akredytacji i przedostała się do Barrery nielegalnie, lecz miała szansę się wywinąć. Gdyby jednak udowodniono jej kontakty z powstańcami, szybka kula w łeb byłaby łagodną karą.

Wciąż rozpamiętywała tamtą kanonadę. Strzelano do nich, a biedny Enrique pewnie już nie żyje. Biedna Maria! A Peg... Peg uwierzy, że Clarisse ją zdradziła i opuściła. Grange nie dowie się, że została uwięziona w Barrerze. Boże drogi, ale się porobiło... i to wszystko z jej winy!

W pierwszej chwili pomyślała, że ktoś doniósł o nich władzom. Nikomu nie mówiła, dokąd się wybiera. Tylko Peg znała prawdę, ale na pewno z nikim o tym nie rozmawiała. Wiedział jeszcze Enrique i może wygadał się przed kimś, że zabiera Amerykankę na wyprawę. Oby tylko to, a nie jakiś szpieg.

Żołnierze zaprowadzili ją do strzeżonego pomieszczenia, przed którym oprócz strażników stała flaga narodowa. Za biurkiem siedział niewysoki narcyz, który obalił rząd Machado i przejął władzę w republice. Arturo Sapara we własnej osobie. Wąż.

Miał czterdzieści sześć lat, był łysy, gruby i nosił wąsy. Miał żółte zęby, a w nalanej twarzy świeciły drobne oczka.

Obrzucił Clarisse lodowatym spojrzeniem.

– Och, *señorita* Carrington. – Odłożył na biurko jej paszport, który przeglądał. – Miło mi, że mnie pani odwiedziła.

– Nie z własnej woli. – Próbowała opanować nudności. Była blada i cała obolała, czuła się fatalnie.

– Szybko, kosz na śmieci – warknął Sapara do żołnierzy. – Żeby tylko nie zabrudziła dywanu.

Przywieźli mi go z Maroka!

Kiedy Clarisse w końcu zabrała się do rzeczy, zgięła się wpół i celowo nie trafiła do kosza.

– A niech cię! Ty wiedzmo! – wybuchnął Sapara.

Wyprostowała się, walcząc z kolejną falą nudności i potwornym bólem głowy.

– Uznałam, że za takie pieniądze warto zaryzykować – oznajmiła.

– Pieniądze? – spytał Sapara, zapominając o złości.

– Agencja prasowa obiecała mi niezłą sumkę, jeśli przedostanę się do Barrery i znajdę dwóch zaginionych profesorów. – Historyjkę wymyślała na poczekaniu, ale kto wie, bluff mógł się udać. – Pomyślałam, że z pomocą przewodnika i w przebraniu zakradnę się do miasta...

– Aha! Czyli dlatego miałaś kierowcę! Nie żyje. – Machnął ręką. – Moi ludzie zostawili go w samochodzie. Prędzej czy później ktoś go znajdzie. – Uśmiechnął się z pogardą. – A raczej znajdzie same kości... Nie jechaliście w tę stronę.

– Zrobiliśmy objazd, bo rzeki wezbrały.

Zawahał się. Ale chyba dał się przekonać. Zmrużył oczy.

– Co ich obchodzą nauczyciele?

– Profesorowie – poprawiła go. – Mają rodziny w Stanach. Wpływowe rodziny, z dościami w mediach.

Sapara uniósł brwi.

– Ach tak... – Uśmiechnął się. To był okrutny uśmiech. – Dobrze wiedzieć. Tak czy inaczej, wkrótce umrą.

– Dlaczego? – wybuchła. – Czym sobie zasłużyli na śmierć?

– Wykładali na uczelni, ale zamiast uczyć studentów swojego fachu, namawiali do zdrady stanu – odparł chłodno. – Kazali studentom opowiadać kłamstwa na mój temat w rozmowach z przedstawicielami innych krajów. Nazywają mnie dyktatorem. A ja jestem prezydentem Ludowej Republiki Barrery – oznajmił, tonem głosu ujawniając ogromną pychę. – Mój rząd służy ludziom...

– Ludzie głodują – przerwała mu Clarisse. – Nie mają pieniędzy, bo płacą złodziejskie podatki. Zawłaszczyłeś firmy, znacjonalizowałeś fabryki, nawet należące do zagranicznych korporacji, pozamykałeś kościoły! – wyliczała.

– W cywilizowanym świecie nie ma miejsca dla kościołów – odparł Sapara. – Powinno się je wszystkie wyburzyć.

Posłała mu długie lodowate spojrzenie, po czym powiedziała:

– Wiele rządów próbowało zamykać świątynie i ograniczało wolność wyznania. Chciano to zrobić na przykład we Francji, w 1792 roku, w czasie rewolucji. Ale dziś, co widziałam na własne oczy, we Francji stoi całe mnóstwo świątyń, i to wielu wyznań.

– Bzdury! – podsumował Sapara. – Skoro tak się przejmujesz losem tych biednych profesorów, to możecie ją zamknąć w sąsiedniej celi – powiedział po hiszpańsku do żołnierzy. – Dajcie jej wodę, ale żadnego jedzenia. No już, jazda stąd!

Saszetka Clarisse leżała na biurku Sapary. Serce podeszło jej do gardła. Paszport, bilet do Stanów, karty kredytowe, trochę gotówki, to wszystko tam było. Więc nawet gdyby zdołała uciec, zostanie bez niczego. To już chyba naprawdę koniec, pomyślała. Cóż, trudno, chciałam dobrze. Martwiła się jednak o Peg. Biedna dziewczyna uzna, że wystawiła ją do wiatru i zostawiła samą sobie. To nieprawda. Ale jak się z nią skontaktować? A Grange? Jest tak blisko Peg, a nawet o tym nie wie. I już się nie dowie. Tymczasem grozi jej wielkie niebezpieczeństwo...

– Zabrać ją – powtórzył Sapara.

Żołnierze wyprowadzili Clarisse, omijając plamę, którą zrobiła na cennym dywanie.

Profesorowie nazywali się Julian Constantine i Damon Fitzhugh. Wykładali na skromnej uczelni w Medinie, pierwszy uczył historii Ameryki Południowej, drugi zaś botaniki.

Doktor Constantine był w bardzo kiepskim stanie. Wysoki, przystojny mężczyzna z siwiejącymi ciemnymi włosami i szarymi oczami, teraz był chudy, blady i nieogolony. Jego ubranie od miesięcy nie było prane.

Doktor Fitzhugh był starszy, miał zupełnie siwe włosy i niebieskie oczy, i choć trzymał się trochę lepiej, jednak też wyglądał bardzo marnie.

Żołnierze wtrącili Clarisse do celi i odeszli. Było to mikroskopijne pomieszczenie od sąsiednich oddzielone kratami. Mieściło się w nim zniszczone łóżko przykryte porwanym kocem, a w kącie stało wiadro służące za WC. Prócz tego niewielki stolik, a na nim miska z wodą. I to wszystko. Więzienie wybudowano w czasach kolonialnych i najpewniej nigdy nie było remontowane. Machado wprawdzie planował unowocześnienie zakładu karnego, ale zawsze na pierwszym miejscu stawiał gospodarkę, więc poprawa sytuacji skazańców znajdowała się daleko na liście zadań.

Clarisse położyła się na łóżku i zwinęła w kłębek. Czuła się tak fatalnie, że nie była w stanie



utrzymać się na nogach.

– Amerykanka? – spytał Fitzhugh z sąsiedniej celi.

– Tak – odparła, ciesząc ucho nienaganną brytyjską angielszczyzną. – Nazywam się Clarisse Carrington.

– Nazywam się Damon Fitzhugh. Mój kolega z następnej celi to Julian Constantine. Dobrze się pani czuje? Jest pani bardzo blada.

– Straciłam przytomność. Chyba mnie postrzelono – odparła, macając się po głowie, i znalazła bolące wilgotne miejsce. Gdy spojrzała na dłoń, zobaczyła krew. – Nic dziwnego, że boli mnie głowa.

– Kula musiała ją tylko drasnąć, ale w tropikach nawet to bywa niebezpieczne. Clarisse była przekonana, że jeśli wda się infekcja, Sapara nie zada sobie trudu, by sprowadzić do niej lekarza.

– Gdybym miał jak, zrobiłbym pani kompres – powiedział Fitzhugh. – Jestem botanikiem. Przyjechałem do Barrery, bo chciałem poznać tutejszą ludową medycynę. Wytwarzane od wieków pewne środki lecznicze, o których przed przyjazdem zebrałem sporo informacji, nie mają sobie równych.

– Dziękuję za troskę.

– A ja – wtrącił Constantine – znalazłem się tu, bo fascynuje mnie historia Ameryki Południowej, zwłaszcza okres rozkwitu plantacji kauczuku w pierwszej połowie dwudziestego wieku. – Pokręcił głową. – Nieciekawe czasy. Jak okrutnie traktowano miejscowych...

– Słyszałam o operze w Manaus – powiedziała Clarisse, znów kładąc się na łóżku.

– Spławili ją rzeką w częściach, kosztem milionów dolarów, po czym złożyli. Na budowę nie wydali ani centa.

– Tak. Słynne zespoły przyjeżdżały na koncerty do Manaus. – Cieszyła się, że rozmowa pozwoliła jej zapomnieć o nudnościach.

– Wielokrotnie kończyło się jednak tak, że aktorzy zapadali na malarię albo żółtą febrę. Niejeden zmarł w wyniku infekcji.

Pomyślała o Peg. Ostrzegala ją, żeby sama nie wyprawiała się do dżungli, jednak Clarisse obawiała się, że jeśli nie zjawi się w wiosce, to mała dzielna Peg zacznie jej szukać, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Jesteście wykładowcami – odezwała się. – Dlaczego trafiliście do więzienia?

– Kiedy generał Machado został obalony, jego miejsce zajął nędzny szczur, który otacza się szybkimi samochodami i łatwymi kobietami, i mieszka w drogiej rezydencji, podczas gdy jego rodacy głodują. Usunął z kraju wszystkich zagranicznych dziennikarzy, pozamykał ambasady, znacjonalizował firmy, a teraz planuje odwiarty do spółki z jakąś korporacją.

– Przed czterema miesiącami mój ojciec pomagał negocjować warunki pomiędzy Indianami a firmą wydobywczą. Pracował w ambasadzie amerykańskiej w Manaus, miał opinię specjalisty od trudnych spraw.

– Sapara dał zielone światło wydobywaniu ropy. Wiele plemion zmusił do podpisania umowy. Jedno zaprotestowało. – Jego twarz stężała. – To plemię żyje z dala od cywilizacji, w najbardziej niedostępnej części dżungli, używa takiej samej broni, jak ich przodkowie, to znaczy dmuchawek i zatrutych strzałek, a poza tym stosuje ziołolecznictwo. Kiedy ci Indianie zagrozili, że zaatakują Saparę, wszyscy potraktowali to jako ponury żart, bo przecież w Medinie stacjonuje armia dysponująca wprawdzie nie najnowszą, ale stosunkowo nowoczesną bronią. Jednak Sapara nie był skory do żartów. Buńczuczne słowa indiańskiego wodza uznał za wypowiedzenie posłuszeństwa władzom i postanowił dać krwawy przykład innym potencjalnym buntownikom. Ekspedycja karna wdarła się do dżungli i zdziesiątkowała niepokorne plemię. Zabijano nie tylko wojowników, mordowano również kobiety i dzieci. Ci, którzy ocalili z masakry, uciekli ze swojej ziemi, o co oczywiście chodziło Saporze.

Enrique i Maria, jego matka... Znała ich od lat i przejmowała się ich losem, dlatego właśnie ich przypomniała sobie w tej chwili.

– Niedobrze mi się robi, kiedy pomyślę o pieniądzach.

– Rzecz nie w samych pieniądzach, ale w chciwości, obsesji, by posiadać ich coraz więcej i więcej, a każdy sposób na ich zdobycie jest dobry. – Doktor Fitzhugh odetchnął głęboko. – Mówiąc w skrócie, Constantine i ja zajęliśmy się produkcją ulotek propagandowych, a także namawialiśmy naszych studentów do organizowania protestów na ulicach i przypominania o losie Indian. Miało to miejsce, zanim Sapara usunął z Barrery zagranicznych dziennikarzy, więc zdążyli powiadomić świat o tym, co tu się dzieje. Żołnierze Sapary aresztowali nas w środku nocy, uniemożliwiając nam dalsze działania.

– Saparze się wydaje, że stworzy tu nową Trzecią Rzeszę – dodał Constantine zmęczonym głosem.

– Ma oddziały szturmowe, jest fanatycznym dyktatorem... Jak walczyć z kimś takim?

– Nie wiem. Ale mam nadzieję, że ktoś zdoła to zrobić – powiedziała Clarisse, uważnie rozglądając się po celi.

– Nie ma tu kamer – uspokoił ją Constantine. – Sprawdziliśmy zaraz po tym, jak nas tu zamknęli, czyli już kilka miesięcy temu. Sapara wznosi nową rezydencję, więc na takie rzeczy, jak zresztą na wszystko inne, nie ma pieniędzy. Każdy grosz inwestuje w budowę pałacu władcy.

– Mamy jednego strażnika, grubasa, który nie lubi swojej pracy, ale za to lubi nas – dodał ze śmiechem Fitzhugh. – Myślę, że chętnie by nas wypuścił, gdybyśmy tylko mieli dokąd pójść. Tylko że gdzie mielibyśmy pójść? Do domu? Zgarnęliby nas w minutę. – Spojrzał na Clarisse. – Cóż, wychodzi na to, że marni z nas rewolucjoniści. Żaden z nas nie był w wojsku ze względów zdrowotnych, nie odbyliśmy żadnego szkolenia przygotowującego do walki.

– No to jest nas troje – przyznała cicho Clarisse. – Och, niech już wreszcie przestanie boleć mnie głowa.

Doktor Fitzhugh z troską wypytał Clarisse o objawy, po czym wyraźnie się rozpogodził i powiedział:

– Pocieszę panią, że to tylko lekkie wstrząśnienie mózgu, ale dla pewności należałoby wykonać rezonans. Moim pierwszym kierunkiem studiów była medycyna, ale uznałem, że zamiast pracować, nocami wolałbym sypiać, więc przerzuciłem się na botanikę. Rozumie pani, nie ma czegoś takiego jak pogotowie roślinne.

– Prawda... – Clarisse uśmiechnęła się. – Niestety nie mam żadnych lekarstw. Zabrali mi wszystko, paszport, karty kredytowe, pieniądze, proszki od bólu głowy...

– Wspaniały człowiek z tego Sapary – stwierdził Constantine. – Mam nadzieję, że pewnego dnia zawiązką odwdzięczymy mu się za gościnę. – Rozejrzał się. – Ta celda jest o niebo lepsza od klatki, w której mieszkałem na studiach.

Pozostali wybuchnęli śmiechem, po czym Clarisse powiedziała:

– Kiedy poczuję się lepiej, proponuję, żebyśmy porozmawiali o wycieczce.

– O wycieczce? – spytał Constantine.

– O jakiej wycieczce? – poparł go Fitzhugh.

– Mam tu znajomych. – Zauważyła, że wzbudziła w nich najwyższą uwagę. – Moglibyśmy ich odwiedzić. Nie wiem, jak do nich dotrzeć, ale najpewniej znajdziemy kogoś, kto zna drogę. Gdybyśmy stąd uciekli, to czy zdołacie nawiązać kontakt z którymś ze studentów?

– Och, pewnie. Znam na pamięć numery telefonów. O ile telefony nadal działają – dodał beztrzesko Fitzhugh. – Od kiedy Sapara przejął kontrolę nad firmą telekomunikacyjną i obsadził ją swoimi ludźmi, często nie ma sygnału. Zresztą podobno łączność w wojsku też szwankuje, a komputery działają na przestarzałych programach. Aż dziw bierze, że nikt się nie włamał im do systemu, jak to się stało w Iranie.

– Żaden haker – Constantine wzruszył ramionami – nie zniży się do włamywania się do takich

antyków.

– Jedna z moich studentek jest hakerem – wyjawiał Fitzhugh. – Dziewczyna aż pali się do działania i ma wyobraźnię. zaproponowała, żeby zawirusować system komputerowy armii, ale nie pozwoliłem jej tego zrobić, bo bałem się, że nas aresztują. Ale cóż, w obecnej sytuacji... to nawet niezły pomysł!

Clarisse bardzo się ucieszyła, że może coś wreszcie zacznie się dziać. Wiedziała też, że Grange'owi bardzo to się spodoba!

– W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wydostać się stąd i pozwolić pańskiej studentce działać.

– Nie znam żadnej innej dziewczyny, która byłaby hakerką. Jej rodzice spanikowali, bo stawała się coraz bardziej zuchwała i w każdej chwili mogło ją dopaść FBI. By chronić córkę, wsadzili ją w samolot lecący do Barrery. Zresztą nie dziwię się jej rodzicom, że tak postąpili, bo dziewczyna nie tylko popełniła przestępstwo. Zachowała się po prostu wstrętne, a mianowicie włamała się do komputera Sekretarza Stanu i opublikowała w sieci jego prywatne mejle. Gdyby nie błyskawiczna i zdecydowana reakcja rodziców, gniłaby za kratami jak my teraz.

Wszyscy się roześmieli. W ogóle w profesorów wstąpiło nowe życie.

– Naprawdę sądzi pani, że możemy się stąd wydostać? – spytał Fitzhugh.

– Ależ oczywiście, drogi profesorze. – Pomacała się po bolącej głowie. – Mam wielką ochotę wziąć kij bejsbolowy i zdzielić Saparę w łeb!

– Osobiście go pani dostarczę! – Fitzhugh wyszczerzył zęby. – Ale nie bejsbolowy, ale do krykieta. To kiedyś była moja gra. Ciężki kij, zrobiony z solidnego drewna.

– To miło z pana strony – odparła z uśmiechem, ale zaraz się skrzywiła, bo poczuła przeszywający ból.

– Proszę się trochę przespać – doradził doktor Fitzhugh. – Natomiast my omówimy plany i przedstawimy je pani, kiedy pani się obudzi. W końcu z za krat też można zacząć rewolucję.

– Wiele sławnych i niesławnych książek i planów jest dziełem osób oglądających świat z za krat. Cervantes napisał „Don Kichota” po tym, jak trafił do więzienia dla dłużników. Uwielbiam tę książkę, uwielbiam szlachetną misję, której poświęcił się Don Kichot. Walczył o przywrócenie światu honoru i moralności. – Zamknęła oczy. – Przydałby nam się ktoś taki.

Panowie spojrzeli na siebie w milczeniu, po czym zaczęli analizować wszelkie możliwe warianty ucieczki, a kiedy Clarisse zasnęła, Fitzhugh budził ją od czasu do czasu, by się upewnić, że wstrząśnienie mózgu nie spowodowało utraty przytomności albo czegoś jeszcze gorszego.

Peg zaczęła się martwić, dopiero kiedy niebo pociemniało, a ludzie schowali się w chatkach. Maria zaciągnęła ją do środka, bo deszcz przychodził i odchodził falami.

– Mój syn i twoja przyjaciółka wkrótce wrócą – zapewniała Maria łamanym hiszpańskim. Pewniej czuła się w portugalskim i w miejscowym narzeczu.

– Oby – odparła Peg. – Już ciemno.

– Trudno znaleźć kogoś, kto nie chce być znaleziony. Zwłaszcza w dżungli. Niedługo wrócą. Zobaczysz.

– Pewnie tak. – Peg westchnęła. – Niedługo.

Mijały godziny. Wioska ułożyła się do snu. Peg leżała na hamaku pod zrobionym z palmowych liści dachem i słuchała szumu deszczu. Raz na jakiś czas samotna kropla przedzierała się przez gęste pokrycie i spadała na podłogę. Peg uśmiechnęła się na wspomnienie domów, w których mieszkała z ojcem na przestrzeni lat. Takich, gdzie z garnkami i miskami musieli polować na przeciekającą wodę.

Leżała z szeroko otwartymi oczami i zamartwiała się. Co się stało z Clarisse? Z początku, wstydząc

się nawet tak pomyśleć, uznała, że jednak wróciła do pierwotnego planu i porzuciła ją w dżungli, żeby zemścić się na Grange'u za odtrącenie.

Ale był jeszcze Enrique. Nawet gdyby Clarisse uciekła z kraju, Enrique wróciłby do wsi i opowiedział o wszystkim. Peg ledwie go znała, jednak czuła, że nie zostawiłby tej sprawy samej sobie. Zresztą żyła tu jego matka, więc na pewno by się tu zjawił... tyle że się nie zjawił. Peg nie była w stanie zasnąć, leżała i przeżywała katusze.

A kiedy nastał pogodny słoneczny poranek, była już pewna, że musiało stać się coś złego.

– Czy syn się odezwał? – spytała Marię z nadzieją w głosie. – Może w nocy przybył do wioski ktoś z wieściami?

– Nie. – Maria była bardzo zdenerwowana, ale próbowała tego nie okazywać. – Nie chcę cię dodatkowo martwić, ale Enrique powiedział, że wstąpi do nas w drodze do miasta. A on zawsze dotrzymuje słowa. Tak samo jak jego ojciec, nigdy nie kłamie. – Gdy Peg w milczeniu zagryzła wargę, Maria pogładziła ją po rękę i dodała: – Nie zakładajmy najgorszego. Może coś się stało z autem? Złapali gumę albo silnik się popsuł? Musimy czekać i mieć nadzieję.

– Ma pani rację. Ale i tak bardzo się martwię.

– Ja też. Enrique jeszcze nigdy nie zawiódł.

Peg nauczyła się przyrządzać ulubione przez mieszkańców wioski potrawy. Kobietom podobało się, że jak wielką przyjemnością Peg zabiera się do pracy. W hotelu w Manaus widziała ulotki reklamujące wycieczki do dżungli, połączone z noclegiem w indiańskiej wiosce. Zajmujący się turystami Indianie musieli się zaszczepić, urząd turystyki wymagał stosownego zaświadczenia od organizatorów wycieczek. Miało to oczywiście głęboki sens. Przecież wiele plemion wymarło pokonanych przez choroby, na które Europejczycy byli odporni.

Peg nie musiała przedstawiać żadnych zaświadczeń, bo na pewno Clarisse wszystko załatwiła. W każdym razie tak uznała. Wydawało jej się przy tym, że Enrique też był organizatorem wycieczek, choć Clarisse wspomniała, że rzadko zabierał gości do rodzinnej wioski, i tylko wtedy, gdy komuś zaufał. Ale co się dziwić, skoro tutejsi Indianie z natury byli bardzo nieufni.

Maria poruszyła ten temat w jednej z rozmów, mówiąc do Peg:

– Jesteśmy zamkniętą społecznością. Nie lubimy obcych. Czemu się śmiejesz?

– Bo miasteczko w Ameryce, z którego pochodzę, jest takie samo – wyjaśniła. – Kiedy przyjeżdża ktoś z miasta, traktujemy go podejrzliwie. Najpierw musimy kogoś poznać, zanim w ogóle zaczniemy rozmawiać z tą osobą.

– Widzę, że mamy wiele wspólnego – stwierdziła Maria z błyskiem w oku.

– Tak, łączą nas też kurczaki! – przyznała Peg ze śmiechem.

Dzień szybko minął. Po kolacji wyszły z Marią z chaty i usiadły przy ognisku rozpalonym w centralnym punkcie wioski. Nocne powietrze wypełniał gwar rozmów. Peg znów zaczęła rozmyślać. Powróciła obawa o los Clarisse i syna Marii. Enrique był doświadczonym przewodnikiem, znał te tereny jak własną kieszeń. Więc co mogło się stać?

Zastanawiała się, co ze sobą począć. Nie miała wizy, przebywała więc w Barrerze nielegalnie, choć oczywiście miała paszport. Szczęśliwie przed rokiem Jason Pendleton polecił jej wyrobić dokument, bo planował wysłać jej ojca do Ameryki Południowej na negocjacje handlowe. Tylko że do tego, by zrobić użytek z paszportu, Peg potrzebowała brazylijskiego lotniska, a najbliższe było w Manaus, musiała więc dysponować jakimś pojazdem. Tymczasem w wiosce nie było ani żadnych samochodów, ani nawet telefonu. Liczyła na to, że Clarisse i Enrique zabiorą ją do Grange'a, a on znajdzie sposób, żeby odtransportować ją do Manaus. Ale wyglądało na to, że utknęła w indiańskiej wiosce. I to akurat w porze deszczowej.

O wilku mowa, bo właśnie zaczęło padać. Pobiegła do chaty, wspominając słowa Clarisse o bawełnianych koszulkach, które chciała ze sobą zabrać. Bawełna łatwo chłonie wilgoć i długo schnie, co w dżungli jest bardzo kłopotliwe. Indianie skorzystali z dobrodziejstw cywilizacji między innymi i w ten sposób, że szczególnie w porze deszczowej preferowali ubrania ze sztucznych tkanin, bo szybko schną.

Po kilku minutach, kiedy deszcz minął, znów wystawiła głowę z chaty. Dwoje ślicznych dzieci zatrzymało się, posłało jej szeroki uśmiech, błyskając idealnie białymi zębami, i pobiegło dalej. Roześmiała się. Niesamowite, jak bardzo ta wioska przypomina Comanche Wells. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie o tym ojcu.

Tylko czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Comanche Wells? Jeśli Clarisse i Enrique prędko nie wrócą, będzie musiała coś postanowić. Maria jej pomoże, tego mogła być pewna. Ale co, jeśli Maria straciła syna? Jeśli Clarisse i Enrique już nie żyją?

Przeraźliwy krzyk wyrwał ją z zamyślenia. Cała wioska pobiegła w kierunku drogi prowadzącej do dżungli. Coś się stało, więc Peg pognała za tłumem.

Dwóch Indian niosło kogoś na prowizorycznych noszach. Peg usłyszała rozpaczliwy krzyk Marii. Na noszach leżał nieprzytomny mężczyzna, całą koszulę miał we krwi.

– Nie żyje? – spytała Peg po angielsku, a gdy to do niej dotarło, powtórzyła po hiszpańsku.

Maria dotknęła syna. Policzki miała mokre od łez. Nabrała głęboko powietrza, po czym odetchnęła z ulgą i powiedziała:

– Żyje. – Rozerwała mu koszulę i zaczęła wycierać krew, by przekonać się, jak wyglądają rany. Enrique został trafiony tuż poniżej klatki piersiowej.

– Strzelano do niego! – krzyknęła Peg, gorączkowo rozglądając się wokół. – Gdzie jest Clarisse? Mój Boże, gdzie ona jest?!

– Musimy poczekać, aż Enrique nam powie, jeśli w ogóle będzie mógł mówić – powiedziała Maria. – Zanieście go do chaty. Wezwę lekarza.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Peg odchodziła od zmysłów. Utknęła w obcym kraju, w indiańskiej wiosce, bez możliwości dotarcia na lotnisko i bez żadnej łączności z Grange'em, mając tylko jedną zmianę ubrań. Kompletnie nie wiedziała, co dalej. Enrique został ranny, a Clarisse przepadła. Jechali razem, więc też mogła zostać ranna lub już nie żyła.

– Gdzie go znaleźli? – dopytywała się Peg, kiedy nieprzytomny Enrique leżał już na posłaniu z liści palmowych w chacie matki.

– Po drugiej stronie rzeki – odparła Maria, podając indiańską nazwę. – I przynieśli mojego syna najszybciej, jak to było możliwe. Powiedzieli, że samochód stał na poboczu. Szyby zostały strzaskane zarówno od strony kierowcy, jak i pasażera. – Ze smutkiem spojrzała na Peg. – Na oparciu fotela pasażera, na wysokości głowy, również była krew, ale nie znaleźli ciała twojej przyjaciółki. Ale w pobliżu były ślady innego pojazdu i odciski stóp dwóch mężczyzn w ciężkich butach, najpewniej żołnierzy. Patrolują drogi. Szaleniec, który rządzi tym krajem, gotów nas powystrzelać, jeśli staniemy mu na drodze. Wielu naszych braci zginęło przez ropę.

– Jakie to straszne – powiedziała szczerze przejęta Peg. – Nie wiedziałam, że w Barrerze jest aż tak źle.

– Zostań dłużej, a się przekonasz. – Maria przyniosła wodę i położyła dłoń na czole syna. – Ma gorączkę. Mam nadzieję, że lekarz niedługo przyjedzie.

– Z Manaus?

– Nie, to za daleko. Ale wysłaliśmy już łódź po kogoś, kto zna się na medycynie. Ta osoba pracowała przy ruinach, kiedy Sapara doszedł do władzy, a teraz, ponieważ generał Machado darzył ją przyjaźnią, musi się ukrywać. Niech się pojawi jak najprędzej, bo Enrique może umrzeć. Wiemy, jak opatrywać rany, mamy lecznicze zioła, ale to straszna rana, trzeba wyjąć kulę...

– Musimy wierzyć, że wszystko dobrze się skończy – z mocą powiedziała Peg, po czym dodała: – Wiem, kim jest generał Machado. W moim kraju stał się niemal legendarną postacią. Ludzie go uwielbiają.

– Och, naprawdę? – ucieszyła się Maria. – Zdecydowana większość mieszkańców Barrery marzy o tym, by znów został naszym prezydentem. I oby tak się stało! Niech wróci, niech powiesi tego łajdaka Saparę na drzewie i niech znów będzie tak jak dawniej!

– Niezły plan – mruknęła Peg, myśląc o Grange'u, który wkrótce na czele wojsk powstańczych miał obalić tyrana.

Na zewnątrz słychać było jakieś poruszenie, a po chwili w progu chaty pojawił się mężczyzna. Jego ubranie ociekało wodą. Na nogach miał ciężkie buty, a na głowie kapelusz z szerokim rondem.

– Na pewno jesteś lekarzem, prawda? – spytała Peg po angielsku.

Gdy nieznajomy zdjął kapelusz, okazało się, że jest kobietą. Była mocno zbudowana, miała około trzydziestki. Gdy usłyszała Peg, spojrzała na nią zaskoczona, a potem zawołała:

– Dobry Boże, pochodzisz z Teksasu! Tak dawno nie słyszałam akcentu z rodzinnych stron!

– Mieszkam w Jacobsville – odparła z uśmiechem Peg. – To małe miasteczko w pobliżu...

– Zdziwisz się, ale wiem, gdzie to jest – wpadła jej w słowo. – Owszem, miasteczko małe, ale ludzie mieszkają tam niezwykle, prawda? – Powiedziała to takim tonem, jakby tylko wtajemniczeni mogli zrozumieć jej słowa. Zaraz jednak spoważniała, gdyż stanęła nad nieprzytomnym pacjentem. – To wygląda na ranę postrzałową – stwierdziła.

– Ktoś strzelał do mojego syna – powiedziała Maria. – Sądźmy, że żołnierze Sapary. Pomożesz mu?

– Minęło sporo czasu, od kiedy ostatni raz wyjmowałam kulę z ciała, ale myślę, że dam sobie radę. – Zdjęła plecak i zaczęła go rozpakowywać. – Nie jestem lekarzem, skończyłam antropologię, ale pracowałam jako sanitariuszka w szpitalu wojskowym, a potem byłam najemniczką.

– Najemniczką? – powtórzyła zdumiona Peg.

– Owszem. Mam czarny pas w karate, znam taekwondo i kilka innych sztuk walki. Zadawałam się z gościem, który nazywa się Colby Lane.

– Znam go! – zawołała Peg. – Ma żonę i dwójkę dzieci. Colby pracuje w ochronie Ritter Oil Corporation w Houston, a jego żona jest agentką DEA.

– Słyszałam, że się ożenił – odparła cichym głosem. – Kiedyś się w nim zadurzyłam, ale nie był mną zainteresowany, bo akurat wtedy wolał delikatne, urokliwe kobiety. Cóż, to nie moja bajka. Uwielbiam przygody, niebezpieczne wyzwania... – Przerwała na moment. – No, ale nie po to tu jestem, żeby opowiadać o sobie. Mario, powiedz, żeby zagotowali wodę, dobrze? – Wyjęła walizeczkę pełną sprzętu medycznego. – Będzie mi potrzebny jakiś środek ściągający.

Maria skinęła głową i wstała, by przynieść, co trzeba, natomiast Peg powiedziała:

– Infekcje to tutaj poważny problem, prawda?

– Bardzo poważny. Och, nie przedstawiłam się – dodała z uśmiechem. – Nazywam się Maddie Carlson.

– A ja Peg Larson. – Też się uśmiechnęła. – Miło mi. Dobrze, że wiesz, jak postępować z ranami postrzałowymi.

– Mam sporo doświadczenia. W naszej grupie mieliśmy lekarza. Nazywał się Micah Steele...

– Niemożliwe! – wykrzyknęła Peg. – Mieszka w Jacobsville!

– I pracuje u Eba Scotta? – spytała Maddie, która właśnie odsłaniała ranę.

– Nie, założył przychodnię z dwójkiem lekarzy z hrabstwa, ma też dyżury w szpitalu. – Gdy Maddie na moment przestała zajmować się rannym i pytająco spojrzała na Peg, ta od razu wiedziała, co ją interesuje. – Jest żonaty. Z Callie mają dwójkę dzieci, dziewczynkę i dwuletniego chłopczyka.

– W życiu bym nie powiedziała, że ten facet się ożeni. – Maddie pokręciła głową. – No to się porobiło! Colby Lane zaobrączkowany, Micah Steel też. Ale chyba nie Eb Scott i Cyrus Parks?

– Owszem! I obaj mają dzieci.

– Nie do wiary! – Maddie odebrała od Marii potrzebne rzeczy. – Eb nadal prowadzi ośrodek szkoleniowy dla antyterrorystów?

– Tak. Prawie wszyscy ludzie Winsłowa tam trenowali.

– Winsłowa? – Maddie zmarszczyła brwi.

– Winsłowa Grange'a. Generał Machado bardzo go ceni, mianował głównym doradcą wojskowym czy kimś takim.

– Grange? Nie znam.

– Jest jeszcze Rourke.

– Jego też nie kojarzę, ale od kilku lat nie mam nic wspólnego z najemnikami, zajmuję się wyłącznie archeologią. Musisz wiedzieć, że jesteśmy o krok od epokowego odkrycia. Niestety przewrót Sapary bardzo pokrzyżował nam plany. Kiedy Barrerą rządził Machado, zawsze mogliśmy liczyć na jego pomoc, a teraz co? – Przerwała, żeby umyć dłonie środkiem odkażającym i włożyć gumowe rękawiczki. – Machado to bardzo sympatyczny i porządny człowiek. Nawet wpadł mi w oko, ale ja mu nie. – Niby mówiła lekkim tonem, ot, zwykła opowiastka, a jednak ostatnie dwa zdania zabrzmiały jak intymne wyznanie. Podobnie było, gdy wspomniała o tym, że Colby Lane ją odtrącił. Czyżby Maddie miała na tym punkcie kompleks? – Cóż, nie jestem w jego typie. Twarda ze mnie sztuka, a on, choć generał, też pewnie woli kruche kobiety, a nie takie jak ja. Ale nic na to nie

poradzę, przecież nagle nie zmienię się w kogoś innego.

– Wcale nie musisz – odparła Peg. – Najważniejsze, to zawsze być sobą.

– Mądrze powiedziane – z uśmiechem skomentowała Maddie, po czym w jednej chwili się zmieniła, bez reszty skupiając się na pacjencie.

Czuło się, że doskonale zna się na rzeczy. Szybko zlokalizowała kulę, która utkwiała w dolnej części klatki piersiowej, i błyskawicznie ją wyjęła.

Maria westchnęła z bezbrzeżną ulgą, natomiast Peg wyszeptała:

– Dzięki Bogu...

– W ranie zostały odłamki szkła – stwierdziła Maddie, marszcząc brwi.

– Powiedziano mi, że szyby w aucie były stłuczone po obu stronach, od kierowcy i od pasażera – wyjaśniła Maria.

– Nie podobają mi się te odłamki, jednak z drugiej strony szyba go ocaliła – stwierdziła Maddie. – Wyhamowała pocisk, dzięki czemu nie wbił się aż tak głęboko w ciało. Doprowadził jednak do zapadnięcia się płuca. Niestety nie mam środków, żeby temu zaradzić. Mogę jedynie podać antybiotyki. Trzeba posłać do miasta po medyczną pomoc. Enrique powinien wytrzymać do przybycia lekarza, ale pośpiech jest bardzo wskazany. Mario, musisz natychmiast wyekspediować łódź, i to najszybszą, jaką macie. Lekarz musi dokończyć to, co zaczęłam.

– Pomyślałam o tym wcześniej, łódź jest już w drodze – odparła Maria. – Maddie, jesteś znakomita w pierwszej pomocy, ale tak czy inaczej lekarz będzie potrzebny. – Objęła ją serdecznie. – Dziękuję ci za to, co zrobiłaś. No i pamiętaj, że w każdej chwili możesz z nami zamieszkać. Już to mówiłam, i to nie raz.

– Sapara chce mnie dorwać – powiedziała Maddie ponuro. – Za wszelką cenę chce podpisać umowę na wydobywanie ropy, a jeśli rozgłoszę w mediach, co już tu odkryliśmy i co jeszcze spodziewamy się odkryć, Sapara będzie miał na głowie społeczność międzynarodową. Prowadzi delikatne negocjacje, a więc ostatnie, czego potrzebuje, to rozgłos. Po cichu pozbywa się plemion zamieszkujących tereny roponośne, oczywiście nie informując o tym potencjalnych partnerów biznesowych.

– Wiesz, z kim negocjuje?

– Z firmą Ritter Oil z Houston.

– Och, Eugene Ritter zjadłby Saporę na podwieczorek, gdyby się dowiedział, co tu się wyrabia.

– Tak? – spytała zaskoczona Maddie. – Wrażliwy potentat naftowy?

– Owszem. A może wystarczy powiedzieć, że jest normalnym człowiekiem. Bo kto normalny godzi się na takie rzezie? Z tym że tak czy inaczej Eugene Ritter ma opinię kogoś naprawdę wyjątkowego. Genialny biznesmen, wpływowy miliarder obdarzony wrażliwością społeczną i poczuciem sprawiedliwości... Sapara ma kogo się bać! Musisz też wiedzieć, że dla Eugene'a Rittera pracuje Colby Lane.

– Colby... – Maddie uśmiechnęła się. – Wiem, na co go stać. Gdyby skrzyknął ludzi i ruszył do akcji, błyskawicznie by rozniósł Saporę. Mój Boże, jak bardzo bym chciała, by wreszcie ktoś zrobił porządek z tym psychopata. – Przerwała na moment. – No, gotowe – mruknęła, kończąc bandażowanie rannego i zabierając się do mycia rąk.

– Z tego, co wiem, generał Machado zamierza obalić obecny rząd i znów przejąć władzę w Barrerze – powiedziała Peg.

– Emilio? – Maddie zamarła na moment. – Jest tutaj?!

– Grange dowodzi jego oddziałami. Niestety nie wiem, gdzie dokładnie stacjonują. W przeciwnym razie już bym się skontaktowała z Grange'em. Miałam się z nim spotkać. Przywiozła mnie tu z Manaus znajoma, ale zniknęła. Obawiam się, że nie żyje. Enrique był jej przewodnikiem i kierowcą, ale ich wóz ostrzelano, a na siedzeniu była krew, więc... Ma na imię Clarisse. Była dla mnie taka dobra...



– Nie znaleziono jej?

– Nie. Wygląda na to, że zabrali ją żołnierze.

– Czy wiedziała o planach generała? – spytała mocno poruszona Maddie.

– Wiedziała, że przekroczył granicę Barrery. – Gdy Maddie nic nie odpowiedziała, tylko się odwróciła, Peg spytała nerwowo: – Będą ją torturowali, prawda?

– Jeśli Sapara uzna, że coś wie, to tak – odpowiedziała Maddie.

– Mój Boże...

– Kilka lat temu pojechałam do Afryki z oddziałem najemników, który miał obalić wyjątkowo okrutnego dyktatora. Zagapiłam się i złapali mnie. – Rozpięła koszulę i pokazała bark. Była tam duża biała blizna. – Jeden z ludzi dyktatora wbił mi nóż. Zrobił to z uśmiechem na ustach. Powiedział, że jeśli nie zacznę mówić, przebije mi pierś.

– A jednak przeżyłaś...

Roześmiała się i zapięła koszulę.

– Bo nim zdążył mnie zabić, przeszła go seria z uzi – odparła z uśmiechem. – Nawet nie zdążył zobaczyć, komu ją zawdzięcza, więc nie poznał Colby'ego Lane'a.

– Zainterweniował w samą porę!

– Micah Steele mnie opatrzył, a Colby strasznie przeklinał. Już ci wspomniałam, że mi się podobał jako facet, ale nigdy nie przekroczyliśmy granicy przyjaźni. I do dziś jesteśmy przyjaciółmi.

– To dopiero przygoda! – krzyknęła Peg. – Dotąd nigdzie nie wyjeżdżałam i nigdy nie przeżyłam nic niebezpiecznego. – Roześmiała się. – Ale muszę ci powiedzieć, że nawet mi się to podoba. Tyle że los Clarisse jest nieznan, a najpewniej dostała się w łapy Sapary, natomiast Enrique jest ciężko ranny...

– Będzie spał – powiedziała Maddie. – Dałam mu środki przeciwbólowe. Mam nadzieję, że lekarz dotrze, zanim przestaną działać. – Spojrzała na Peg. – Mówiłaś, że przyjechałaś spotkać się z Grange'em. To twój narzeczony?

– Nie, ale... bardzo mnie lubi. – Wyraźnie się speszyła. – Zabrał mnie na bal w Jacobsville. Oboje jesteśmy wolni.

– Rozumiem... – Maddie uśmiechnęła się. – Więc przyjechałaś do rządzonego przez satrapę kraju, w którym lada chwila może wybuchnąć powstanie, bo chcesz się zobaczyć z facetem, który bardzo cię lubi? Wniosek z tego, że i ty musisz bardzo go lubić.

– No tak... A przywiozła mnie tu Clarisse – wyjaśniła Peg, pomijając prawdziwe powody, uznała bowiem, że Clarisse zapłaciła już wystarczająco wysoką cenę. – Miałam poczekać w bezpiecznym miejscu, podczas gdy ona i Enrique pojedą po Grange'a. Powiedziała, że to niedaleko. Tylko Enrique znał lokalizację obozu Grange'a – dodała ze smutkiem. – On nawet nie wie, że tu jestem. Biedny Enrique dostał przez to kulkę, a Clarisse przepadła bez wieści.

– Tak bywa – stwierdziła filozoficznie Maddie. – Ale jeszcze wszystko się ułoży, zobaczysz.

– Enrique przeżyje. Ale Clarisse... Gdzie ona może być? Byle nie w więzieniu Sapary. – Niestety taka ewentualność była najbardziej prawdopodobna, o czym wszyscy wiedzieli.

Clarisse leżała w celi i cała się trzęsła. Jej piękną skórę pocięło ostrze noża. Miała na sobie jedwabną bluzkę, pod którą płynęła krew. Przesłuchanie było brutalne, a jego cel był jeden: generał Machado. Oprawca w mundurze, który chciał wydostać z niej wszystko, co wie na ten temat, potraktował ją sadystycznie. Zagroził nawet gwałtem, ale drugi żołnierz przypomniał mu, że Clarisse jest bogata i ma wpływowych przyjaciół, zadowolili się więc nożem.

Nic im nie powiedziała. Przypomniała sobie dzieciństwo, zabawy ze Stantonem Rourke, gdy byli mali. Raz Rourke w żartach przytrzymał jej głowę pod wodą, a potem próbował przeprosić, jednak Clarisse w ogóle nie okazała strachu. Oczywiście Rourke ni słowem nie pochwalił jej odwagi, ale

w oczach miał podziw.

Przez pewien czas Clarisse mieszkała z rodzicami w Afryce, ojciec pełnił pierwszą misję z ramienia Departamentu Stanu. Nigdy nie zajmował wysokich stanowisk, na czym zresztą mu nie zależało. Był specjalistą od bardzo trudnych spraw, miał wybitny talent negocjacyjny, i w takich zadaniach się realizował.

Natomiast Rourke, który mieszkał nieopodal wraz z matką, już jako chłopak miał opinię wojownika. Po latach mówiono o nim, że jest podstępny jak kobra i silny jak lew, a jego serce nie zna strachu. Miał o pięć lat więcej niż Clarisse, ale już jako dziesięciolatka była nad wiek rozwiniętym i uwielbiającym ryzyko dzieckiem. Często wyruszali na poszukiwania przygód i pakowali się w kłopoty. Wtedy przydawała się Rourke'a znajomość afrikaans i kilku miejscowych narzeczy. Był mistrzem wykręcania się z trudnych sytuacji, co w późniejszych latach rozwinął do perfekcji i dlatego wciąż żył.

Kiedyś natknęli się na paskudną zmiję, która ukąsiła Clarisse. Rourke wziął ją na ręce i zaniósł do lekarza, gdzie dostała zastrzyk. Czuwał przy niej razem z jej matką. Clarisse dotąd nie przypuszczała, że kryje w sobie troskliwość i czułość.

Potem dotarły do niej pewne plotki, a ponieważ była za młoda, by wszystko rozumieć, wypaliła, że Rourke podobno jest nieślubnym dzieckiem milionera K.C. Kantora. Rourke nigdy więcej nie odezwał się do Clarisse, a po jakimś czasie jej ojcu zmieniono przydział i cała rodzina musiała wyjechać z Afryki. Gdy później natykali się na siebie na przyjęciach w Waszyngtonie, Rourke zachowywał się uprzejmie, ale z rezerwą. Ale potem widzieli się w Manaus, tuż po śmierci matki Clarisse. Wtedy potraktował ją bardzo chłodno, po prostu obraźliwie, ponieważ uważał, że postąpiła jak ostatnia idiotka. Na samo wspomnienie czuła, jak zalewa ją wstyd, dlatego unikała Rourke'a.

Mimo to zachowała go w czułych wspomnieniach i gdy o nim myślała, mniej bolało. Po prostu pamięć o wczesnym dzieciństwie dodawała Clarisse sił. W tamtych czasach Rourke był dla niej wzorem. Nieustraszony, a zarazem przebiegły, znał takich, którzy brali udział w rewolucjach, opowiadał o nich i o tym, co się działo, gdy ich pojмали wrogowie. Pomogło jej to znieść ból, gdy sama znalazła się w niewoli. Nie zamierzała pisać słówka. Mogli ją nawet zabić. Była to winna Grange'owi za to, co zrobiła biednej Peg, która na pewno ją znienawidzi, bo uwierzy, że Clarisse ją zdradziła. A Enrique? Pomyślą, że go zabiła! Biedna Maria!

– Panno Carrington – zawołał cicho doktor Fitzhugh. – Panno Carrington!

Przełknęła, bo zrobiło jej się niedobrze, i usiadła na łóżku.

– Żyję – szepnęła, zdobywając się nawet na uśmiech.

Gdy zobaczył krew na jej bluzce, powiedział mściwie:

– Zabiję ich, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię!

– Dziękuję, ale bardziej potrzebujemy dobrego planu. I to szybko. Oni nie przestaną, dopóki wszystkiego nie wyśpiewam. A ja tego nie zrobię, więc będą musieli mnie zabić.

– Boże, Boże... Jak do tego doszło? Dlaczego demokratyczny kraj przemienił się w tyranie?

– Chciwość.

Skinął głową.

– No tak... Proste wytłumaczenie i jakże prawdziwe. – Przerwał na moment. – Żałuję, że nie mogę opatrzeć pani ran. Może powinniśmy poprosić o lekarza?

– Sapara potraktuje to jako dobry dowcip.

– Ma pani rację. Tak strasznie pani cierpi.

– Co się stało? – zapytał doktor Constantine z celi po drugiej stronie.

– Tortury.

Constantine siarczyście zaklął, a kiedy zaczął przeproszać, Clarisse wpadła mu w słowo:

– I tak określił to pan bardzo łagodnie.

Mimo ponurych okoliczności, Constantine roześmiał się, natomiast Fitzhugh przysunął się do krat i powiedział:

– Myślałem o pani słowach. Moglibyśmy dotrzeć do tej wioski. Strażnik ma kuzyna, a kuzyn ma wóz i dwa muły. Często wozi towary do wioski, w której zostawiła pani przyjaciółkę.

– Tak? – Wstąpiła w nią nadzieja i strach przed nią.

– Tak. Strażnik mógłby pomóc...

Usłyszeli ciężkie stąpanie. Strażnik, otyły, sześćdziesięcioparoletni mężczyzna z bujnymi węsami, zatrzymał się przed celą i spojrzał na Clarisse i krew na jej bluzce.

– *Señorita. Dios mio, Señorita! Lo siento. Lo siento. Los animales! Puede que se vaya al infierno para siempre!* – Nie krył, jak bardzo jest poruszony tym, co ją spotkało.

Clarisse przysunęła się bliżej i spytała cicho:

– *Nos puedes ayudar?* – Użyła serdecznej formy, ponieważ poczuła bliskość z kimś, kto wprawdzie był obcy, ale przejął się jej losem.

Zawahał się, jednak po chwili z powagą skinął głową i odparł:

– Zrobię to. Ale nie macie dokąd pójść...

– Mamy – powiedział Fitzhugh. Jego hiszpański brzmiał fatalnie, ale dało się go zrozumieć.

– Tak – szybko przytaknęła Clarisse. – Jest wioska na południe stąd. Niedaleko. Tylko nie mam czym się tam dostać.

– Mój kuzyn ma wóz i muły. W każdy piątek robi obchód wsi na południe od miasta. Piątek to jutro. Uwolnię was przed zmianą warty. Tylko ktoś z was musi mnie walnąć w głowę. Zrobisz to ty, Fitzhugh. Mam leżeć nieprzytomny i zakrwawiony, bo inaczej zabiją mnie za zdradę.

– Prędzej skonom! – oznajmił doktor Fitzhugh.

Powiedział to po angielsku, ale strażnik świetnie zrozumiał jego reakcję.

– Dobry z ciebie człowiek – oświadczył z uśmiechem – ale musisz to zrobić. Mam żonę, brzydką jak noc, ale mnie kocha i nie ma nikogo oprócz mnie, dlatego nie mogę umrzeć. I dlatego musisz mnie walnąć. Nie przejmuj się, mam twardą głowę. – Popukał się w czaszkę.

– Nie chcę, żeby coś ci się stało – z troską powiedziała Clarisse.

– Wszystko będzie dobrze – odparł strażnik. – Miałem córkę. Gdyby żyła, byłaby w twoim wieku. Zmarła jako dziecko – rzekł ze smutkiem. – Moja żona jest Holenderką. Córeczka miała jasne włosy, takie jak twoje. – Otrząsnął się ze wspomnień i powiedział innym już tonem: – Jeśli tu zostanieie, Sapara was zabije. Musicie uciekać.

– W porządku. Ale jeśli nam się uda, to przysięgam, że już nigdy niczego ci nie zabraknie.

– Piękna perspektywa – powiedział wzruszony. – Nazywam się Romero Coriba.

– A ja Clarisse.

– Clarisse... – powtórzył cicho. – Wszystkim się zajmę. Muszę przekupić wartownika.

– Mam pieniądze, ale zabrał je Sapara.

– To nie problem, Clarisse. Wiem, gdzie trzyma łupy. – Uśmiechnął się przebiegle. – Zresztą i tak najskuteczniejszą łapówką jest rum. Wartownik go uwielbia. Mam butelkę przedniego rumu, prezydent Machado mi ją podarował. Trzymam ją na specjalną okazję, która właśnie nadeszła. Wasza ucieczka to cios wymierzony w Saparę!

Clarisse roześmiała się pomimo bólu, po czym powiedziała:

– Kiedy ten łajdak zostanie obalony, kupię ci skrzynkę najlepszego rumu.

– *Señorita*, jesteś aniołem. Tak strasznie mi przykro, że tak cię potraktowali. To prawdziwe bestie. Mógłbym ich udusić gołymi rękami, a już zwłaszcza Miguela. Wprost uwielbia zadawać ból, krzywdzić innych.

– Mam znajomego, który też lubi zadawać ból – odparła lodowatym tonem. – Poznam go z Miguelem.

- Dobry pomysł... No, ale muszę już iść. Przygotuję wszystko. Clarisse, chciałbym jakoś ci pomóc.
- Romero, ratujesz mi życie – powiedziała z powagą. – Czy może być coś ważniejszego?
- Co racja, to racja... – Uśmiechnął się i odszedł.
- Wreszcie! – zawołał Fitzhugh. – W końcu nadzieja!
- Tak – poparła go Clarisse. – Nadzieja.

Romero wrócił tuż przed świtem. Przyniósł klucze do celi i kij bejsbolowy.

– Wszystko przygotowałem. Wartownik śpi, bo wypił całą butelkę przedniego rumu. Kuzyn czeka przed wejściem. Ma poncha dla całej waszej trójki. Zawiezie was do wioski. Ma dwóch silnych i odważnych synów, którzy również z wami pojedą, tak na wszelki wypadek. W wiosce mieszka rodzina mojego kuzyna.

– Dziś nie mogę ci zapłacić, ale zrobię to, obiecuję – powiedziała Clarisse i wyściskała strażnika, choć rany na piersi okropnie piekły.

Poklepał ją ostrożnie po plecach.

– Uważajcie na siebie.

– Do zobaczenia. – Uśmiechnęła się przez łzy wdzięczności.

– A teraz, Fitzhugh – Romero wręczył mu kij – walnij mnie.

Profesor z odrazą ujął ciężki przedmiot, mówiąc przy tym:

– Dobrze, że coś tam wiem o medycynie, więc uderzę cię tak, żeby nie uszkodzić mózgu. Ale pamiętaj, że będziesz miał okropny ból głowy.

– Lepsze to, niż gdybym miał umrzeć – odparł strażnik łamaną angielszczyzną.

– Niech będzie. Z całego serca dziękuję ci za pomoc, ale teraz zamknij oczy.

– Tak. Mogę...

Nagle upadł z głośnym plaśnięciem. Fitzhugh zbadał mu puls i posłuchał oddechu, po czym powiedział:

– Boże drogi, obym nigdy więcej nie musiał tego robić! – Odłożył kij tak, żeby od razu można było go znaleźć.

– Oby. Idziemy – zarządziła Clarisse.

Pobiegli do tylnego wyjścia długim korytarzem, w duchu modląc się, żeby za drzwiami nie czekał pluton wojska. Choć strażnik był pewny swego, jednak zawsze coś mogło pójść nie tak, dlatego Clarisse bardzo się bała. Jeśli zostaną schwytani, żołnierze Sapary natychmiast ich rozstrzelają. Albo gorzej. Nawet nie chciała o tym myśleć. Przełknęła ślinę i pobięła przed siebie.

Przy wyjściu nie było nikogo, tylko pod ścianą leżał spity w trupa wartownik.

Clarisse zagryzła wargę do krwi.

– Mój Boże, chyba się udało – jęknęła płaczliwie.

– Psst! *Señorita!*

Serce niemal wyskoczyło jej z piersi. Teraz już była pewna, że się uda, dostrzegła bowiem wybawicieli. Szybko do nich podeszła, ręką dając znak profesorom.

– Nazywam się Jorge – oznajmił niski, ciemnowłosy mężczyzna, uchylając sombrero. – A to moi synowie, Rafael i Sandrino.

– Clarisse. I profesorowie Fitzhugh i Constantine. A Romero to twój kuzyn, prawda?

– Tak, oczywiście. Jesteśmy gotowi do drogi – odparł z uśmiechem.

Jeden z jego synów rozdał poncha, tak długie, że sięgały kolan. Dodał jeszcze po kapeluszu z szerokim rondem, pod którym trudno było dostrzec twarz.

– Idziemy powoli, nie biegniemy – zakomenderował Jorge. – Powoli, spokojnie.

Clarisse zacisnęła zęby. Cóż, miał rację, choć tak bardzo chciała pobiec jak najszybciej. Marsz przez plac, obok fontanny, do granicy kompleksu wojskowego, choć nie był zbyt długi, dla niej trwał

całą wieczność. Natknęli się na jednego strażnika. Jorge powiedział do niego parę słów i pokazał na swoich towarzyszy. Strażnik obrzucił ich dziwnym spojrzeniem, nie należał jednak do nadgorliwców, przy tym wyglądał na znużonego, więc machnął ręką i kazał iść dalej.

Gdy dotarli do wozu, Clarisse wspięła się na górę i usiadła na jednym z worków z ziarnem, którym Jorge od lat handlował. Obok niej zajęli miejsca profesorowie.

– No to jedziemy – oznajmił Jorge. Synowie usiedli obok niego na drewnianej ławie. Pogonił muły, które ruszyły powoli, ociężale, lecz po chwili złapały rytm.

Doktor Carvajal wszedł do chaty. Choć miał na sobie kurtkę przeciwdeszczową, i tak był przemoknięty do suchej nitki. W rękę ścisnął pękata torbę lekarską.

– Dzień dobry, doktorze – przywitała go Peg.

– Witam. – Uśmiechnął się. – A gdzie Clarisse?

– Jechali razem – wyjaśniła Peg, a Carvajal od razu przystąpił do badania rannego. – Enrique został postrzelony, natomiast co się stało z Clarisse, nie wiadomo. Boimy się, że zabrali ją żołnierze.

– Dobry Boże!

– Myślę, że przeżyła strzelaninę. Gdyby było inaczej, zostawiliby ją w land roverze. Przecież tak właśnie został potraktowany Enrique. Jestem pewna, że uznali go za martwego.

Spojrzał na nią i zdobył się na uśmiech.

– Brzmi rozsądnie. Bardzo możliwe, że właśnie tak było. – Zrobił nacięcie w miejscu, gdzie do niedawna była kula. – Dobra robota. Kto się nim zajął?

– Ja – powiedziała Maddie. – Przez kilka lat byłam sanitariuszką w wojsku.

– Powinna pani studiować medycynę.

– Nie, to dla mnie zbyt nudne. Wolę bardziej dynamiczne wyzwania.

– Przecież jest pani archeologiem! – zdumiał się lekarz.

– Tak dla ścisłości, to antropologiem, choć z uwagi na moją pracę faktycznie jestem archeologiem. Proszę jednak nie rozgłaszać tej informacji. Ukrywam się przed Saparą i jego zbirami. Jeśli wpadnę w ich łapy, od razu mnie zastrzelą. Bo to, co wiem, pozbawiłoby dyktatora możliwości eksploatacji złóż ropy naftowej, a w każdym razie zmusiłoby go do wyłączenia z tych działań terenów, które mają wyjątkowe znaczenie dla nauki.

– Z tego wnoszę, że odkryła pani coś bardzo interesującego.

– Tak, te odkrycia mają przełomowe znaczenie.

– Proszę mnie posłuchać. Musi pani pojechać do stolicy, skontaktować się z kimś z rządu i powiedzieć wszystko, co pani wie.

– Panie doktorze, przecież mówimy o Barrerze – odparła z ironicznym uśmiechem. – Tutaj rządzi wyłącznie Sapara.

Lekarz zaklął pod nosem.

– No tak... Mówię jak ktoś, kto żyje w demokratycznym państwie. Sapara to tyran i zwykła gnida!

– Zgoda, choć znam dużo gorsze określenia. Mam nadzieję, że generał Machado skopie mu tyłek!

– Machado? Jest tutaj?! – wykrzyknął doktor Carvajal.

– Jest – odparła Peg. – I to całkiem blisko. Kopnie Saparę tak, że doleci do samego oceanu.

– Chętnie pożyczę mu buty – zadeklarował lekarz z takim zapałem, że wszyscy się roześmieli.

Jednak Peg bardzo martwiła się losem Clarisse i nic nie było w stanie rozwiać jej obaw i poprawić nastroju.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszała ją Maria. – Na pewno. Mam dla ciebie niespodziankę.

– Niespodziankę?

– *Sim*. – Maria wyszła na zewnątrz i machnęła do jednego z mężczyzn. – *Ahora?*

– Tak, jadą – odparł wesoło.

– Kto jedzie? – Peg wyszła z chaty i rozejrzała się dokoła. Do wioski zbliżał się dżip, a ona patrzyła jak zahipnotyzowana.

Gdy samochód zatrzymał się, wysiadł z niego wysoki ciemnowłosy mężczyzna w mundurze maskującym. Podszedł bliżej, przystanął i powiedział cicho:

– Peg...

Kiedy wreszcie dotarło do niej, kogo zobaczyła, zawołała:

– Grange! – Rzuciła mu się w ramiona i połączyli się w gorącym pocałunku.

– Dowiedziałem się, że w wiosce przebywa ktoś, kto ma dla mnie ważną wiadomość – powiedział. – Ale nie wiedziałem kto!

Uśmiechnęła się i znów go pocałowała. Mocno zacisnęła ręce wokół jego szyi.

– Tak bardzo się cieszę, że cię widzę – powiedziała czule.

– Skąd się tu wzięłaś? – spytał.

– Clarisse mnie przywiozła.

– Clarisse! Przecież...

Zasłoniła mu usta dłonią i zaczęła wyjaśniać:

– Przywiozła mnie pod wpływem impulsu, kiedy brała leki przeciwlękowe. Rozpacz po śmierci ojca i siostry odebrała jej zdolność trzeźwego rozumowania. A jednak obroniła się przed złem, bo z natury jest dobra. Załatwiła mi szczepionki, troszczyła się o mnie. Opowiedziała o swojej rodzinie – Peg odrobinę naciągała prawdę – i tragicznym wypadku sprzed czterech miesięcy. Zaprzyjaźniłyśmy się. Powiedziała, że opowie ci, co straszego zrobiła, a ty, jeśli uznasz, że tak należy postąpić, zastrzelisz ją. Zostawiła mnie tutaj, w bezpiecznym miejscu, a sama wyruszyła odnaleźć twój obóz. Enrique, który był jej przewodnikiem i kierowcą, leży ranny w chacie.

– Ranny? Ktoś strzelał do niego?

– Tak, żołnierze Sapary. A Clarisse zabrali ze sobą. Jeśli do tej pory jeszcze nie umarła, to pewnie torturami zmuszają ją do mówienia – dodała z głębokim smutkiem. – Nie powinnam była pozwolić jej jechać. Przecież mogłam poprosić Marię, żeby wysłała jakiegoś tropiciela, który by odnalazł twoje obozowisko.

– Do diabła! – Grange był mocno zafrasowany. – Ale się porobiło!

– Wejdz do środka. – Pociągnęła go za rękę. – Poznasz moich przyjaciół.

Z uśmiechem pokręcił głową. Cała ona! Była sama w obcym kraju, a już znalazła sobie przyjaciół. Na szczęście przeszła mu ochota, by zbesztać Peg za przyjazd, choć tak bardzo się przestraszył na jej widok. Objął ją i przytulił. Pomimo grubego materiału wyczuł jej miękkie piersi i aż zadrżał z podniecenia. Tak wiele razy o niej śnił – sny bywały bardzo plastyczne, ale w końcu zawsze budził się w chłodnej, deszczowej rzeczywistości – a oto nagle trzymał Peg w ramionach. W końcu! Nawet nie potrafił wykrzesać w sobie złości na Clarisse.

Peg wtuliła się w niego i spojrzała głęboko w oczy. Weszli do krytej strzechą chaty, w której paliło się ognisko, jednak spojrzenie, którym Peg obdarzyła Grange'a, było dużo gorętsze niż ogień.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy weszli do chaty, Peg dokonała prezentacji. Najpierw przedstawiła Grange'a, a potem powiedziała kilka słów o każdym z obecnych. Grange z entuzjazmem przywitał się z Maddie, bo słyszał o niej od najemników szkolonych przez Eba Scotta. Wielu z nich ją znało, bo pracowała jako najemnik przed powrotem na studia. Ważniejsze było jednak to, że to ona była zaginioną panią archeolog, a posiadane przez nią informacje miały nie tylko naukowe, ale i polityczne znaczenie.

– Dużo o tobie słyszałem – stwierdził.

– I ja o tobie niemało – odparła, zerkając na Peg. – Od tej wyjątkowej młodej kobiety.

– Wcale nie jestem wyjątkowa – zaprotestowała Peg.

– Ależ jesteś – odezwał się doktor Carvajal. – Uwolniłaś naszą wspólną znajomą od uzależnienia od środków przeciwlękowych. Niewykluczone, że w ten sposób uratowałaś jej życie.

– Tylko po to, żeby naraziła się w dżungli na śmierć – stwierdziła smutno Peg. – Bóg raczy wiedzieć, co oni jej zrobili!

– Znajdziemy sposób, żeby ją uwolnić – obiecał Grange. – Przysięgam.

– Dziękuję – odparła cicho, obdarzając go pełnym uwielbienia spojrzeniem.

Pogłaskał ją po włosach. Wygląda tak pięknie, pomyślał.

– Czy wasza akcja już się zaczęła? – spytała.

– Mamy pewne problemy. – Zmarszczył czoło. – Machado uważa, że powinniśmy zaatakować od środka. Wysłaliśmy do miasta dwóch ludzi, którzy mieli dotrzeć do jednego z byłych współpracowników generała, ale niestety jak do tej pory nie dali znaku życia. Tak więc albo Sapara znalazł ich i zabił, albo nie udało im się nawiązać kontaktu.

– To złe wieści.

– Dlatego szkolimy miejscową ludność, która nienawidzi Sapary i jego ludzi. Daliśmy im broń, uczymy strzelać i podstaw taktyki na polu walki. To będzie krwawa bitwa.

– Mój Boże... – Wyobraźnia podsunęła Peg straszne obrazy.

– Każdy plan ma swoje wady. Akurat ten lepiej wyglądał na papierze niż w rzeczywistości. Celem jest zwycięstwo, a szacunkowe ofiary to już tylko statystyka – skomentował ponuro.

– Ludzie, którzy zginą, a nie statystyka...

– No właśnie, Peg, no właśnie.

Na zewnątrz rozległy się jakieś odgłosy, więc Grange i Peg wyszli na zewnątrz, zostawiając doktora, Maddie i niespokojną Marię czuwającą przy synu. Okazało się, że do wioski wjechał wóz ciągnięty przez muła.

– To tylko handlarz – powiedziała Maria, wystawiając głowę z chaty. – Przyjeżdża w każdy piątek z ziarnem.

– Och. – Peg była wyraźnie zawiedziona.

Trzy odziane w poncha postaci razem z trzema mężczyznami weszły do wioski. Jedna z nich, niższa niż pozostałe, poruszała się powoli i niepewnie, jakby coś jej dolegało. Gdy przybysze podeszli bliżej, zdjęli kapelusze.

– Clarisse! – Peg ze łzami w oczach wpadła jej w ramiona. – Tak strasznie się bałam, że nie żyjesz! Cudownie, że jesteś cała i zdrowa!

Uścisk Peg bolał jak diabli, ale Clarisse się nie skarżyła. Jak dobrze mieć przyjaciółkę, pomyślała.

– Nic mi nie jest. Strzelano do mnie, potraktowano mnie nożem i grożono mi, ale trzymam się! Po prostu... – Owszem, słowa były dziarskie, jednak ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Zachwiała się, a potem nieprzytomna osunęła na ziemię.

Grange wziął ją na ręce, zaniósł do chaty i umieścił na hamaku, który błyskawicznie rozwiesiła Maria. Gdy zdjął z Clarisse poncho, wystraszył się nie na żarty, bo bluzka była cała we krwi.

– Boże drogi, co oni jej zrobili? – spytał gniewnie.

– Torturowali ją – wyjaśnił jeden z przybyłych mężczyzn. – Zresztą wszyscy przeszliśmy piekło w więzieniu Sapary. Mamy nadzieję, że wkrótce odpłacimy mu za jego specyficzną gościnność. Nazywam się Damon Fitzhugh, a to jest Julian Constantine. Wykładamy na Uniwersytecie w Barrerze. A raczej wykładaliśmy. Ta dzielna młoda dama pomogła nam w ucieczce. Oby tylko rany nie okazały się groźne. Najpierw została postrzelona, miała też wstrząśnienie mózgu, a potem tortury... Nie mogliśmy nic dla niej zrobić, a Sapara oczywiście nie dopuścił do niej lekarza. Potwór!

– Muszę umyć ręce – powiedział doktor Carvajal, podchodząc do hamaka. – Mario, poproszę o wodę i ręcznik.

– Już się robi. A co z moim synem?

– Wszystko będzie dobrze. Płuco nabiera powietrza, to zajmie trochę czasu. Prowizoryczny opatrunek był całkiem niezły. – Uśmiechnął się do Maddie.

– Dzięki. – Też się uśmiechnęła.

Umył ręce i zwrócił się do Clarisse, wzrokiem wyprasząc Grange'a i resztę mężczyzn.

– Pozwólmy doktorowi spokojnie popracować – powiedział Grange.

Poprowadził ich do sąsiedniej chaty, gdzie rozesiedli się wokół usytuowanego w środkowej części paleniska i dostali jedzenie i picie, za które serdecznie podziękowali.

W tym czasie Carvajal zdjął z Clarisse bluzkę i aż skrzywił się, gdy zobaczył obrażenia. Na ramieniu miała głębokie rozcięcie, które naruszyło żyłę. Na szczęście krew zakrzepła, ale rana źle wyglądała.

– Boże, co za człowiek to zrobił?

– Taki, któremu należałoby skrócić kark – wycedziła Peg.

– Nic dodać, nic ująć... – Oglądał pozostałe rany. Były głębokie i liczne. – Konieczna będzie seria operacji plastycznych, ale dopiero wtedy, gdy rany się całkowicie zagoją, a Clarisse wróci do normalnej kondycji fizycznej. Cud, że przeżyła, bo straciła mnóstwo krwi. Że też to musiało się przydarzyć właśnie jej... – dodał ze smutkiem.

– Właśnie – zgodziła się Peg. – Biedna Clarisse.

– Oprócz tego ma jeszcze ranę na głowie – zauważyła Maddie. – Duży strup.

– Tak, widzę. Ale wszystko po kolei.

Przez jakiś czas pracował w milczeniu. Drobniejsze obrażenia tylko odkaził i zabandażował, pozostałe pozszywał. Pracował szybko i sprawnie, a jego profesjonalizm natchnął asystujące mu kobiety optymizmem.

– No, gotowe – powiedział wreszcie doktor Carvajal. – Strasznie ją potraktowali, ale najważniejsze, że rana na głowie to tylko drażnienie. Szczęśliwie żołnierz kiepsko wycelował. Ale strasznie ją pocięli. To szok dla organizmu. Dzięki Bogu, Clarisse jest silna, więc powinno być dobrze.

– Chcieli zmusić ją do mówienia – stwierdziła Maddie. – Założę się, że nie pisnęła ani słówka.

– Zgadza się – dodała Maria. – Rozmawiałam z poganiaczem mułów. Clarisse powiedziała, że nawet się nie zająknęła o powstańcach, tylko trzymała się swojej bajeczki. Do Barrery wysłała ją gazeta, by zrobiła reportaż o tym, co tu się dzieje.

– Brzmi prawdopodobnie – skomentował Carvajal.

– Tak, ale Sapara boi się nie tylko zbrojnego przewrotu, ale i światowych mediów, bo gdyby na jaw wyszła prawda o tym, jak postępuje z Indianami, plany dotyczące wydobycia ropy ległyby w gruzach. Tak czy inaczej, musiał uznać Clarisse za wroga.

– Dziś rano znów zamierzali wziąć ją na tortury – mówiła dalej Maria. – Znajomy woźnicy pomógł w ucieczce całej trójki. Nie chce powiedzieć, o kogo chodzi, więc pewnie był to ktoś z rodziny. –



Uśmiechnęła się. – Dobry człowiek.

– Kilku jeszcze się ostało – skomentowała Peg, po czym zerknęła na Clarisse i spytała niespójnie: – Doktorze, jest pan pewny, że ona wyjdzie z tego?

– Biorąc pod uwagę obrażenia, wygląda to dobrze, jak już mówiłem. Resztę musi zrobić organizm, a na to trzeba czasu. Przeżyła katusze, jest wyczerpana i odwodniona, straciła mnóstwo krwi.

Nagle Clarisse się poruszyła i wyszeptała:

– Spaaać... – Przebudziła się do końca, spojrzała wokół i dodała: – Przepraszam, musiałam się zdrzemnąć. Torturowali mnie, ale niczego ze mnie nie wyciągnęli – oznajmiła z błyskiem w oku. – Dla Sapary pracuje taki jeden... Miguel... jeśli jeszcze raz spotkam go na swojej drodze...

– Osobiście wręczę ci broń – oznajmiła Peg z uśmiechem. – Tak się cieszę, że dochodzisz do siebie.

– Wydawało mi się, że widziałam Grange'a – powiedziała cicho Clarisse.

– Owszem. Przyniósł cię do chaty. Zemdlałaś.

– Tortury, brak snu, brak jedzenia... Wody też nam skąpili. Strasznie chce mi się pić!

– Proszę. To woda. Można, prawda? – Maria spojrzała na lekarza, podając Clarisse miseczkę.

– Tak. Właśnie tego jej trzeba.

Clarisse usiłowała wypić wszystko duszkiem, ale doktor Carvajal napomniął ją:

– Powoli, bo będzie ci niedobrze.

– Tak, jasne... – Łyknęła odrobinę, krzywiąc się z bólu. – Dzięki, Mario. Tak mi przykro, że twój syn... Zgubiliśmy się, a kiedy próbował znaleźć drogę, rozpętała się strzelanina. Wyjdzie z tego?

– Tak – odparł lekarz z uśmiechem. – Musi poleżeć, odpocząć, rany się zagoją i będzie dobrze. Tak samo jest z tobą. Wiedząc, co przeszedłaś, to na moje oko jesteś w rewelacyjnej formie. Możesz wrócić ze mną do miasta...

– Nigdzie nie jadę! – gwałtownie wpadła mu w słowo.

– Słucham?

– Nigdzie się nie wybieram – powtórzyła z naciskiem. – Znam rozkład budynku, w którym mnie przetrzymywano, wiem, o której zmieniają się wartownicy, i mam tam swojego człowieka. Gdy generał Machado się o tym dowie, na pewno uzna, że jestem jego asem w rękawie. Jadę z nimi.

– Moja droga... – zaczął protestować doktor Carvajal.

– W takim razie ja też jadę – oznajmiła Peg.

– O nie, nie ma mowy! – żywo zaprotestowała Clarisse.

– Ona ma rację – stanowczo poparła ją Maddie. – Byłam najemni, więc wiem, co mówię. Nie masz żadnego wykształcenia wojskowego, więc podczas działań bojowych będziesz dla powstańców jak kula u nogi. Nic nie pomożesz, za to trzeba cię będzie pilnować i chronić. Natomiast ty... – Spojrzała na Clarisse.

– Ja to co innego – przerwała jej żywo. – Byłam w niewoli, przetrzymałam tortury, więc to także moja wojna. Owszem, tak samo jak Peg nie mam wykształcenia bojowego, więc byłabym skończoną idiotką, gdybym pchała się na pierwszą linię. Ale byłabym skończonym tchórzem i kanalią, gdybym nie pomogła powstańcom, skoro mogę pomóc. Powtarzam, mam kontakt wśród ludzi Sapary, wiem, kiedy zmieniają się wartownicy, znam rozkład budynku. I mam fotograficzną pamięć oraz potrafię rysować. Mogę bardzo się przydać, więc to mój obowiązek.

Maddie westchnęła.

– No dobrze, nie będę się kłóciła. Jednak z Peg to inna sprawa. Ale to już jego kłopot. – Kiwnęła na Grange'a, który właśnie wszedł do chaty. Miał ponurą minę, wyglądał na zdenerwowanego. Maddie spojrzała na niego. – Powiedz Peg, że nie może z wami jechać.

– Po co masz gadać, po prostu ją zwiąż – dodała Clarisse, tłumiąc śmiech.

Grange patrzył na Clarisse, a w jego oczach było widać pomieszanie irytacji z szacunkiem.

– Co się stało? – spytała Peg.

– Rourke tu jedzie – mruknął Grange. – Idiota. Próbowalem go powstrzymać, ale nie chciał słuchać.

– Po co tu jedzie? – spytała Clarisse

Starala się zachować twarz pokerzysty, ale Peg wychwyciła leciutki rumieniec na jej twarzy, w ogóle sprawiała wrażenie podekscytowanej.

– Powiedziałem mu, że torturowali cię ludzie Sapary – odparł Grange. – Przypuszczam, że tak jak ja, ma wyrzuty sumienia. Zbyt surowo cię potraktowałem. To był błąd.

Clarisse ciężko przetała twarz, a po chwili milczenia wyznała:

– Też mam wyrzuty sumienia, że wciągnęłam w to wszystko Peg. Jest dobra, szlachetna, miła... – Popatrzyła na nią z ogromnym poczuciem winy. – Tak bardzo przypomina mi moją siostrę... – W jej oczach pokazały się łzy.

– Już dobrze. – Peg pogłaskała ją po głowie. – Już w porządku.

Clarisse się rozplakała.

Grange nigdy nie widział jej w takim stanie. Zawsze uważał, że jest twarda jak skała i pozbawiona wszelkich zasad. Peg, moja Peg, pomyślał z dumą, to dziewczyna jedna na milion. Przebiła się przez jej stalową skorupę, którą odgradzała się od świata i ludzi.

Zamierzał oświadczyć Clarisse, że nie ma mowy, by pojechała na akcję, ale ponieważ ją i Rourke'a łączyła wspólna przeszłość i ponieważ zlekceważył rozkaz dowódcy zabraniający mu przyjazdu do wioski, to równie dobrze on mógł się nią zająć.

Siedzieli przy ognisku i jedli, kiedy na skraju wioski zatrzymał się dżip. Wysiadł z niego wysoki, buchający złością blondyn z czarną przepaską na oku.

Kiedy podszedł bliżej, Peg zauważyła, że jego zdrowe oko ma kolor złamanego brązu. Nie zawahał się, nie czekał, aż ktoś go przedstawi, tylko podszedł prosto do Clarisse i ukląkł obok niej.

Przesunął wzrokiem po poplamionej bluzce, nadal noszącej ślady krwi, choć Maria ją uprała w potoku, i tam gdzie lekarz wyciął kępkę włosów, żeby opatrzyć ranę postrzałową głowy.

– Kto ci to zrobił? – spytał lodowatym głosem.

Clarisse odetchnęła głęboko. Jest nieźle, pomyślała. Przynajmniej nie lży mnie ani nie bucha sarkazmem. Gdyby była bardziej naiwna, uwierzyłaby, że mu na niej zależy.

– Jeden z ludzi Sapary – odparła cicho. – Niejaki Miguel, prawdziwy rzeźnik. Pracuje w budynku sztabu, tuż obok więzienia.

– Zapłaci za to. – Jego twarz była jak wykuta w skale. – Przyrzekam ci to. Nie zostanie kamień na kamieniu!

– Okej, oni wszyscy to banda łajdaków, ale Romero jest pod ochroną – powiedziała z naciskiem. – Uratował nam życie. Gdyby nie on, już byłabym martwa. Jest strażnikiem więziennym. Koło sześćdziesiątki, gruby i niechlujny, łatwo go rozpoznać.

– Romero. – Posłał jej długie badawcze spojrzenie. – A więc teraz gustujesz w starszych facetach, co?

– A niech cię... – Spodziewała się po nim wszystkiego, jednak atak od tej strony ją zaskoczył. – Jest żonaty – broniła się nieporadnie.

– A to ci przeszkadza, tak? – Prychnął pogardliwie, jednak gdy dostrzegł minę Clarisse, wyraźnie spasował. – Posłuchaj...

– Nic mi nie jest – wpadła mu w słowo. – Będę miała kilka blizn, ale poza tym wszystko w porządku.

Spojrzał na jej poplamioną bluzkę i się skrzywił. Przypomnił sobie miękka, cudownie kremową skórę Clarisse i jej piersi jak gładkie muszle, a na nich delikatne różowe guziczki...

– Blizny w takim miejscu... – Wstał gwałtownie.

– Nie szkodzi, i tak nikt mnie nie chce – powiedziała cicho, z desperacją. – Sama będę je oglądała.

Nie skomentował tego. Wiedział, że jest panną puszczałką, to żadna tajemnica, a jednak nie potrafił dalej jej dogryzać. Nie teraz, kiedy została ranna, kiedy wpadła w łapska przeklętej bestii. Rourke prawie oszalał, kiedy Grange powiedział mu, co się stało. Nic nie było w stanie go zatrzymać, jedyne bowiem, czego pragnął, to zobaczyć ją, znaleźć się przy niej, upewnić się, że nic jej nie jest. Nigdy nie będzie jej miał, ale też nie zamierzał pozwolić na to, by ktoś ją skrzywdził.

– Dobrze, że nie skończyło się gorzej. Gdyby nie Romero... – powiedziała Clarisse. – Gdybyśmy nie uciekli, zabiliby mnie. Poznałeś już profesorów? – Przedstawiła ich Rourke'owi.

– Nigdy nie spotkałem odważniejszej kobiety – rzekł doktor Fitzhugh z podziwem. – Prawdziwa bohaterka.

– Dzielna i piękna – dodał z uśmiechem doktor Constantine.

– Już nie taka piękna – odparła z westchnieniem, ale odwzajemniła uśmiech. – Nieważne. Teraz, kiedy już wiem, jak wygląda życie w Barrerze pod rządami Sapary, nie mogę się doczekać zemsty. Mam w głowie rozkład pomieszczeń w sztabie – dodała. – Jeśli coś się zmieniło od czasu, gdy Machado utracił władzę, to mogę zaktualizować dane. Miałam oczy i uszy szeroko otwarte i zadawałam sporo pytań. Nasz strażnik jest bardzo gadatliwy, dużo się od niego dowiedziałam.

– Znajdziemy go – obiecał Rourke. – Włos mu z głowy nie spadnie.

– Komputery Sapary działają na starym systemie – wtrącił Fitzhugh. – Jedna z moich studentek jest hakerką, więc w każdej chwili może się włamać i namieszać w systemie. Myślałem, żeby wykorzystać robaka, takiego jak stuxnet...

– Wielkie umysły myślą podobnie – skomentował rozbawiony Grange. – Jest u nas irlandzki spec od komputerów, który wysmażył wirusa właśnie w takim stylu. I jest gotów w każdej chwili zarazić nim komputery Sapary. Inna grupa odpowiada za sabotaż mediów.

– To lubię! – Fitzhugh też się roześmiał. – A tak przy okazji, niektórzy z moich studentów zaangażowali się w walkę z systemem. Co prawda akurat teraz zdają egzaminy, ale gdybym ich poprosił, na pewno udzielą wsparcia. Znają miasto jak własną kieszeń.

– Na tym etapie wolałbym nie angażować cywilów. Chyba że będę musiał – odparł Grange. – Niemniej jednak dziękuję za propozycję, niewykluczone, że będziemy musieli sięgnąć po niestandardowe środki. Plany bardzo szybko się zmieniają.

– Coś o tym wiem. – Profesor spojrzał na współbiedniaków. – Muszę przyznać, niezła z nas banda obdartusów – zażartował.

– Przynajmniej żyjemy – skomentowała Clarisse, sącząc rosół. – To nie bał, nieważne, jak wyglądamy.

– Masz rację, ale wolałbym jednak zmienić ubranie – marudził Fitzhugh. – Strasznie cuchnę, a jeszcze niedawno byłem nobliwym profesorem. – Ku rozbawieniu wszystkich skrzywił się komicznie, wachając rękaw koszuli.

Grange spojrzał na Peg, mówiąc:

– Powinnaś wrócić do domu.

– Racja – poparła go Clarisse.

– Bez dwóch zdań – dodała Maddie.

Peg posłała im wszystkim długie, wymowne spojrzenie. Rozsiadła się demonstracyjnie, była jednym wielkim „Nie!”.

– Oto cała Peg, oto cała moja dziewczyna – powiedział Grange, kręcąc przy tym głową.

Zarumieniała się, bo zabrzmiało to szczerze. Roześmiała się. Widząc jego wzrok, aż zadrżała. Wreszcie byli razem, ale otoczeni przez całą armię ludzi i w miejscu, gdzie nie istniało pojęcie prywatności. Prawie jęknęła z zawodu.

Grange dostrzegł tę jej frustrację. Myślał podobnie. Ale widać było, że jest dumny z Peg.

– No dobrze, kochanie – odezwał się aksamitnym głosem, od którego poczuła się rozkosznie. – Ale

zostaniesz z Marią – dodał stanowczo. – Nie pójdziesz na wojnę.

– Niech będzie – odparła z uśmiechem. – Najważniejsze, że zostaję.

– Co za kobieta... – Wbił w nią tak długie i przenikliwe spojrzenie, że w końcu znów oblała się rumieńcem.

Poczuła przyjemne ciepło w miejscu, którego nazwy nigdy w życiu nie wymówiłaby na głos. Miała wrażenie, że ciało wie coś, o czym umysł nie ma pojęcia. Jedyne, czego pragnęła, to wielki hamak, a na nim Grange, jak w tym erotycznym śnie sprzed kilku dni. Zastanawiała się, czy mu o nim opowiedzieć, a raczej czy się na to odważy. Będzie miała czas, żeby nad tym pomyśleć. Akurat jedyne, na co mogła sobie pozwolić, to myślenie, skoro była skazana na życie w prawdziwym ulu. Uśmiechnęła się do siedzących wokół ludzi. Rzeczywiście umiała znajdować sobie przyjaciół.

Grange poprosił o kartkę i ołówek i kazał Clarisse naszkicować plan budynku sztabu generalnego i zaznaczyć miejsca, w których rozlokowano wartowników. Clarisse z profesorami omówili wyposażenie gabinetu Sapary i wspólnymi siłami odtworzyli grafik strażników. Wiedzieli dużo więcej niż Clarisse, bo spędzili w niewoli już kilka długich miesięcy.

– Sapara ma u siebie sporo sprzętu RTV – powiedziała Clarisse. – Telewizor, wieżę, komputer.

– Manaus jest ośrodkiem przemysłu elektronicznego w tej części kontynentu – wyjaśnił Fitzhugh. – Znajduje się tu strefa wolnego handlu, podatki są niskie, więc i sprzęt nie jest drogi.

Clarisse trzymała w ręku kubek gorącej herbaty i ogrzewała dłonie. Zapach był kojący. Słyszała rozmowy otaczających ją osób, ale słowa docierały do niej jak zza mgielnej zasłony.

Obok niej siedział Rourke. Wyjął nóż i zaczął strugać gruby patyk.

– Pamiętam, że robiłeś to, kiedy mieszkaliśmy w Afryce – powiedziała cicho. – Nadal mam tego łabędzia, którego dla mnie wyrzeźbiłeś, kiedy miałam dziesięć lat.

– Odważny był z ciebie dzieciak. Włóczyłaś się ze mną wszędzie tam, gdzie nawet chłopaki bali się pójść. I nigdy się nie skarżyłaś, nawet kiedy pozwoliłem, żeby ukąsił cię wąż...

– Sama na niego weszłam – przerwała mu. – Nie mogłeś nic zrobić.

– Powinienem był go wypatrzeć, ale niech ci będzie... Lekarz mówi, że czeka cię operacja plastyczna – dodał po chwili. – Rany są głębokie – zakończył ze złością.

– Chwalebne rany, odniesione na wojnie. – Zerknęła na jego opaskę. – Ty nie chcesz nosić szklanego oka, a ja nie zoperuję blizn. – Gdy tylko uniósł brwi, dodała: – Zasłużyłam na nie – oznajmiła z powagą. – Długo bawiłam się w dziennikarkę, beztrudno przeprowadzałam wywiady z żołnierzami na pierwszej linii frontu. – Odetchnęła głęboko. – Teraz już wiem, jak naprawdę to wygląda. – Spojrzała na niego. – Wojna to nie wycieczka na pustynię z aparatem i notatnikiem.

– Coś o tym wiem... – mruknął.

– Dają kałasznikowy dziesięcioletnim chłopcom, szprycują ich narkotykami i posyłają, by zabijali i ginęli. Tak wygląda prawdziwy świat. – Przymknęła na moment oczy. – To dobry powód, żeby wrócić do domu i zacząć pisać do kolumny towarzyskiej. – Pokręciła głową. – Pewnie i dobry, ale nie dla mnie. Zrobię wszystko, by nadać mojemu życiu głębszy sens. A mówiąc mniej patetycznie, chcę zrobić coś dobrego. Nie zbawię całego świata, ale...

– Jak tak patrzę na ciebie – wpadł jej w słowo – to jesteś już za stara, żeby pójść do szkoły dla pielęgniarek.

Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. Taka odzywka była idealnie w stylu Rourke'a. To znaczy w stylu zarezerwowanym tylko dla niej.

– Okej, jestem za stara – odparła. – Szkoda tylko, że czegoś nie chcesz zrozumieć.

– Masz rację, nie rozumiem.

– Jestem fotoreporterką. Uważasz, że nie traktuję tego poważnie, ale mylisz się. Dogadam się z którąś z agencji, na przykład z Reutersem, i przygotuję duży interwencyjny materiał o czymś, co

powinno wypalać żywym ogniem sumienia możliwych tego świata. O czymś, co dzieje się tu, na naszej planecie Ziemi, ale o czym woli się nie myśleć. Na przykład o dzieciach-żołnierzach.

– To szaleństwo! – Rourke pobladł gwałtownie. – Masz pojęcie, co tam się dzieje?! To nie są zwykłe wojny, które niosą śmierć. To piekło sadyzmu, skrajnego zdziczenia... Nic o tym nie wiesz!

– Owszem. – Wskazała raną zszytą czarną nicią. – Wiem.

Zmełł w ustach przekleństwo. Odczuwał wręcz fizyczny ból na widok okropnych obrażeń Clarisse. Przez lata odsuwał ją od siebie, wyśmiewał i atakował. Udawał, że ze względu na jej prowadzenie się i wystawny styl życia pogardza nią. Prawda wyglądała jednak tak, że bał się do niej zbliżyć, ponieważ wiedział coś, o czym ona nie miała pojęcia. Istniała pewna tajemnica, której nie potrafił jej wyjawić. Oznaczało to jednak, że już na zawsze pozostaną tylko znajomymi, którzy najwyżej co jakiś czas przypadkiem wpadają na siebie, albo wrogami. Łatwiej, dużo łatwiej było dla niego, jeśli go nienawidziła. Dlatego też wykorzystywał wrogość jako środek odstraszący, bardzo się bowiem bał, że przy bliższych kontaktach Clarisse go przejrzy.

– Jak chcesz. – Skupił się na struganiu drewna. – Biorąc pod uwagę twoją przeszłość, przypuszczam, że nie za bardzo byś się przejęła, gdyby jakiś facet położył na tobie łapska.

Była zbyt zmęczona i zbyt obolała, żeby wymyślić celną ripostę. Znów miała próbkę stylu Rourke'a. Jego słowa były okrutne. Gdyby nie była aż tak wykończona i przygnębiona, pewnie uderzyłaby go za to.

– Myśl sobie, co chcesz – rzuciła tylko.

Źle się czuł z tym, co jej powiedział. Clarisse zraniono, a on nie zdołał na czas jej pomóc. Przymknął oko, ale po chwili przypomniał sobie o patyku i wrócił do strugania, milcząc przy tym jak zakłęty.

Clarisse zastanawiało jego dziwne zachowanie. Zupełnie jakby nie mógł wytrzymać pięciu minut bez kąśliwej uwagi pod jej adresem, a jednak zjawiał się jako pierwszy, kiedy działo się z nią coś złego. Zawsze tak było. To nie miało sensu. Przecież nie znosił jej, to było jasne jak słońce.

Kiedy zastanawiała się, jak rozwikłać tę zagadkę, błogą ciszę przerwał ryk silnika. Po chwili samochód zatrzymał się i wysiadło z niego trzech ludzi.

Jeden z nich, postawny mężczyzna o szerokiej twarzy i czarnych falujących włosach, siedł z przodu. Wszyscy trzej byli w połowych mundurach.

Rourke i Grange zerwali się na nogi i położyli dłonie na kaburach, ale zaraz je cofnęli, gdyż tym, kto przybył do wioski, okazał się generał Emilio Machado.

– Czyżbyśmy przenieśli obóz? – zapytał spokojnym, ale lekko poirytowanym tonem, wykonując szeroki gest dłonią.

Zapanowało milczenie, które przerwała Maddie:

– Emilio? – Z wahaniem zrobiła krok w jego stronę.

On zaś, porzucając marsowy wyraz twarzy, zawołał:

– Maddie! Ty żyjesz!

Już chciała rzucić jakąś dowcipną uwagę, ale nie zdążyła, ponieważ generał wziął ją w ramiona i zaczął kręcić się dokoła, ściskając i przytulając Maddie.

– *Dios mío!* Myślałem, że cię schwytali i zabili! – Ze szczęścia zabrakło mu tchu. Postawił ją na ziemi i dotknął jej policzka. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. – Nachylił się, jakby miał zamiar ją pocałować, ale przypomniał sobie, że mają widownię, więc się wyprostował. – Bogu niech będą dzięki, że udało ci się uciec.

Maddie zdobyła się na słaby uśmiech. Ugięły się pod nią nogi. A więc może jednak generał coś do niej czuje... Zaraz się jednak opanowała i odparła ze śmiechem:

– Tak, żyję, to nie mój duch. – Przez moment patrzyła mu prosto w oczy. – Ukryłam się w wiosce nieopodal ruin. Maria posłała po mnie, kiedy się okazało, że Enrique został postrzelony. Wyjęłam

kulę. Cóż, jak widać, doświadczenie z wojska przydaje się, kiedy w okolicy nie ma lekarza. Później przyjechał doktor Carvajal z Manaus i pozszywał Clarisse.

– Strzelano do Clarisse?

– Nie, torturowano ją – odparła Maddie ze złością.

– Straszne, po prostu straszne. – Zacisnął zęby. – Spirala zła się rozkręca, zupełnie jakby brutalność Sapary nie znała granic. – Usiadł przy ognisku, reszta poszła jego śladem.

Gdy spojrział na Peg i profesorów, Clarisse dokonała prezentacji:

– Poznaj Peg Larson i zaginionych profesorów. – Wymieniła ich nazwiska.

– Jak się trzymasz, Clarisse? Co ci łajdacy ci zrobili? – zapytał, widząc ślady krwi na jej bluzce i opatrunki.

– Nie było wesoło, ale mam to już za sobą. – Buńczucznie wzruszyła ramionami, starając się nie rozkleić pod wpływem głębokiego współczucia ze strony generała. – Owszem, bolało, ale w sumie to nic poważnego. Żyję, wracają mi siły. Sapara chciał się upewnić, że przyjechałam do jego kraju wyłącznie po to, żeby przygotować materiał o Barrerze i zaginionych profesorach, i że nie mam żadnych innych tajemnic. – Uśmiechnęła się z satysfakcją. – Nie usłyszał ode mnie ani słowa na twój temat.

– Jak udało ci się uciec? – dopytywał się generał.

– Pomógł nam stary strażnik więzienny...

– No tak, Romero – wpadł jej w słowo. – Mój stary dobry druh. Zabiją go za to...

– Niekoniecznie – wtrącił doktor Fitzhugh. – Uderzyłem go kijem bejsbolowym i zostawiłem nieprzytomnego w celi. Spokojnie – dodał, widząc, że generał bardzo się obruszył. – Studiowałem medycynę, zanim przerzuciłem się na botanikę. Wiem, jak uderzyć. Lepsze to niż kulka w głowę.

– Zgoda – powiedział Machado. – To dobry, życzliwy człowiek. Dziwię się, że Sapara pozwolił mu nadal pracować.

– Nikt inny nie palił się do tego zajęcia – wyjaśnił doktor Constantine. – Zanim Romero został przywrócony do pracy, wypróbował z dziesięciu strażników. Narobił sobie tylu wrogów, że ludzie uciekają od niego. Jest powszechnie znienawidzony, a terror opiera się na wąskiej grupie degeneratów i cynicznych karierowiczów.

– To dla nas dobra wiadomość.

– Nawet bardzo dobra – zgodził się Grange. – Musimy znaleźć sposób, żeby się skontaktować z ludźmi, których wysłałeś, żeby dotarli do Lopeza.

– Może doktor Carvajal będzie miał jakiś pomysł – wtrąciła Clarisse, uśmiechając się do niego. – O ile dobrze pamiętam, w Medinie masz kuzyna, prawda?

– Nawet kilku. Odezwę się do tego, któremu najbardziej ufam, i poproszę, żeby rozeznał się w sytuacji.

– Będzie musiał skontaktować się z generałem Lopezem – odezwał się Machado – i powiedzieć mu, żeby tutaj przyjechał. To nie powinno wzbudzić podejrzeń, a Domingo nam pomoże. Początkowo zamierzałem załatwić mu wyjazd z kraju, bo bałem się, że zostanie zabity, ale Domingo jest wybitnym specjalistą od wojskowości, więc Sapara uznał, że jego obecność w sztabie jest niezbędna. Sapara to polityk, który nie brał udziału choćby w ćwiczeniach wojskowych, nie mówiąc już o prawdziwej walce. Kiedy zdobywaliśmy Barrerę, został na tyłach i rozmawiał z dziennikarzami. Nawet powołałem go na szefa partii. Nie przypuszczałem, że będzie zdolny wbić mi nóż w plecy.

– Nowy dyktator ma słabość do koki – wyjaśnił Carvajal. – Coraz bardziej się uzależnia. To dla nas dobra wiadomość. Mój kuzyn może wypytać Lopeza o rozkład dnia Sapary.

– Wiemy, że buduje pałac za miastem – dodała Clarisse. – Myślę, że co jakiś czas jeździ na plac budowy i sprawdza postęp prac.

– Doskonale! – wykrzyknął Machado.

– Robię się coraz bystrzejsza – oznajmiła Clarisse z uśmiechem. – To pewnie od tego postrzału. Rourke nie skomentował, ale gdy na nią spojrzął, zmrużył oko.

Kiedy pozostali siedzieli przy ognisku i rozmawiali, Grange poszedł z Peg na spacer po wioskowej polanie. W ciemnościach odgłosy dżungli było słychać wyjątkowo wyraźnie. Ciszę przeszył ostry ryk zwierzęcia.

– Jaguar – wyjaśnił Grange. – Nie zbliży się do obozu. Nie lubi ognia. – Spojrzął na Peg, ale było tak ciemno, że nie widział jej oczu. – W tropikach noc rzeczywiście jest czarna – szepnął. – To dobrze i źle – dodał i wziął Peg w ramiona. Nachylił się do jej ust. – Dobrze, bo nikt nas nie zobaczy...

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

Peg wspięła się na palce, by dosięgnąć ust Grange'a. Trzymał ją tak mocno, że zaczynało boleć, zupełnie jakby nie miał dość jej ciepłych miękkich warg.

– Tęskniłem za tobą – szepnął. – Nawet nie sądziłem, że tak bardzo będzie mi ciebie brakowało. Aż nagle okazuje się, że jesteś tuż obok!

– Żałujesz, że przyjechałam? – spytała z uśmiechem.

– Facet z krwi i kości nie żałuje – mruknął. – Ale rozum i owszem.

– To powiedz temu rozumkowi, żeby się zamknął.

Położył wielkie dłonie na drobnych udach Peg i przysunął ją do siebie. Był wręcz boleśnie pobudzony, ale znajdowali się w indiańskiej wiosce, w której nie mogli liczyć na chwilę prywatności. Do tego, choć była noc, nikłe światło księżycyca robiło swoje.

– Gdyby tylko mieli tu gdzieś łóżko! – narzekał.

– Mają hamaki... – Poczwała, jak przez jej ciało płynie fala gorąca. Miała ochotę zrzucić ubranie. Cóż za osobliwe uczucie!

– Wydaje mi się, że trudno kochać się na hamaku – odparł, muskając ustami jej usta.

– Wcale nie – szepnęła. – Miałam taki sen...

– Hm? Opowiedz mi o nim.

– No nie wiem...

– Śmiało. Mnie możesz wszystko opowiedzieć.

– Leżałeś na hamaku w samych szortach, a ja miałam na sobie sarong. – Zadrżała, gdy jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie. – Zdjąłeś go i rzuciłeś na ziemię, a potem zsunąłeś szorty...

– I co dalej?

– Powiedziałaś, że nie możesz tego zrobić na hamaku. I wtedy się obudziłam. – Gdy zaśmiał się pod nosem, dodała: – Pewnie obudziłam się dlatego, że... że nigdy jeszcze tego nie robiłam i nie wiem, co dalej. To znaczy niby wiem z książek i filmów, ale... to tylko teoria.

– Chętnie pokażę ci, co dalej – wyszeptał. – Też nigdy wcześniej tego nie robiłem, ale jestem pewien, że doskonale nam pójdzie już za pierwszym razem.

– Brzmi obiecująco – odparła ze śmiechem. – To kiedy? Teraz?

– Po ślubie.

Peg z bezgraniczną miłością spojrzała na Grange'a, po czym powtórzyła:

– Po ślubie?

– Tak, Peg – stwierdził z powagą. – Trzeba niezwykłej odwagi, by za ukochanym mężczyzną pojechać aż na wojnę. – Uśmiechnął się przebiegle i dodał: – No i gotujesz jak mistrzyni. – Znów spoważniał. – Peg, serce i dusza coś mi nakazują, a ciało... Och, tak bardzo cię pragnę, że przy tobie tracę zmysły.

– Aż tak bardzo...? – spytała z jawną ekscytacją.

– Nie widać? – Poruszył biodrami.

– E... no tak... rzeczywiście zauważyłam... – Zaczerwieniła się, ale zarazem było jej cudownie.

Wsparła głowę na ramieniu Grange'a i roześmiała się.

– Boże, czemu tu nie ma gdzie się położyć? – jęknął. – Niech już będzie i ten hamak! W dodatku tyle tu ludzi!

– Niestety, nie ma wolnych hamaków – odparła ponuro.

Grange wsunął dłoń pod jej bluzkę i dotknął miękkich ciepłych piersi, zwieńczonych twardymi małymi sutkami, które tak bardzo go podniecały. Peg gwałtownie zareagowała na pieśczętę.



Chwyliła Grange'a za koszulę, wyszarpnęła ją ze spodni, włożyła dłoń pod materiał i przeczesła palcami gęste włosy porastające szeroką umięśnioną pierś.

– Peg... – Chciał zaprotestować, ale dotyk był tak rozkoszny... Podciągnął jej bluzkę i przytulił się do nagiego rozpalonego ciała.

Nie mogła złapać tchu. W jej głowie krążyła tylko jedna myśl: musi być jakiś sposób, by skończyło się to bolesne napięcie i by poczuć ulgę... Kręciło jej się w głowie. Rozchyliła usta i połączyli się w ekstatycznym pocałunku, a dłonie Grange'a wsunęły się pod spodnie Peg i powędrowały w stronę...

– Tak! – jęknęła. – Tak, zrób to!

– O tak – mruknął.

– O nie – usłyszeli rozbawiony głos w ciemności. – Nie ma mowy.

Zamarli. Odwrócili się w kierunku, z którego usłyszeli słowa. Snop światła z latarki na szczęście padał głównie na ziemię pod stopami, a nie wyżej.

– Najwyższy czas, żebyście wrócili do ogniska. Dzieciaki nie powinny oglądać tego przedstawienia, które im urządzacie – stwierdziła Clarisse.

Poświeciła latarką na zarośla, w których ukrywały się dzieci, przyglądały się szeroko otwartymi oczami i chichotały.

– O rany... – Peg odsunęła się od Grange'a i poprawiła ubranie.

– Zajęcia praktyczno-techniczne z seksu – skomentował rozbawiony i zaczął wkładać koszulę w spodnie. – Złapałaś nas na gorącym uczynku.

Peg zrobiła się czerwona jak burak, ale też się roześmiała.

– Cóż poradzić, taka noc...

– Wracajcie do ogniska – powiedziała łagodnie Clarisse. – Maria mówi, że kilka dni temu jaguar zabił jednego z mężczyzn. Do tej pory nie udało się wytropić zwierzęcia. Nie byłoby dobrze, gdyby dzika bestia pożarła dowódcę naszych oddziałów, a na deser zjadła jego ukochaną, prawda? – dodała z szelmowskim uśmiechem.

– Przepraszam. – Peg odchrząknęła. – Tak sobie rozmawialiśmy...

– W najstarszym języku świata – skomentowała Clarisse, rzucając rozbawione spojrzenie Grange'owi, który, aż trudno uwierzyć, zarumienił się po samą szyję.

– Wszyscy jesteśmy ludźmi – jowialnie skomentował Machado, spoglądając na zawstydzoną Peg. – Naprawdę nie ma się czym przejmować.

– I tak nikt nie zwrócił uwagi – szepnęła Clarisse, pokazując brodą O'Baileya, który opowiadał starą irlandzką baśń o stojących blokach kamiennych, a Maria i doktor Carvajal słuchali go jak urzeczeni. – Jest świetnym gawędziarzem. – Przysunęła się do Peg i Grange'a, żeby nie przeszkadzać O'Baileyowi w opowiadaniu. – Słyszałam, że przy klawiaturze wychodzi z niego bestia.

– To ten? – spytała Peg. – To on napisał wirusa?

Grange skinął głową.

– Tak. Jest świetnym nabytkiem dla naszej grupy. Szkolił go Eb Scott. Świetnie sobie radzi na polu bitwy, jest bardzo opanowany.

– Ja na pewno bym się rozsypała – stwierdziła Peg, patrząc na Clarisse. – Nie dałabym rady zachować się tak jak ty – dodała z podziwem. – Jesteś bardzo odważna i twarda.

– Kochanie, ty też masz w sobie mnóstwo odwagi, która w chwili próby doszłaby do głosu. – Clarisse objęła ją. – Ale masz coś jeszcze. Potrafisz zjednać sobie nawet największego wroga, a to rzadka i bardzo cenna umiejętność. – Pokazała palcem na siebie. – Zobacz, jak łatwo poszło ci ze mną.

– Nie jesteś moim wrogiem! – żywo zaprotestowała Peg.

– Ale byłam.

Przez chwilę Peg milczała, patrząc Clarisse w oczy, wreszcie powiedziała łagodnie:

– Każdy, kto przeżywa tragedię, bywa szorstki, a nawet nieprzyjazny czy agresywny dla otoczenia.

Najważniejsze, to przeżyć ten trudny okres w taki sposób, by nie skrzywdzić siebie. By siebie ocalić...

– Dojrzała refleksja, szczególnie jak na tak młodą osobę – skomentował generał.

– Bo w tym młodym ciele ukrywa się bardzo dojrzała osoba – odparła wesoło Peg.

– Trudno się nie zgodzić – pogodnie powiedział Machado. – Mają tu kawę? Szykuje się długa noc.

Boję się o moich zwiadowców, bo wygląda na to, że Sapara ich schwytał.

– Nawet jeśli wpadli w jego łapska, to nie zmusi ich do mówienia – odrzekł cicho Grange. –

Przeszli specjalne szkolenie, by wytrzymać nawet najcięższe metody przesłuchania.

Machado nie odpowiedział. Wiedział o torturach nawet więcej niż Grange. W młodości jeździł po świecie, oferując usługi wielu rządóm. Był bardzo skuteczny jako najemnik, gdy trzeba, twardy i zdecydowany, ale jak najdalszy od sadyzmu. Jako prezydent wprowadził w Barrerze demokrację, zapanowały rządy prawa, a służby bezpieczeństwa, co oczywiste, otrzymały bezwzględny zakaz stosowania tortur. Jednak tuż przed tym, jak utracił władzę, pojawiły się pogłoski, że Sapara zakatował na śmierć dziennikarza, który czymś mu się naraził, a ciało zostało porzucone w dżungli. Twardych dowodów na to nie było, jednak gdy Sapara został dyktatorem Barrery, tortury awansowały do rangi sztuki, a sadystyczni oprawcy cieszyli się wielkimi przywilejami.

Nagle przy ognisku stanął niski ciemny mężczyzna w stroju przypominającym spandeksowy kostium pływacki. Na wygolonej w kółko nad uszami głowie zachował tylko kępkę włosów, a na odsłoniętych partiach ciała widać było liczne tatuaże. Miał przy sobie łuk, który był wyższy od niego, i pęk półtorametrowych strzał.

Maria spojrzała na generała, który wstał, podszedł do przybysza i coś do niego powiedział w miejscowym narzeczu. Wymienili kilka zdań, po czym mężczyzna zniknął w nocnym mroku

– Dzięki Bogu! – wykrzyknął Machado. – Zaginieni zwiadowcy zameldowali się w swojej wiosce. –

Wskazał tam, gdzie odszedł Indianin. – Skontaktowali się z Lopezem, ale nie wrócili do obozu, ponieważ byli śledzeni. Kiedy wreszcie zgubili ogon, ukryli się w wiosce Jamamów, plemienia żyjącego na północ stąd. Zostaną tam, aż będą potrzebni. Jadę do nich!

– Pojadę z tobą – powiedział Grange.

– Ja też – dodał Rourke.

O’Bailey zaczął się podnosić, jednak Machado nakazał:

– Nie, ty zostań. Im mniej osób, tym lepiej. Musimy płynąć łódką, a konieczny jest jeszcze przewodnik. We czterech ledwie się zmieścimy. – Porozmawiał z jednym z mieszkańców wioski. – Co prawda nocą nie jest bezpiecznie, ale on zna rzekę i jej kaprysy. Przewiezie nas. To nie jest aż tak daleko, choć droga dość trudna.

– Zabierzcie to ze sobą. – O’Bailey wręczył generałowi krótkofalówkę. – Używamy częstotliwości, której oni nie są w stanie namierzyć. Ale dla pewności ograniczajcie komunikację do minimum, jedno albo dwa słowa, i natychmiast się rozłączajcie. Sygnał z komórki płynie przez satelitę, a to na pewno potrafią namierzyć. Jestem gotów do wpuszczenia wirusa do ich systemu, czekam tylko na znak. Kiedy to zrobię, nie będą mogli wystrzelić rakiet, zarządzić ataku ani nawet porozumiewać się ze sobą.

– Fajny z ciebie gość, O’Bailey. Po prostu super! – skomentował wesoło Grange.

– Napisz to na ozdobnym papierze i wyślij mojej dziewczynie. Może wreszcie do niej dotrze, z kim się zadaje.

– Damy znać, jak tylko dotrzemy do granic miasta – przerwał im Machado. – Istnieje tajny tunel. Dzięki Bogu, członkowie rządu, w tym Sapara, nie zostali o nim powiadomieni. Poza mną wie o nim tylko Domingo Lopez. To ściśle strzeżona tajemnica wojskowa, awaryjny szlak komunikacyjny na wypadek oblężenia miasta, a dla nas to szansa na niepostrzeżone przedostanie się do środka. I tylko ja

znam kod otwierający tunel.

– Świetnie! – ucieszył się Rourke. – Powtarzałeś, że ma być to przewrót bez ofiar w ludziach, a ja nie wiedziałem, jak dostaniemy się do miasta bez użycia armat. Czułem, że masz asa w rękawie.

– Nigdy nie wykładam od razu wszystkich kart. – General uśmiechnął się lekko. – Dzięki tunelowi mamy szansę dokonać bezkrwawej rewolucji na ulicach Medyny. Oczywiście pod warunkiem, że mechanizm otwierający wejście do tunelu nadal jest sprawny. Choć to właściwie pewne, bo jest dobrze zabezpieczony.

– Nawet jeśli jest zepsuty, i tak damy radę – oznajmił Rourke. – Wielu naszych było w Bagdadzie i poznało specyfikę walk ulicznych.

– Oby nie musieli wykorzystywać swojego doświadczenia – powiedział Grange. – Aczkolwiek lepiej być przygotowanym.

– No właśnie – szepnęła Peg. – Tak bardzo bym chciała pojechać z tobą.

– Też bym chciał, kochanie. – Pocałował ją w czoło. – Ale uwierz, nic byś nie pomogła, tylko byś przeszkadzała.

– Peg, jeśli cię to pocieszy – powiedziała Maddie – to ja też nie mogę jechać. Od lat nie miałam karabinu w rękach, nie szkolę się, jako żołnierz jestem emerytką. Za to z zapalem grzebię w ziemi.

– I wykopujesz niesamowite artefakty. To bardzo ważne, co robiłaś i będziesz robić – powiedział Machado. – Bo kiedy tylko odzyskam władzę, wykopaliska znów ruszą pełną parą, a ja udzielę ci wszelkiej pomocy.

– Nie mogę się doczekać. – Maddie nie zdołała się powstrzymać i zerknęła na niego zalotnie

– Ja również. – Machado wbił w nią spojrzenie ciemnych oczu. Patrzył na nią tak długo, aż się zaczerwieniła.

– Możemy porozmawiać? – spytała Clarisse Rourke’a.

– Okej, ale mam tylko chwilę. Czas nas goni. – Odeszli kilka kroków, żeby nikt nie słyszał. – No dobrze, o co chodzi? – spytał niecierpliwie.

Zdjęła krzyżyk, który zawsze nosiła na szyi, i założyła go Rourke’owi.

– To na szczęście – powiedziała.

– Hm... – Zmarszczył brwi. – Przecież nie jesteś religijna. To niemożliwe przy twoim rozpustnym stylu życia – jak zwykle powiedział prosto z mostu.

– Myśl sobie, co chcesz. Dostałam go od mamy i nigdy nie zdejmowałam. – Przemilczała, że w ogarniętym rebelią afrykańskim państwie ten krzyżyk uratował jej życie.

Rourke pokręcił głową.

– Krzyżyk na szczęście? – zadrwił nieprzyjaźnie. – Nie wierzę w takie brednie. – Ze złością zaczął rozpinać łańcuszek.

Powstrzymała go, kładąc dłoń na krzyżyku... na piersi Rourke’a.

– Proszę, nie zdejmuj. Oddasz mi go, kiedy zdobędziecie miasto, dobrze? – poprosiła, nie patrząc mu w oczy.

Patrzył na jej pochyloną głowę, która lśniła jak bryłka złota w blasku ogniska. Clarisse była niesamowicie piękna, lecz przed laty, kiedy zaczął się nią poważnie interesować, jej matka powiedziała mu coś, od czego pękło mu serce. Clarisse nie wiedziała, nie mogła wiedzieć. Jej matka przyrzekła, że nigdy nie wyzna córce prawdy. Akurat Clarisse była jedyną kobietą na świecie, z którą nie wolno mu się połączyć. Powinien zdjąć krzyżyk i powiedzieć, żeby zabrała go sobie do diabła. Tyle że nie potrafił tego zrobić. Owszem, celowo zachowywał się wobec Clarisse oschle, a nawet po chamsku, by nie dopuścić do żadnej bliskości. Tyle że ta chwila była szczególna. Szedł do boju, a Clarisse okazała mu czułą troskę. To było głęboko poruszające. Nie umiał tego zbrukać, podeptać.

– W porządku – stwierdził cicho.

– Powodzenia. – Zdobyła się na uśmiech.

Spojrzał jej w oczy, wytrzymał chwilę, po czym skłął się w duchu. Clarisse miała taką minę, że naszała go ochota, żeby coś zniszczyć. Szybko się odwrócił i dołączył do pozostałych.

– Peg, wrócimy, zanim się obejrzysz – zapewnił ją Grange. – Cokolwiek by się działo, nie opuszczaj wioski.

– No tak, znowu uziemiona. A miałam taki dobry plan. Ty w drogę, a ja cichcem za tobą przez dżunglę, wzdłuż rzeki.

– Jeśli dalej będziesz tak żartowała, to cię związę i wreszcie będzie spokój – wtrąciła się Clarisse, po czym powiedziała do Grange’a i Rourke’a: – Uważajcie na siebie.

– Spokojna głowa – rzekł Rourke z zawadiackim uśmiechem.

Clarisse nie spojrzała na niego. Wróciła do ogniska, gdzie profesorowie namawiali O’Baileya, żeby opowiedział im kolejną irlandzką legendę.

– Szybko wrócimy. – Grange spojrzał Peg głęboko w oczy. – Jesteś całym moim życiem – szepnął tak, by tylko ona usłyszała. – I błagam, bądź bardzo ostrożna. Jeśli cię stracę, nie będę miał po co żyć.

– Też uważaj na siebie... – Po jej policzku spłynęła łza. – A tylko spróbuj dać się zranić!

– Moja najdroższa!

Przytulił ją, pocałował i pobiegł za Rourke’em, generałem i indiańskim przewodnikiem, którzy czekali na niego już na granicy dżungli.

Wczesnym rankiem Peg i Clarisse przebudził jakiś odgłos. Zeskoczyły z hamaków i wyjrzały na zewnątrz. Na polanie pośrodku wioski byli już Maddie i dwaj profesorowie, których również zaalarmował tajemniczy dźwięk. Mieszkańcy wioski też oczywiście wylegli na zewnątrz.

– Ludzie Sapary? – spytała Peg.

– To znad rzeki – odparła Maddie. – Sapara nadszedłby raczej z północy.

– Może to łódź motorowa?

– Owszem, choć niezbyt duża. – Słuchała w skupieniu przez moment. – Tak, to prawie na pewno jest silnik.

Clarisse nie odzywała się, tylko czujnie wypatrywała źródła dźwięku, który zaraz jednak umilkł, a po krótkim czasie w asyście kilku Indian do wioski wkroczył wysoki dystyngowany mężczyzna w stroju khaki.

– Więc to jednak prawda! – krzyknął. – A nie chciałem wierzyć Garcii!

Uśmiechnięta Maddie podeszła do niego i uściśliła sobie dłonie.

– Miło pana widzieć, pastorze. Przedstawiam wam wielbnego Blake’a Harveya – oznajmiła z uśmiechem. – Pastor prowadzi pracę misyjną z ramienia związku amerykańskich Kościołów protestanckich. Zapewne wszystkich pan zna poza Clarisse i Peg. Clarisse pracuje jako fotoreporterka dla jednego z większych amerykańskich magazynów, a Peg przyjechała do mnie w sprawie wykopalisk. – Zataiła prawdziwy powód ich wizyty w Barrerze, i oczywiście nawet się nie zająknęła o nadchodzącym przewrocie.

– To niebezpieczne miejsce. – Pastor Harvey usiadł przy ognisku, uśmiechnął się do Marii i z wdzięcznością przyjął miskę zupy, którą właśnie przygotowała w dużym garze jako poranny posiłek dla całej wioski. – Och, prawdziwa uczta! Przynajmniej w porównaniu z tym, co ostatnio muszę jeść. Ludzie Garcii jedzą mięso małą najczęściej na surowo, a tego, co piją, po prostu nie jestem w stanie zdzierżyć. Ale nie obgaduję ich! Po prostu mam inne nawyki kulinarne. Są nadzwyczaj serdeczni i gościnni, dzielą się ze mną wszystkim, co mają. Czyż to nie cudowne? Jestem przybyszem z obcego kraju, a spotyka mnie tak wiele życzliwości.

– Nigdy wcześniej nie spotkałam tak gościnnych i hojnych ludzi jak mieszkańcy Barrery – przyznała Peg. – I tak wiele się od nich nauczyłam!

– Też tak uważam. Jak zrozumiałem, jest pani studentką, prawda?

Peg zawahała się, bojąc się brnąć w kłamstwa. Obawiała się, że wymysknie jej się coś, co nie powinno być rozpowszechnione, bo może zaszkodzić kampanii generała.

– Tak, i moją podopieczną z wymiany zagranicznej – przyszedł jej na ratunek Fitzhugh. Z uśmiechem na ustach kłamał w żywe oczy. – Jestem doktor Fitzhugh. – Podał rękę misjonarzowi. – Wykładałem w Medynie. A raczej wykładałem, bo aresztowano mnie za podburzanie do buntu. Jednak razem z doktorem Constantine’em, który też tu jest – skinął na niego głową – i właśnie uczy się nowego języka, zdołaliśmy zbiec, w czym bardzo nam pomogła ta oto przemiła młoda dama. – Wskazał Clarisse.

Pastor spojrzął na jej poplamioną bluzkę, po czym spytał z troską:

– Jest pani ranna? To coś poważnego? Znam się trochę na medycynie, na pierwszej pomocy.

– Dziękuję, ale nie trzeba – odparła z uśmiechem. – Zajął się mną doktor Carvajal z Manaus. Niestety musiał już wrócić do miasta, bo dostał pilne wezwanie.

– Znam go, to dobry człowiek – stwierdził pastor Harvey. – Kilka tygodni temu przybył do wioski i pomógł młodej kobiecie urodzić pierwsze dziecko. Chłopiec – dodał z uśmiechem. – Duży, zdrowy i piękny.

– Słyszeliśmy o panu – odezwała się Maria. – Po wioskach krąży opowieść, że nie przestraszył się pan kul, kiedy ludzie Sapary przyszedli zabrać ziemię Jamamów.

Później Peg dowiedziała się, że Jamamowie, którzy wywodzili się z plemienia Janomamów i nadal czuli się jego częścią, dwa pokolenia wstecz przenieśli się na terytorium Barrery i zajęli dotąd niezamieszkały przez ludzi fragment dżungli położony nad rzeką. Byli świetnymi myśliwymi i rybakami, trudnili się też rzemiosłem głównie na własne potrzeby. W ograniczonym stopniu handlowali z innymi plemionami, znani jednak byli z tego, że izolują się od obcych. Kultywowali prastarą tradycję leśnych ludzi, opierali się wszelkim pokusom niesionym przez cywilizację. Niestety okazało się, że mieszkali na roponośnych terenach, przez co znaleźli się w krwawym konflikcie z wojskami Sapary, a Emilio Machado był ich największą nadzieją. Obecnie ukrywali się u nich zwiadowcy, których generał wysłał z misją do Medyny. Sapara groził, że do nogi wybiję wszystkich Jamamów, jeśli nie wyniosą się ze swoich ziem, a krew już polała się obficie. Plemię Marii też otrzymało podobne ultimatum. Ma przestać stawiać opór i postępować zgodnie z wolą Sapary, albo zostanie wysłana ekspedycja karna. Takimi posunięciami dyktator sprawił, że znienawidziła go praktycznie cała indiańska społeczność mieszkająca w dżungli.

Peg wiedziała, że Ritter Oil Corporation nigdy się nie zgodzi na „biznesowe” posunięcia w stylu Sapary. Owszem, koncern patrzył łakomym okiem na roponośne tereny położone w dżungli, czemu zresztą trudno się dziwić, jednak było wykluczone, by ceną za ich zajęcie miała być zagłada plemienia. Dlatego Eugene Ritter, właściciel i szef koncernu, powinien jak najszybciej dowiedzieć się, co tu się dzieje. I łańcuszek informacyjny już ruszył. Peg porozmawiała z Maddie, ta przekazała odpowiednie informacje O’Baileyowi, który w jej imieniu skontaktował się z szefem ochrony Rittera, Colbym Lane’em z Houston. Wszystko było na dobrej drodze. Kiedy Ritter pozna prawdę o tym, co się wyprawia w Barrerze, to niezależnie od tego, jak zakończy się próba obalenia Sapary, nie tylko plemię Marii, ale i inne plemiona będą bezpieczne.

Tymczasem Grange, Machado, Rourke i indiańscy przewodnicy dotarli do przedmieść Medyny, przemieszczając się w ciszy pod osłoną nocy. Odnaleźli prowizoryczny obóz, składający się z zamaskowanego namiotu. Spotkali się tam z zaginionymi zwiadowcami – dwoma zmęczonymi mężczyznami w mundurach maskujących. Towarzyszyła im mniej więcej dwudziestka Indian z plemienia Jamamów, pomalowanych w barwy wojenne i wyposażonych w długie łuki.

– Początkujący komandosi – z uśmiechem powiedział jeden ze zwiadowców. – Znają dżunglę na wylot. Po ucieczce z miasta poprosiliśmy ich o pomoc, a oni przyprowadzili nas tutaj okrężną drogą,

żeby zmylić psy Sapary. Mówią, że niedaleko stąd jest tunel prowadzący do miasta, ale dostępu do środka bronią drzwi z elektronicznym zamkiem.

– Zgadza się – przyznał Machado. – To ja je tam zamontowałem. Tunel wybudował mój poprzednik na fotelu prezydenta. Tą drogą dostałem się do miasta, kiedy po raz pierwszy przejmowałem władzę. Saparze nigdy nie powiedziałem o tunelu, to była jedna z moich najpilniej strzeżonych tajemnic. Jedynie Domingo Lopez wie o istnieniu tego przejścia. Teraz widzę, że Indianie sami doszli prawdy.

– Ale zachowali ją dla siebie – powiedział Grange. – Mamy szczęście, że to nadal tajemnica.

– Tak, wielkie szczęście – odparł z uśmiechem generał. – Ponieważ jeśli dostaniemy się do miasta niezauważeni, przejmujemy władzę bez jednego wystrzału.

– No, może będzie jeden wystrzał albo dwa – mściwie mruknął Rourke.

– Uda się – powiedział z przekonaniem Grange. – Jestem tego pewien.

– Przyjacielu, też wierzę w powodzenie naszej akcji – powiedział Machado. – Gdyby tylko deszcz choć przez kilka minut raczył nie padać... – Roześmiał się, bo wraz z jego słowami zaczęła się kolejna ulewa, więc skryli się w namiocie.

Chata, w której Maria, Peg, Clarisse i Maddie spożywały posiłek, miała pośrodku duży pień podtrzymujący kryty liśćmi palmy dach. Peg fascynowała konstrukcją domostw, ale jeszcze ciekawsze było dla niej to, że kobiety z wioski zbudowały palenisko w chacie. Owszem, trochę się dymiło, ale palenisko znakomicie spełniało swoją rolę, a do tego miało swój niezaprzeczalny urok. Po drugiej stronie centralnego słupa stało krosno. Jedna z kobiet pracowała na nim z niezwykłą sprawnością, a efektem jej wysiłku był piękny kolorowy koc.

– Peg, masz taką minę, jakbyś się czymś martwiła. Machado i reszta wygrają, zobaczysz. A może czymś jeszcze się zadręczasz? – spytała Clarisse.

– Chodzi o mojego tatę. Powiedziałam mu, że wyjeżdżam na dwa, najwyżej trzy dni. Musi się bardzo niepokoić.

– No tak, to jest problem. Porozmawiam z O’Baileym. To magik komputerowy, więc pewnie mu się uda wysłać wiadomość do twojego ojca.

– Super!

O’Bailey siedział przed komputerem zasilanym małym przenośnym agregatem. Uśmiechnął się na widok Peg i Clarisse, po czym wyjaśnił:

– Bałbym się tego używać w obozie, a nawet w najbliższej okolicy. W dżungli dźwięk niesie się na dużą odległość. Nawet cicha rozmowa może zdradzić pozycję oddziałów. – Pokazał na ekran. – Czekam na sygnał od generała. Jedno kliknięcie i Sapara nie będzie w stanie z kimkolwiek się porozumieć.

– Dobra robota – pochwaliła Clarisse. – A mógłbyś przekazać wiadomość do kogoś, kto mieszka w Teksasie, w Jacobsville? Ojciec Peg nie wie, gdzie ona jest, więc na pewno bardzo się martwi.

– Znam radioamatora w Jacobsville – powiedziała Clarisse. – Słyszałam, że Grange za jego pośrednictwem przesłał ci wiadomość, prawda?

– Tak! – wykrzyknęła Peg. – Nie poznałam go osobiście, tylko zadzwonił do mnie i powiedział, że Winslow jest cały i zdrowy i tęskni za mną. – Spojrzała na O’Baileya. – Można się z nim znów skontaktować? Chodzi o krótką wiadomość dla taty. Że wszystko u mnie okej i niedługo wrócę do domu.

– Zrobi się. Nawet zaraz, bo akurat nie mam nic pilnego do roboty. – Szybko nawiązał łączność z radioamatorem w Jacobsville, a po chwili spojrzał na Peg i oznajmił z uśmiechem: – Powiedział, że z chęcią to zrobi. Oczywiście nie wspomniałem mu, gdzie jesteśmy, choć był bardzo ciekaw. Twój ojciec dostanie bardzo skąpe informacje.

– Musi mu wystarczyć. Trochę się uspokoi, ale i tak po powrocie do domu da mi popalić.

– Pojadę z tobą i wszystko wyjaśnię – oświadczyła Clarisse. – To ja wpędziłam cię w kłopoty. Będę musiała ci to jakoś wynagrodzić.

– Zwariowałaś? – krzyknęła Peg. – W jakie kłopoty? Spędziłam noc w pięciogwiazdkowym hotelu, płynęłam łodzią po Amazonce, zamieszkałam w indiańskiej wiosce, a także w pewnym sensie biorę udział w rewolucji mającej obalić tyrana, a ty jeszcze chcesz mi wynagradzać te, jak to nazwałaś, kłopoty?

– Dzięki tobie czuję się, jakbym zrobiła coś ważnego i dobrego, a przecież miałam złe zamiary. – Clarisse ucisnęła Peg. – Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że w ogóle cię nie znałam. – Popatrzyła na nią z uśmiechem. – Nikt, kto cię poznał, nie zechciałby cię skrzywdzić. Jesteś cudowną osobą.

– Dziękuję – powiedziała trochę speszona Peg.

– A to niespodzianka! Zobaczcie! – zawołała Maddie.

Gdy się odwróciły, ich oczom ukazał się Enrique, który wyszedł z chaty i ruszył w ich stronę. Szedł trochę niepewnie, jednak widać było, że najgorsze ma już za sobą.

– Przepraszam, Clarisse. – Aż syknął na widok jej poplamionej krwią bluzki. – Miałem cię ochraniać, bezpiecznie dostarczyć na miejsce, a schrzaniłem sprawę.

– Wcale nie! – zaprotestowała żywo, obdarzając go uśmiechem. – Przecież nie mogłeś przewidzieć, że na naszej drodze stanie patrol. Nigdy wcześniej ich nie spotkaliśmy.

– Z wielką chęcią bym sobie z nimi porozmawiał – rzucił mściwie, siadając obok matki i biorąc od niej miskę z gorącym rosółem. – Dałbym im do wiwatu! Czy ktoś może mi pożyczyć broń? – dodał, popatrując na O’Baileya.

– Owszem, da się zrobić. Ale może poczekaj z tym na zmianę rządu. Ostro oberwałeś, jesteś rekonwalescentem, a nie żołnierzem. Trzymaj kciuki, żeby nam się udało.

– Ja trzymam! – Peg wyciągnęła w górę dłonie.

– No to zwycięstwo mamy w kieszeni – skomentował rozbawiony O’Bailey.

Z ulgą stwierdzili, że terminal sterujący drzwiami działa bez zarzutu. Machado miał wryty w pamięć kod otwierający ciężkie stalowe drzwi, choć od czasu, kiedy ostatni raz musiał go użyć, minęły lata. Gdy zamek szcęknął i wejście do tunelu stanęło otworem, uśmiechnął się z satysfakcją.

– Niesamowite – przyznał Grange. – Ja mam problem z zapamiętaniem swojego numeru telefonu.

– Mam lekarstwo dla takich frajerów jak ty – podkpiwał Rourke. – Sforsuję każdy zamek, złamię każdy szyfr. – Spoważniał. – Okej, zaraz będziemy w mieście. Ale dokąd dokładnie prowadzi ten tunel?

– Niedaleko budynku rządowego. Są tam biura prezydenta, sztab generalny oraz komendantura policji – odparł Machado, który jak zwykle do ostatniej chwili trzymał najważniejszą informację w tajemnicy. Współpracownicy generała musieli do tego przywyknąć, choć często złościли się w duchu na taki zwyczaj dowódcy. – Wyjście z tunelu jest świetnie zakamuflowane. Mój poprzednik zlecił jego budowę niemieckim inżynierom. To bardzo mocna konstrukcja, przetrzyma bombardowanie czy nalot, choć bombom najnowszej generacji już się nie oprze.

– Oby tylko nie było żadnego przecieku. Ale kto miałby nas zdradzić? Nasz największy atut to działanie z zaskoczenia – powiedział jeden ze zwiadowców. – Generał Lopez planuje akcję dywersyjną. Przystąpi do działania, kiedy dam mu znać przez krótkofalówkę.

– O’Bailey też czeka na sygnał, generale – powiedział Rourke, jak inni zapalając latarkę, bo po zamknięciu drzwi zapadła absolutna ciemność. – Kolejność jest taka: O’Bailey na nasz znak rozwała sieć komputerową Sapary, a potem przekazuje Lopezowi sygnał, że ma zaczynać akcję. To musi być



idealnie zgrane w czasie. Falstart Lopeza może być tragiczny w skutkach.

Nie musiał tego mówić, przecież, co oczywiste, wszyscy znali instrukcje na pamięć. Jednak Machado wiedział, że takie powtórzenie tuż przed akcją na pewno nie zaszkodzi. Popatrzył na swoich ludzi. Grange jak zwykle w chwili napięcia miał ponurą, skupioną minę. Rourke dla odmiany wyglądał na posępnego luzaka, który wie i widzi wszystko. Brad Dunagan, zastępca Grange'a, człowiek skrajnie małomówny i znakomity żołnierz, mową ciała okazywał, że jest gotów do działania niczym drapieżnik przed atakiem. Podobnie żądni walki byli Carson i Hale, dwaj zwiadowcy, którzy mieli indiańskie korzenie. Gdy weszli do tunelu, Carson rozpuścił długie, sięgające pasa włosy. Machado nie mógł się nie uśmiechnąć. Kiedyś przeczytał w jakiejś książce, że indiańscy wojownicy z Wielkich Równin przed walką zawsze rozpuszczali włosy. Natomiast indiańscy wojownicy uzbrojeni w długie łuki zachowywali olimpijski spokój, jednak generał wiedział, że gdy będzie taka potrzeba, bez wahania skoczą w krwawy bój.

– Panowie – Machado wyjął pistolet – w imię Boga... ruszamy!

O'Bailey otrzymał sygnał i wykonał to, co do niego należało, wiedząc, że w Medinie właśnie rozpętało się piekło. Zerknął na Peg, Clarisse i Maddie, które wyluzowane i rozbawione słuchały opowieści pastora z czasów, gdy jako młody misjonarz rozpoczynał działalność w Amazonii. Nie ma potrzeby odbierać im tego uśmiechu, pomyślał O'Bailey. Wystarczy, że ja jestem cały w nerwach. Zrobiłem swoje i mogę już tylko beczynnym czekać...

Ulice były pogrążone w mroku. Medina pod wieloma względami bardziej przypominała średniowieczne niż współczesne miasto, ale nie takie z kolorowych turystycznych folderów. Wszędzie widać było biedę, wręcz nędzę, co gwałtownie nasiliło się, od kiedy Sapara przejął władzę. Machado polecił stworzyć program unowocześniania stolicy Barrery i przystąpiono do pierwszych prac, jednak Sapara cofnął wszystkie dotacje i roboty stanęły. Dlatego fragment głównej ulicy pokryty był asfaltem, ale na całej reszcie nadal były kocie łby. Takie przykłady można by mnożyć. Zresztą większość ulic w ogóle nie miała żadnej sztucznej nawierzchni, były to zwykłe polne drogi, podczas pory deszczowej zamieniające się w błotniste strumienie. Szczęśliwie działała sieć energetyczna, dlatego w oknach nędznych domów paliło się światło, a z baru dochodziły dźwięki muzyki i słychać było gromki, pijacki śmiech.

– Nie ma tu policji? – zdziwił się Grange, gdy podążali alejką prowadzącą do budynku sztabu.

– Stróże porządku są tam – drwiąco powiedział Machado, wskazując bar. – Pijani w trupa. I to nie tylko policjanci, ale i wartownicy, jestem o tym przekonany.

– Bardzo nam to odpowiada – skomentował Rourke.

Przez chwilę szli w milczeniu, aż znaleźli się na tyłach rządowego budynku. Było tak, jak Machado się spodziewał: przy gospodarczych drzwiach nie było wartowników! Tak więc sygnały, że rozprężenie w strukturach państwowych stawało się powszechne, nie okazały się przesadne. Jeżeli żołnierze, zamiast stać na warcie przed sztabem generalnym, idą do baru napić się wódki... Och, wszelki komentarz jest zbyteczny.

– Zaczekajcie tutaj. – Machado podszedł do gospodarczych drzwi, ostrożnie je uchylił, zajrzał do środka, skinął na swoich ludzi i wszedł do budynku.

Grange z odbezpieczoną bronią na czele oddziału ruszył za nim. Skręcili za róg, przeszli przez drzwi i natknęli się na starszego tęgiego mężczyznę, który zatrzymał się jak skamieniały. Po prostu czekał, aż intruzi go zastrzelą, bo cóż więcej mógłby zrobić? Gdy jednak Machado podszedł do niego bliżej, zawołał zarazem zdumiony, jak i bezgranicznie uradowany:

– Mój Boże, to naprawdę ty!? Nareszcie...

Machado objął go.



– Tak, to ja, stary przyjacielu. Wkrótce odzyskasz to wszystko, co utraciłeś. I ty, i inni. Gdzie Sapara?

– Na górze, w swoim gabinecie. Z kobietą – dodał z odrazą. – Dwóch goryli, Jose i Miguel, stoi pod drzwiami i pilnuje swojego pana.

– Carson... – Grange spojrzał na niego.

Zwiadowca z czarnymi rozpuszczonymi włosami doskonale wiedział, czego oczekuje od niego dowódca. Wyciągnął wielki nóż myśliwski i już był gotów do akcji.

– Miguel jest mój – warknął Rourke.

– Miguel to ten większy – usłużnie wyjaśnił Romero.

– Sprawa osobista? – spytał szeptem Carson, spoglądając na Rourke'a.

– Torturowana kobieta. Przyjaciółka.

– Rozumiem... – Carson leciutko zmrużył oczy. – Zaraz wracam. – Zniknął za rogiem i wbiegł po schodach cicho jak zjawa.

W tej samej chwili do budynku wkroczyło dwóch ludzi Sapary. Romero wyszedł im na spotkanie, a spiskowcy skryli się w cieniu.

– Co się dzieje? – spytał niewinnym głosem Romero.

– Komputery padły – powiedział jeden z żołnierzy. – Musimy zameldować prezydentowi...

# ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Oj, raczej nie zameldujecie – mruknął Rourke, silnym ciosem w przepoń powalając pierwszego żołnierza na ziemię.

– To już nie wasz problem – dodał Grange, unieszkodliwiając drugiego.

Dobiegł ich jakiś hałas, więc pognali w tamtą stronę i u stóp schodów natknęli się na potężnego mężczyznę. Był to Miguel. Leżał na podłodze, był strasznie poturbowany, właśnie odzyskiwał przytomność i zaczął coś mówić, jednak Rourke błyskawicznie go zakneblował i związał, mówiąc lodowatym tonem:

– Później się tobą zajmę.

– Prędzej – rzucił Machado, ruszając po schodach. – Nie możemy pozwolić, żeby Sapara się wymknął.

Dyktator nie miał na to szans. Carson spętał drugiego strażnika, otworzył drzwi do pokoju Sapary, po czym wycelował broń w dwoje zaskoczonych ludzi przykrytych kocem i leżących na grubej skórze lamy na podłodze w wielkim luksusowym gabinecie.

– Carson, mogę do ciebie mówić: mistrzu? – Grange poklepał go po plecach.

– Powiedz to Ebowi Scottowi. No i poproszę o podwyżkę.

– Machado! – wykrzyknął Arturo Sapara. Twarz miał czerwoną, oczy niezbyt przytomne, sprawiał wrażenie naćpanego.

– Jak widzę, nie spodziewałeś się mnie – stwierdził chłodno Machado. – Dostałeś srogą lekcję. Jeśli pobłądziłeś, to zawsze spodziewaj się kary.

Gdy Sapara dźwignął się na nogi, zawstydzona kobieta szczelniej owinęła się skórą lamy.

– To napaść! Każę was aresztować! – Rozjuszony ruszył w stronę biurka.

– Nic z tego. – Grange zdecydowanie zagroził mu drogę. – Nigdzie nie zadzwonisz ani nie wyślesz żadnej wiadomości. Nawet nie muszę cię wiązać, bo zostałeś odcięty od świata. Nie masz łączności z żołnierzami ani innymi służbami. Wiedz też, że właśnie w tej chwili generał Lopez wydaje armii rozkaz bezwarunkowego poddania się.

– Nie wolno wam! To nielegalne! – pieklił się Sapara. – Jestem przywódcą niezawisłego kraju!

– Zapomnij o tym – odparł z uśmiechem Machado. – Właśnie zostałeś pozbawiony władzy i tę resztę życia, która ci jeszcze pozostała, spędzisz w więzieniu za zdradę stanu, zbrodnie popełnione na rodakach i ruinę gospodarczą Barrery. Lopez będzie najważniejszym świadkiem oskarżenia, ale jest mnóstwo chętnych, by opowiedzieć publicznie o twoich zbrodniach.

– Ja też będę zeznawała – wtrąciła się leżąca na podłodze okutana skórą lamy młoda kobieta. – Sapara wtrącił do więzienia mojego ojca. Powiedział, że zabije go, jeśli nie będę... uległa. Mój mąż został w domu z dziećmi, a one... one strasznie krzyczały, kiedy mnie zabierali. On – wymierzyła w Saparę oskarżycielski palec – przyszedł z tym rzeźnikiem Miguelem i zabrał mnie ze sobą!

– Zabiję was! Wszystkich was pozabijam! – wrzasnął Sapara, wściekłym wzrokiem patrząc wokół. – Już nie żyjecie!

– Nikogo już nie zabijesz – powiedział cicho Grange. – Koniec bezprawia! Jesteś więźniem i zostaniesz osądzony za swoje zbrodnie. Carson, odprowadź byłego prezydenta Barrery do celi. I niech pilnuje go Romero – dodał z uśmiechem.

– Tylko nie ta tłusta i śmierdząca świnia! – zawył Sapara. – Dzisiaj wywaliłem go na bruk! – zaplawał się w bezsilnej furii.

– A ja przywróciłem go do pracy i awansowałem na szefa policji – odparował Machado. – To masz pecha. I będzie to twój jedyny kumpel do końca twych dni. – Owszem, mówił drwiącym tonem, lecz

zabrzmiało to jak ponure memento.

– Odzyskam urząd! Ludzie się zbuntują przeciwko tobie! – pieklił się Sapara.

– Nie licz na to. Ludzie, których wpędziłeś w nędzę, zobaczą, jaki pałac sobie budujesz za ich krwawicę, a gdy otworzymy więzienia, dowiedzą się, co zrobiłeś ich najbliższym, których skazywałeś pod byle pretekstem. Zabójstwa, gwałty, rabunki... – Generał splunął z pogardą. – Narodowi, o którego dobro powinienes dbać, zrobiłeś piekło na ziemi! Otoczyłeś się bandą rzezimieszków i wypuściłeś na nasze miasta i wsie najgorsze zło! Sadyzm, chciwość, zaspokajanie najstraszliwszych chuci... Jesteś masowym mordercą i rabusiem, nikim więcej. Otworzymy nasze granice, zaprosimy media i o tym, co zrobiłeś, dowie się cały świat. Nie, nie będziesz sądzony w Barrerze. Zrobię wszystko, żebyś stanął przed międzynarodowym trybunałem za zbrodnie przeciwko ludzkości!

Sapara milczał. Widać było, że wreszcie coś do niego dotarło. Jeszcze przed chwilą był autokratycznym władcą, a teraz... teraz miał tylko koc, który zjechał z tłustego brzucha. Nim w rozpaczliwym geście go podciągnął, stał przed zwycięzcami żałośnie nagi. Był to swoisty symbol jego ostatecznego upadku.

– Zabierzcie go stąd. – Machado machnął ręką. – Nie mogę na niego patrzeć. Rourke, znajdź ubranie tej młodej damy, a gdy się ubierze, proszę odwieźć ją do domu.

– Z przyjemnością. *Señora?*

– Dziękuję... – wyszeptła. – Tam są moje rzeczy. – Ruszyła do drzwi, za którymi był drugi pokój.

Machado włączył krótkofalówkę i skontaktował się z generałem Lopezem. Kiedy skończył z nim rozmawiać, uśmiechnął się z satysfakcją i powiedział:

– Domingo zameldował, że wojsko stanęło za nim murem. Aresztowano tych, którzy zrobili kariery przy uzurpatorze i mają ręce splamione krwią. Razem z Saporą zostaną oskarżeni o zdradę stanu. Nasi sprzymierzeńcy są w drodze do tajnych więzień, żeby uwolnić przeciwników Sapary, którzy zostali wtrąceni za kratki bez sądu. – Odetchnął głęboko. – Panowie, ten dzień przejdzie do historii.

W progu pojawił się Romero i oznajmił:

– Panie prezydencie, arcybiskup Barrery opuścił areszt domowy i za moim pośrednictwem prosi o pozwolenie na ponowne otwarcie katedry i odprawienie mszy.

– Oczywiście. Proszę serdecznie pozdrowić Jego Ekscelencję i przekazać, że liczę na współpracę Kościoła w przywracaniu ładu i porządku publicznego. Dziś to niemożliwe, ale spotkamy się w najbliższym dogodnym terminie – odparł Machado, po czym położył dłoń na ramieniu Romero. – Dziękuję ci za pomoc, przyjacielu. – Spojrzał mu w oczy. – Romero Coriba, za twoją wierną służbę dla Barrery i demokracji mianuję cię szefem policji.

– Że ja? – Był zdumiony, ale i zachwycony. – Naprawdę jestem komendantem policji?

– Choć dotąd nie zajmowałeś najwyższych stanowisk, to wszyscy wiedzą, że masz ogromne doświadczenie i świetnie znasz się na tej robocie. I jesteś prawym, uczciwym demokratą. No i taką odwagę należy nagrodzić. Uratowałeś życie pewnej bardzo dzielnej młodej damie, a także pomogłeś jej i dwóm profesorom w ucieczce. Rozpływali się w zachwytach nad tobą.

– Ta młoda dama... Czy wszystko z nią w porządku? Była torturowana...

– Tak, wszystko dobrze – zapewnił go Machado. – Martwiła się o ciebie. Tak jak my wszyscy.

– Mam mocną głowę – odparł z uśmiechem. – No i profesorek wiedział, jak mnie huknąć, by wyglądało jak należy, a szkoda była niewielka. Już nawet nic nie czuję. – Zmarszczył brwi. – Ten gość z jednym okiem zabrał Miguela...

– Aha... – mruknął Machado.

– Czy powinienem wiedzieć, dokąd poszli? – dodał Romero.

– Muszę cię uprzedzić, że stawanie Rourke'owi na drodze nie jest najrozsądniejszym pomysłem – wtrącił Grange. – Zwłaszcza dziś. Clarisse powiedziała mu, że tym, który ją przesłuchiwał i torturował, był właśnie Miguel.

– To prawda – potwierdził Romero, myśląc o czymś intensywnie. – To sadysta. Uwielbia dręczyć ludzi. Zwłaszcza kobiety. – Przerwał na chwilę. – Czy możemy się spodziewać powrotu Miguela?

– Nie – odparł prosto z mostu Machado. – Rourke nakarmi nim drapieżniki żyjące w naszej dżungli. – Przerwał na moment. – To jest samosąd, ale nic na to już nie poradzimy. Zobowiązuję was do zachowania tajemnicy. Gdyby ludzie się o tym dowiedzieli, odebraliby to jako przyzwolenie do zemsty na obalonym reżimie i zaczęłyby się krwawe jatki, a my musimy jak najszybciej przywrócić rządy prawa. – I dodał po chwili: – Choć przyznam, że jakoś mi nie żal tego bydlaka Miguela...

– Racja, nam też nie żal. – Grange z uśmiechem spojrzał na swoich żołnierzy. – Dobra robota, panowie. Uwielbiam wygrywać bitwy, w których nikt nie ginie.

– Wszyscy dostaniecie premię – oznajmił Machado. – A jeśli ktoś z was jest zainteresowany pracą dla mojego rządu, to proszę tylko mnie o tym poinformować. Potrzebujemy dobrych oficerów.

Gdy rozmowa toczyła się dalej, jeden z najemników podszedł do Carsona i cicho, by nikt inny go w tym gwarze nie usłyszał, powiedział:

– Jestem tu nowy, niedawno się zaciągnąłem. Mówi się, że Eb Scott miał dziecko...

– Tak – odparł Carson.

– Chłopca czy dziewczynkę?

– Tak... – Carson odszedł w swoją stronę.

Dyskusja trwała w najlepsze. Mówiono o rekonstrukcji rządu, o tym, co trzeba wyprostować, jakie reformy są najpilniejsze. Wszyscy wiedzieli, że obalenie Sapary to dopiero początek zmian na lepsze.

– Nawet najdłuższa podróż zaczyna się od pierwszego kroku – powiedział Grange. – A właśnie zrobiliśmy pierwszy duży krok.

– Masz rację – odparł generał. – Z tego, co pamiętam, w wiosce Marii czeka na ciebie pewna młoda dama...

Grange pokiwał głową, a w jego oczach pojawił się błysk.

– Jak tylko uwiniemy się ze zmianami w Barrerze, zamierzam ożenić się z Peg. Co byś powiedział, gdybym zaproponował ci rolę świadka na naszym ślubie?

– Byłbym zaszczycony – z serdecznym uśmiechem odparł Machado.

Generał Domingo Lopez zameldował się w gabinecie prezydenta godzinę później. Towarzyszyła mu cała armia studentów.

– Tak się cieszymy! – wykrzyknęła młodzieńca Amerykanka, posyłając Grange'owi promienny uśmiech. – Czy pomożecie nam odnaleźć zaginionych profesorów? Sapara przed kilkoma miesiącami wtrącił ich do więzienia. Doktora Fitzhugh i doktora Constantine'a...

– Przebywają w indiańskiej wiosce niedaleko granicy – wpadł jej w słowo. – Są cali i zdrowi, w doskonałych nastrojach.

– Och, dziękujemy! – Studentka rzuciła się Grange'owi na szyję, po czym spojrzała na niego zalotnie. – Tak się zastanawiałam...

Grange uniósł dłoń, mówiąc dobitnie:

– Jestem zaręczony. – Rozejrzał się po zebranych, czując się niezręcznie, a potem dodał z szerokim uśmiechem: – Narzeczona przyjechała do mnie aż z Teksasu po to tylko, żeby się ze mną zobaczyć. Pomaga Indianom w wiosce.

– Jaka odważna! – wykrzyknęła studentka.

– Tak, jest bardzo dzielna – przytaknął z dumą. – Dlatego muszę jak najszybciej się z nią ożenić, by już nigdy więcej nie robiła takich numerów.

– Gdybyś zmienił zawód, nie musiałaby tego robić – zauważyła dziewczyna.

– Słuszna uwaga – skomentował Grange.

– Kiedy wrócą profesorowie? – zapytał jeden ze studentów. – I kiedy usuniecie żołnierzy z uczelni?

– Nasi ludzie oczyszczają miasto – powiedział Machado. – Oddajemy narodowi Barrery wolność i przywracamy demokrację, ale to musi trochę potrwać. Radziłbym na razie nie wychodzić z domu, przynajmniej dopóki nie upewnimy się, że w pełni kontrolujemy stolicę. Możemy natrafić na opór niedobitków wiernych Saparze – dodał ponuro. – Nie chciałbym, żeby coś wam się stało.

– Dziękujemy – powiedziała inna studentka, wyraźnie przełamując wrodzoną nieśmiałość. – Dobrze, że pan wrócił, generale – dodała z prostotą. – Po przewrocie Sapary było tu strasznie...

– To się zmieni, i to szybko – z mocą oświadczył Machado. – Koniec z rządami terroru. Tajna policja, która was prześladowała, będzie postawiona w stan oskarżenia. Przez najbliższe dni mogą być groźni, ale złamiemy im kark.

– Jeśli zauważymy któregoś z oprawców, natychmiast poinformujemy – oświadczyła studentka, która rzuciła się Grange'owi na szyję. – Dziękujemy za uratowanie naszych wykładowców.

– To nie my ich uratowaliśmy – odparł Grange – ale pewna młoda kobieta, dziennikarka, którą torturowali ludzie Sapary. – W sali rozległy się szepty. – Była uwięziona i torturowana, ale nie załamała się, niczego nie zdradziła, a na koniec znalazła sposób na ucieczkę i zabrała ze sobą profesorów.

– Zamierzam odznaczyć pannę Clarisse Carrington, kiedy już wszystko wróci do normy – powiedział Machado. – Jej zasługi są naprawdę wielkie. Walnie przyczyniła się do naszego bezkrwawego zwycięstwa.

Dołączył do nich Rourke. Nie odezwał się słowem. Milczał z ponurą miną. Grange chciał zapytać o los Miguela, ale uznał, że nie warto.

W wiosce mieszkańcy pobiegli w stronę nadjeżdżających pojazdów. Podekscytowana Peg, z walącym sercem i lśniącymi oczami, pędziła na czele grupy. Kiedy zobaczyła Grange'a wysiadającego z dżipa, pognąła w jego stronę najszybciej, jak umiała. Grange złapał ją w locie, uniósł i pocałował, jakby świat się kończył.

Odwzajemniła namiętny pocałunek, objęła go za szyję i poczuła się bezpieczna w objęciach potężnych ramion swojego wybranka. Nie mogła się nim nacieszyć. Całe to czekanie i zamartwianie się dało się jej we znaki, dlatego tak bardzo pragnęła dotykać Grange'a, tulić się do niego, utwierdzać w przekonaniu, że jej ukochany jest cały i zdrowy.

– Tak bardzo się bałam – szepnęła.

– A co, nie wierzyłaś we mnie? – podkpiwał pomiędzy jednym pocałunkiem a drugim.

– Wcale nie! – zaprotestowała. – Wiedziałam, że nie popełnisz błędu. Ale przecież Sapara miał snajperów...

– ...którzy chleją na potęgę i pudłują z odległości jednego metra. – Znów ją pocałował.

– No, przesuńcie się – warknął Rourke, przeciskając się obok Grange'a.

Który spojrzał na kompana z udawaną złością i powiedział:

– Przepraszam cię bardzo, ale właśnie próbuję się oświadczyć. Później będziesz potrzebny jako świadek, ale na razie spadaj stąd.

Rourke łypnął na niego gniewnie, zaraz jednak uśmiechnął się i posłusznie oddalił, dając zakochanej parze nieco prywatności.

– Oświadczyć? – spytała Peg z maślanym wzrokiem. – Zanim pojechałeś na akcję... wtedy, w wiosce... mówiłeś poważnie?

– Oczywiście – odparł łagodnie Grange. – Małżeństwo, dzieci, w ogóle wszystko! To znaczy, jeśli zechcesz...

– Naturalnie, że zechcę za ciebie wyjść – wyszeptwała, całując go żarliwie.

– No to musimy jeszcze znaleźć duchownego...

– Tak się składa, że przy ognisku siedzi pastor. Opowiada profesorom o swoim życiu wśród Indian

– powiedziała Peg. – Jest z nami od dwóch dni.

– Pastor? – Grange nie wierzył własnym uszom.

– No tak. Misjonarz. Przemięty człowiek.

– No proszę! – Roześmiał się. – Znaleźć duchownego w samym środku dżungli to dla ciebie żaden problem.

– Jestem zaradna.

– I to jak! W takim razie powiedz, czy wolisz wziąć ślub tutaj, w dżinsach i przepoconej bluzce, czy zaczekać, aż wrócimy do domu, a ty pójdziesz do ołtarza w białej koronkowej sukni? – spytał.

– Nie chcę czekać – szepnęła zarumieniona. – Choć to może niestosowne? Przepraszam... – Spojrzała mu w oczy.

– Niestosowne? Boże, dziewczyno! Też mi pilno do ślubu... – Gwałtownie przyciągnął ją do siebie.

– Kocham cię... i pożądam aż do bólu. Całe życie na ciebie czekałem.

– A ja na ciebie, kochany – szepnęła.

Uśmiechnął się powoli.

– Będziemy uczyć się siebie nawzajem, poznawać – powiedział rozmarzony. – Powoli pójdziemy tą drogą, bez pośpiechu. Miłość w naturalny sposób poprowadzi nas i przez pierwszą noc, i przez całe życie.

Przymknęła oczy.

– Właśnie tak to powinno wyglądać.

– Tak, Peg, właśnie tak. – Pocałował ją w czoło. – Chodźmy porozmawiać z pastorem.

Pastor Harvey podał Grange'owi rękę.

– Dużo o tobie słyszałem, młody człowieku. Bardzo się cieszę, że wróciłeś do tej młodej damy w jednym kawałku. Rewolucje bywają bardzo krwawe.

– To prawda, ale dopisało nam wyjątkowe szczęście. Wprawdzie przeczesując Medinę, napotkaliśmy opór żołnierzy wiernych Saparze, ale była ich zaledwie garstka. Wkrótce w stolicy zapanuje spokój. Wtedy opróżnimy cele z więźniów politycznych i zwrócimy ludziom ich życie.

– Wszyscy jesteśmy dozgonnie wdzięczni tobie i twoim ludziom – oświadczył pastor Harvey. – Mam świeżo w pamięci rządy Sapary. Jego dyktatura była dla tego narodu wyjątkowo bolesna.

– Zwłaszcza ta sprawa z wydobyciem ropy – wtrącił Enrique, który do nich dołączył. Nadal był osłabiony, ale szybko wracał do zdrowia. – Matka obawiała się, że Sapara zdziesiątkuje wioskę, żeby tylko pozbyć się przeciwników odwiertów.

– Och, już się tym zajęliśmy – powiedziała Clarisse, dołączając do grupy. – Powiedz mu, Peg.

– Poprosiliśmy O'Baileya, żeby skontaktował się z radioamatorem w Teksasie. Ten zadzwonił do Eugene'a Rittera, właściciela Ritter Oil Corporation z Houston – wyjaśniła. – Opowiedział mu o tym, co tu się dzieje. Ritter nałożył moratorium na odwierty w Barrerze, dopóki generał... prezydent Machado nie odzyska władzy i nie nawiąże kontaktu z prezesem firmy wydobywczej.

– Świetna robota! – pochwalił Grange. – Słuchaj no, O'Bailey! – zawołał do niego. – To oficjalna propozycja. Prezydent Machado chce cię mianować szefem łączności wojskowej.

– Święci pańscy! – O'Bailey wstał energicznie. – Czyli jednak nie uschnę w szkółce Eba Scotta! – Zadumał się na moment. – Pochlebia mi ta oferta, ale jednak muszę się zastanowić.

– Nie ma pośpiechu – odparła Grange. – Ale nie możesz zwlekać bez końca. Prezydent czeka na twoją odpowiedź.

– Tak, rozumiem.

Rourke zaparkował za dżipem Grange'a i wysiadł. Z ponurą miną ruszył w stronę ogniska. Podszedł do Clarisse, zdjął krzyżyk, który od niej dostał, i oddał jej go.

– Dziwnie wyglądasz – odezwała się niepewnym głosem.

– Chcę, żebyś wróciła do domu – oznajmił.

– Urodziłam się w Manaus – wzruszyła ramionami – więc można powiedzieć, że Ameryka Południowa jest moim domem.

– Wiesz, o co mi chodzi. Wróć do Waszyngtonu i zajmij się wydawaniem przyjęć. Trzymaj się z daleka od tych miejsc na świecie, gdzie akurat toczy się wojna.

– Hej, Rourke... – Uniosła brwi. – Nie masz prawa mówić mi, co mam robić.

– Jak sobie chcesz. – Jego twarz stężała. – Jeśli masz ochotę zginąć, twoja wola, twój wybór.

– Jasne, że mój. Na to też nie potrzebuję twojego pozwolenia. I już dość na ten temat, okej? – A po chwili spytała: – Znaleźli Miguela?

– Ja go znalazłem – odparł z kamienną twarzą. – Już nie będzie torturował kobiet.

– Och. – Nie wiedziała, jak powinna zareagować: podziękować, dopytywać czy odwrócić się na pięcie i odejść.

– Chociaż często skaczemy sobie do gardła – powiedział cicho – to nigdy nie życzyłem ci takiego losu. Pamiętaj o tym.

– Dziękuję. – Umknęła wzrokiem.

– Nie ma za co – rzucił niby obojętnie, jednak odetchnął głęboko.

– Rourke, wracasz do Stanów? – spytała takim samym tonem.

– Jeszcze nie wiem, dokąd pojedę. Nie planuję z takim wyprzedzeniem. Sporo zależy od tego, czy pan Kantor ma dla mnie jakieś zadanie.

– Powinieneś się uniezależnić od pana Kantora, Stanton – stwierdziła wyzywająco. – Chodzisz u niego na sznurku.

– Nie twoja sprawa – błysnął groźnie okiem.

– Masz rację. – Westchnęła. – Nie moja sprawa. – Po tych słowach odeszła.

Ceremonia była wprawdzie krótka, ale uroczą. Pastor Harvey przygotował akt zawarcia małżeństwa, poprosił o podpis świadków, czyli Rourke'a i Clarisse, a następnie sam go poświadczył. Kazał Grange'owi i Peg wziąć się za ręce i przystąpił do wygłaszania sakramentalnego tekstu przysięgi małżeńskiej.

Kiedy dotarli do fragmentu z obrączkami, młoda para niepewnie spojrzała po sobie.

– Nie mamy obrączek – wyjął Grange.

– Później kupimy – stwierdziła Peg. – Biorę ślub bez sukni, to może być i bez obrączek.

– Kupię ci pierścionek, jak tylko dotrzemy do miasta – przyrzekł Grange. – Najlepszy, na jaki będzie mnie stać.

– Przecież dobrze wiesz, że zadowolilibym się byle nakrętką – powiedziała z promiennym uśmiechem.

Grange wybuchnął śmiechem i przytulił Peg, po czym się zreflektował:

– Przepraszam, pastorze.

– Ogłaszam was mężem i żoną – oznajmił z wesołym błyskiem w oczach wielebny. – Możesz pocałować pannę młodą.

Grange spojrział na Peg. W jego oczach ujrzała czułość i pożądanie.

– Pani pozwoli, pani Grange – powiedział cicho, nachylił się i pocałował ją namiętnie.

Uśmiechnęła się, odwzajemniła pocałunek i przytuliła się do niego.

– Pani Grange – powtórzyła z lubością, choć tak naprawdę jeszcze nie do końca dotarło do niej, że wzięli ślub.

Wszyscy zgodnie z tradycją złożyli gratulacje Grange’owi, a Peg życzyli szczęścia.

– Prezydent Machado chciał z nami przyjechać – powiedział Grange swojej świeżo upieczonej żonie – ale musiał posprzątać bałagan, który narobił Sapara, więc było to niemożliwe. Właśnie, à propos – zwrócił się do O’Baileya – dzięki za wirusa! Mam nadzieję, że zawsze będziemy po tej samej stronie barykady. Po twoich wyczynach zaczynam bać się internetu! – zażartował.

– Ja myślę! – O’Bailey błysnął śnieżnobiałymi zębami. – Stary Sapara miał pecha, że komputery to dla mnie całe życie.

– Teraz już wszystko działa – powiedział Grange. – Prezydent Machado poinformował o swoim powrocie zagraniczne media. – Zerknął na Rourke’a. – Powiedziałaś jej? – Wskazał Clarisse.

Rourke pokręcił przecząco głową.

Grange uśmiechnął się do Clarisse, która z braku innego ubrania wciąż paradowała w poplamionej krwią bluzce. Na głowie zamiast jak zawsze nienagannej fryzury miała totalny chaos, a na jej twarzy odbijało się napięcie ostatnich dni.

– Prezydent Machado zamierza uhonorować cię nagrodą za odwagę.

– Słucham? – Clarisse zaczerwieniła się. – Mnie? Przecież nic takiego nie zrobiłam!

– Uciekłaś z więzienia, uwalniając przy okazji dwóch Amerykanów – wyjaśnił cicho Rourke. – To była pierwszorzędna akcja. Pomimo ran wydostałaś się z więzienia i przemyciłaś profesorów z miasta, zachowując przy tym zimną krew. I dostarczyłaś nam cennych informacji. O tym będzie się mówiło.

Pod wpływem przenikliwego spojrzenia Rourke’a spłonęła się jeszcze bardziej, ale szybko odwrócił głowę i odszedł, jakby żałując, że w ogóle się odezwał.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic. – Peg ją wyściskała. – Świetnie się spisałaś!

– Peg, koniecznie musisz przyjechać do mnie do Waszyngtonu – oznajmiła Clarisse, zmieniając temat. – Oczywiście zapraszam was oboje. Załatwię wam apartament prezydencki w pięciogwiazdkowym hotelu – kusila. – Grange’a zostawimy w barze, żeby nam nie przeszkadzał, a ciebie zabiorę na zakupy. Muszę ci jakoś wynagrodzić ten okropny początek naszej znajomości.

– Już ci mówiłam, że nie musisz mi niczego wynagradzać – odparła łagodnie Peg. – Dzięki tobie przeżywam najwspanialszą przygodę mojego życia!

– Wybacz, kochanie, ale mylisz się – wtrącił się Grange z uśmiechem. – Najwspanialszą przygodą twojego życia będzie małżeństwo. Nie, wróć. Najwspanialszą przygodą naszego życia.

– Masz rację – odparła Peg. – Dżungla to pestka w porównaniu z realiami rodzinnego stadła.

– Uda nam się, kochanie, na pewno się uda. – Przytulił ją mocno.

– Oczywiście, że tak...

Opuścili wioskę obładowani prezentami. Maria podarowała Peg plecioną torbę i koc, nad którym pracowała młoda kobieta w chacie przy palenisku. Peg rozplakała się i obiecała, że nigdy nie zapomni mieszkańców wioski i czasu, jaki tam spędziła.

Profesorowie odjechali do Medyny w towarzystwie Rourke’a, O’Baileya i pastora, który uznał, że po przewrocie przez jakiś czas bardziej się przyda w stolicy niż w maleńkiej wiosce w środku dżungli. Enrique został z matką, by odzyskać pełnię sił.

Clarisse zabrała się z Grange’em i Peg do Manaus. Jechali wąskimi drogami i mostami wiszącymi nad wezbranymi, ryczącymi rzekami. Brudni, zmęczeni i obdarci dotarli do hotelu, w którym – można by pomyśleć, że tak dawno temu – Clarisse i Peg zostawiły swoje bagaże.

Recepcjonista, który dobrze znał Clarisse, spojrział na nią zdumiony.

– *Señorita*, pani ubranie... – wybąkał.



– Nie przejmuj się tym, Carlos – powiedziała pogodnie. – Uprawiałam zapasy błotne z krokodylami. Jeśli sądzisz, że kiepsko wyglądam, powinieneś zobaczyć krokodyla...

Przez chwilę milczał zdumiony, wreszcie wybuchnął śmiechem.

– Cała s *eñorita*... – Pokręcił głową, zaraz jednak przybrał służbową postawę. – Zapraszam panie do apartamentu.

– A właśnie... Mam nadzieję, że nasz pokój nadal jest wolny.

– Ależ oczywiście. Dostaną panie wszystko, czego tylko zapragną.

– Będę potrzebowała jeszcze jeden pokój. Apartament dla moich przyjaciół nowożeńców. – Pokazała na Peg i Grange'a. Gdy Grange zaczął protestować, Clarisse uniosła dłoń. – To prezent ślubny. Najlepszy, jaki mogę wam ofiarować. Proszę, nie kłóć się ze mną.

Grange popatrzył na Peg, która skomentowała z uśmiechem:

– Właśnie, nie kłóć się. Z nią to nie przejdzie. – Pokręciła głową. – Dobrze ci radzę, odpuść sobie i podziękuj grzecznie.

– Dziękuję. – Objął Clarisse. – Dziękuję za wszystko.

– Staram się naprawić to, co zepsułam – powiedziała Clarisse. – Przynajmniej w stosunkach z wami. Z Rourkiem to się nie uda – dodała smutno.

Peg wciąż nie mogła dociec, co tak naprawdę dzieje się między nimi, ale nie zamierzała wściubiać nosa w cudze sprawy. Było dla niej jasne, że mieli wspólną przeszłość, ale w pewnym momencie ich drogi się rozeszły.

– Dziękujemy ci za prezent – powiedziała.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła Clarisse.

Mieli dla siebie apartament z widokiem na Rio Negro. Z okien dało się dostrzec również gęstą dżunglę, która niczym mur otaczała gęsto zabudowane Manaus.

– Kiedy czytałam o Ameryce Południowej, wyobrażałam sobie wyłącznie wioski w dżungli, do głowy by mi nie przyszło, że mogą tu stać tak duże miasta – powiedziała Peg, gdy wyglądali przez okno.

– Manaus to ważny węzeł komunikacyjny – odparł Grange. – Przypływają tu statki wycieczkowe, są fabryki sprzętu elektronicznego i mnóstwo innych firm oraz atrakcji. Poza tym jest tu port bezcłowy, czyli zero podatków.

– Tak... – Wyraźnie myślała już o czymś innym. – To były bardzo długie dni... – Popatrzyła mu w oczy z miłością i oddaniem.

– Tak, Peg... – Pogłaskał ją po głowie. – A teraz nie tylko dni, ale całe lata przed nami. – Uśmiechnął się. – Żeby jednak ten dzień nadal był tak miły, koniecznie muszę coś zrobić.

– Tak?

– Muszę wziąć kąpiel.

– Ja też! – poparła go ze śmiechem.

– Panie mają pierwszeństwo. – Wskazał drogę do łazienki. – Chyba że chcesz wziąć wspólną kąpiel. Oczywiście, żeby oszczędzić wodę – dodał z chytrym uśmieszkiem.

Zawahała się. Owszem, była mężatką, ale i dziewicą wodzoną na pokuszenie. Grange zrozumiał, jak całkiem nowa i krępująca jest to dla niej sytuacja. Dla niego zresztą też...

– Już w porządku – powiedział łagodnie. – Dla mnie to też nowość, naprawdę. Wszystko po kolei. Wykąp się, potem ja się wykąpię. Zjemy dobrą kolację i napijemy się wina... Tak, wiem, nie piję, ale od kieliszka wina się nie umiera – dodał, kiedy zobaczył, że Peg zamierza zaprotestować. – Dopiero wtedy uczynimy kolejny krok, dobrze?

Przytuliła się do niego.

– Dziękuję, że mnie rozumiesz. Nie znoszę, kiedy jestem taka nieśmiała. Powinam się na ciebie

rzucić... Powinnam wiedzieć, co robić i jak...

Zamknął jej usta pocałunkiem, po czym powiedział:

– Podoba mi się właśnie to, że nie wiesz co i jak. Też nie wiem, z wyjątkiem rzeczy, których dowiedziałem się z filmów, książek i rozmów z kolegami. A zatem oboje zaczynamy od zera. Naprawdę mi się to podoba.

– Mnie też... To już idę się wykąpać.

– Użyj mydła – poinstruował ją. Gdy spojrzała na niego zdziwiona, dodał: – I użyj wody.

Parsknęła śmiechem.

Rozbawiony sięgnął po słuchawkę, by zamówić kolację.

# ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Peg wprawdzie miała koszulę nocną, ale Clarisse uparła się, że zanim udadzą się do swoich pokojów, pójdą jeszcze na zakupy. I tak Peg weszła w posiadanie różowego peniuaru, który kosztował fortunę i ledwie zakrywał małe sterczące piersi, a delikatna koronka kusząco opinała biodra. Natomiast koszula była do samej ziemi. Rozpuściła umyte blond włosy, które sięgały do pasa, spadając na plecy ciężką miękką kaskadą. Spojrzała w lustro i zdumiała się. Wyglądała bowiem już nie jak dziewczyna, ale bardziej dojrzała. Spodobało jej się to.

Przypomniała sobie niezręczną rozmowę z ojcem, kiedy wróciła z zakupów. Tata wściekał się na nieoczekiwany wyjazd Peg.

– Zadzwoiłem do Casha Griera, który zaczął dzwonić po ludziach – perorował Ed podczas krótkiego i kiepskiego połączenia telefonicznego ze Stanami. – Wychodziłem z siebie!

– Tato, naprawdę strasznie cię przepraszam. Wynagrodzę ci to, obiecuję. Mam ci tyle do opowiedzenia. Posłuchaj, przeżyłam fantastyczną przygodę, a nawet wyszłam za mąż! – Ugryzła się w język. Za nic nie powinna była z tym wyskakiwać! Tylko podczas osobistej rozmowy!

Zapadła złowieszcza cisza, wreszcie Ed powtórzył:

– Wyszłaś za mąż? – Znów cisza. – Za kogo? Pewnie za jakiegoś wygadanego latynoskiego uwodziciela, który ma dziesięć żon...

– Wyszłam za Winslowa Grange'a – oświadczyła Peg.

Ed gwałtownie nabrał powietrza.

– Słucham? Wyszłaś za mąż za Winslowa?!

– Tak, tato. Niedługo wracamy do domu, tato. Mam nową przyjaciółkę, która jest fotoreporterką, a przy okazji milionerką. Wynajęła nam apartament w hotelu, żebyśmy mogli w nim spędzić noc poślubną. I zabrała mnie na zakupy... Cudowna kobieta!

– Ja... po prostu nie wiem, co powiedzieć... – Dał się słyszeć głuchy odgłos, jakby Ed opadł na bujany fotel. – Brak mi słów.

– Wiem, że to dla ciebie szok, i przepraszam, że nie powiedziałam ci, co się dzieje. Ale wiesz co? Wygraliśmy wojnę! Generał Machado odzyskał władzę, a były prezydent Sapara, oskarżony o zdradę stanu, zabójstwa i korupcję, siedzi w więzieniu i czeka na sąd. W całej akcji nie straciliśmy ani jednego żołnierza, choć kilku zostało rannych w walkach ulicznych, które wybuchły już po obaleniu Sapary.

– Gdzie byłaś przez cały ten czas? Mam nadzieję, że nic ci nie groziło! – spytał przerażony.

– Nie! Mieszkałam w indiańskiej wiosce tuż pod granicą Barrery. Niedaleko ukrywała się pewna antropolog, która dokonała niesamowitego odkrycia. Było jeszcze dwóch profesorów z uniwersytetu, lekarz, pastor...

– Na pewno zmyślasz!

– Nie, tato, nie zmyślam! – zaprzeczyła ze śmiechem. – Nie wiem, czy w ciągu jednego dnia zdołam opowiedzieć ci o wszystkim, co przeżyłam. Ale ta historia ma szczęśliwy koniec. Naprawdę.

– No dobrze... – Westchnął. – Nie będę się wściekał, skoro wyszłaś za rozsądnego mężczyznę, którego cenię. Kiedy wracasz do domu?

– Myślę, że za kilka dni. – Odchrząknęła. – Chcemy z Winslowem zwiedzić Manaus, bo jak na razie widzieliśmy tylko dżunglę, rzeki i krokodyle.

– Krokodyle?

– Spokojnie, nikogo nie pożarły! – Nagle przypomniała sobie, co słyszała o niejakim Miguelu, który torturował Clarisse. Otóż ów Miguel złożył wizytę krokodylom żyjącym nad rzeką... –

Chciałam powiedzieć, że nie pożarły nikogo z naszych ludzi.

– No cóż, kochanie... Wszystko dobre, co się dobrze kończy, jak to mówią. – Roześmiał się. – A zatem zostałam panią Grange. Wiesz, Peg, to cudownie. Cieszę się, chociaż żałuję, że nie wzięłaś ślubu tutaj, w rodzinnych stronach...

– Żaden problem, tato. Kiedy wrócimy do domu, kupię białą suknię i powtórzymy ceremonię. Nie mam nic przeciwko ślubowi z prawdziwego zdarzenia, w kościele i w ogóle. Tutaj wzięliśmy tylko skromny ślub w warunkach polowych, jak to podczas rewolucji. Było bardzo miło, ale to jednak nie to samo. Choć muszę przyznać, że pastor, który udzielił nam ślubu, jest niezwykle odważnym człowiekiem. Wystawił się na kule, broniąc Indian przed zbirami Sapary, którzy usiłowali przegnać plemię, by zamienić opuszczone tereny na pola naftowe.

– A tak, słyszałem o tym w wiadomościach – powiedział Ed. – Eugene Ritter, właściciel koncernu naftowego, wycofał się z inwestycji w Barrerze, zarzucając straszne przestępstwa władzom.

– Teraz już nic nie stoi na przeszkodzie, żeby firma wróciła do Barrery. Prezydent Machado nie pozwoli, by ktokolwiek zagrażał Indianom.

– Mam nadzieję, że Ritter wznowi inwestycję. Ropa jest tak ważna. Potrzebujemy jej naprawdę dużo, jeśli chcemy przetrwać jako cywilizacja.

– Tato, nie zaczynaj...

– Dobrze, już dobrze. Peg, życzę ci udanego miesiąca miodowego, ale chciałbym, żebyś jak najprędzej wróciła do domu i znów zaczęła dla mnie gotować. Mam serdecznie dość mrozonek... – Zawiesił głos. – Muszę znaleźć sobie własne lokum...

– O nie, nigdzie się nie wyprowadzasz – oznajmiła stanowczo Peg. – Jesteśmy rodziną. Mieszkamy razem.

– W porządku. – Roześmiał się. – Ale po waszym powrocie wezmę sobie urlop. Pan Pendleton zaproponował, żebym pojechał do Kolorado na seminarium z zarządzania ranczem. Dodał, że będę mógł zamieszkać w pięciogwiazdkowym hotelu i do woli korzystać z całego serwisu i restauracji. Nie powiem, kusząca propozycja, zwłaszcza teraz, kiedy muszę sam sobie gotować.

– Zgódź się, tato. Potrzebujesz trochę wolnego.

– Dobrze, pojedę po Nowym Roku. Tęskniłem za tobą, córeczko. I tak się o ciebie martwiłem, że odchodziłem od zmysłów.

– Przykro mi, tato. Strasznie cię przepraszam.

– Tak to już bywa, kiedy jest się ojcem... – Przerwał na moment. – Cieszę się, że Machado ponownie został prezydentem. To świetna wiadomość.

– Czy mógłbyś zadzwonić do Barbary Ferguson i poprosić, by przekazała Rickowi, że jego ojciec znów rządzi Barrerą?

– Z największą przyjemnością – odparł. – Ten generał, z którym Barbara się spotykała, niedawno był w mieście. Podobno zabrał ją do opery w San Antonio.

– No proszę!

– Jest też smutna wiadomość. Pamiętasz tego chłopca, którego ojciec niedawno się zabił? Tego, który mógł narobić Grange'owi kłopotów?

Serce jej podskoczyło. Już o tym zapomniała, a teraz wyobraziła sobie, jak chłopak czeka przyczajony na powrót Grange'a.

– Tak, pamiętam – odparła w napięciu. – Dlaczego powiedziałaś, że mógł narobić?

– Bo dwa dni temu skoczył z dachu dziesięciopiętrowego budynku – wyjąwił Ed. – Ponoć naćpał się i chciał udowodnić kumplom, z którymi imprezował, że potrafi latać. Że też ludzie pozwalają, by prochy przejęły nad nimi kontrolę.

Peg pomyślała o Clarisse, o tym, co jej zagrażało. Też mogła umrzeć przez prochy...

– To smutne – powiedziała.

– Tak... No dobrze, musimy już kończyć. Ta rozmowa kosztuje fortunę. Wracaj do domu. Daj znać, kiedy przylatujecie, to wyjadę po ciebie i Winslowa na lotnisko w San Antonio, okej?

– Oczywiście, tato!

– No i gratulacje. Dla was obojga. Nie przychodzi mi do głowy lepszy kandydat na męża dla ciebie.

– Dziękuję.

– Niedługo porozmawiamy.

Gdy odłożyła słuchawkę, spojrzała na swoje odbicie w lustrze i nie mogła się nadziwić, że wygląda... po prostu inaczej. W tym momencie Winslow wyszedł z łazienki. Miał na sobie tylko bokserki. Wyglądał rozbijając seksownie z szeroką, zarośniętą klatką piersiową, umięśnionymi ramionami i smukłymi nogami. Peg zabrakło tchu.

– Ależ z ciebie ślicznotka! – ocenił, taksując ją wzrokiem. – Podoba mi się to wdzianko.

Wzruszyła ramionami i błysnęła uśmiechem, choć była okropnie zdenerwowana.

– A mnie podobają się twoje bokserki – powiedziała, rumieniąc się. – Obsługa przyniosła kolację i butelkę wina. Zanim wpuściłam kelnera, włożyłam płaszcz przeciwdeszczowy. – Przeszła z nogi na nogę. – Chyba go tym rozbawiłam.

– Niech ma przynajmniej tyle! Dzisiejszy wieczór zamiast z kobietą pewnie spędza przed telewizorem.

– To samo sobie pomyślałam – dodała rozbawiona. – No to mamy jedzenie, mamy wino, będzie bolało? – wypaliła, znów się czerwieniąc. Gdy uniósł brwi, zrobiła się czerwona jak burak i wbiła spojrzenie w podłogę. – Przepraszam, wysnęło mi się.

Podszedł do niej, ciepłymi, dużymi dłońmi objął twarz Peg i spojrzał prosto w zielone oczy.

– Owszem, może zabołec – odparł. – Jak to się mówi: pierwszy raz bywa trudny. Ale obiecuję, że będę bardzo ostrożny. – Nerwowo wzruszył ramionami. – Wiesz, Peg, dla mnie to też nie jest proste. Bo nigdy wcześniej tego nie robiłem.

– Nigdy nie miałaś ochoty? – spytała szeptem.

– Owszem, bywałem tego bliski – wyznał. – Ale w końcu uznałem, że nie chcę ryzykować.

– Chorób i tak dalej, tak?

– Chodzi mi o to, że dla mnie seks i małżeństwo są nierozłączne. Doskonale wiem, że to niedzisiejszy, totalnie staroświecki pogląd, ale cóż, nie umiem się zmienić. Nie chcę się zmienić. Bo chociaż świat nie potrafi odróżnić dobra od zła, to człowiek wierzący musi tym się kierować. To, że dwoje ludzi potrafi zachować czystość aż do ślubu i dopiero razem odkrywają radość wspólnego obcowania, jest szlachetne. Jest idealne. – Uśmiechnął się. – Dla mnie jest też seksowne – dodał miękko, jedwabistym tonem.

– Dla mnie też – przyznała, kładąc dłoń na zarośniętej piersi Grange'a. – Ty też jesteś bardzo seksowny.

Pochylił się i musnął jej usta swoimi.

– Mm, sama słodczy – szepnął, po czym przejechał językiem po jej wargach.

Przysunęła się bliżej i rozpląnęła pod wpływem zmysłowego, nieśpiesznego dotyku. Czuli się bezpieczni, chronieni i kochani. Objęła go za szyję, nie przerywając pocałunku. Grange położył dłonie na biodrach Peg i przyciągnął ją do siebie. Poczuli się tak, jakby oboje byli nadzy. Jej piersi osłaniała jedynie cienka warstwa jedwabiu, lecz i to wydało się zbyt wiele.

Gdy szepnęła coś cicho, Winslow sięgnął do cienkich ramiączek peniuaru i zsunął je z ramion Peg, odsłaniając parę cudownych piersi. Powiódł po nich wygłodniałymi oczami.

Peg zadrżała i lekko wygięła plecy.

– Możesz je dotknąć. Chcę, żebyś dotknął.

– Kochanie – wyszeptał, jednocześnie oswobodzając Peg z garderoby. – Nie masz pojęcia, co chcę z nimi zrobić. – Podniósł ją i wziął w usta jeden z kuszących, miękkich, ciepłych wzgórków.

Nabrała powietrza, zaskoczona falą rozkoszy, i mocniej oplótła rękami szyję Grange'a, byle tylko nie przestawał.

Położył ją na kanapie i zaczął desperacko manipulować przy pasku bokserów. W końcu zsunął je z siebie, jednocześnie przenosząc pocałunek na drugą pierś. Językiem pieścił sutek, aż zrobił się twardy jak skała, a bliska ekstazy Peg wiła się i ocierała o Grange'a.

Ustami przesunął po jej szyi, na chwilę zatrzymał się na brodzie, a w końcu dotarł do spragnionych, gorących ust. A potem delikatnie rozsunął nogi Peg i ułożył się między nimi.

Chciała zaprotestować, powiedzieć, że wcale nie jest pewna, czy jest gotowa, ale to, co Grange wyprawiał z ustami, doprowadzało ją do szaleństwa. Raptem poczuła go w miękkim intymnym miejscu, nieznanym męskiego dotyku. Otworzyła usta, lecz natychmiast zamknął je pocałunkiem, chciwie wbijając się w nie językiem, pieszcząc przy tym dłonią owo tajemne miejsce.

Już miała zaprotestować, kiedy nagle potężna fala rozkoszy sprawiła, że oderwała biodra od łóżka i podniosła je wysoko. Nie odrywał dłoni, gdy Peg drżała i wiła się. Naraz otworzyła szeroko oczy i spojrzała prosto na niego. Położył się na niej i wiedziała, że za chwilę to się stanie.

Wsunął się w nią z cichym ni to szeptem, ni to jękiem. Oparł dłonie na łóżku tuż obok głowy Peg i wzrokiem przewiercał ją na wylot, podczas gdy ich ciała stapiały się w jedno.

– O... mój... Boże – udało jej się powiedzieć.

A potem już nic nie mówiła, tylko poznawała nową krainę, krainę bożka Erosa. Razem ją poznawali. Uczyli się siebie nawzajem i swoich ciał, szukali tego, co najrozkoszniejsze i najcudowniejsze. Stawali się coraz bardziej śmiali, wręcz zuchwali. Okazali się wspaniałymi studentami greckiego bożka!

Aż wreszcie Peg krzyknęła ekstatycznie. Miała wrażenie, jakby znalazła się na szczycie wulkanu, z którego wypływa gorąca lava. Patrzyła na Grange'a, ale jego twarz jakby się rozmyła. Jej krzyk stał się jeszcze głośniejszy, i z imieniem Winsłowa na ustach przeżyła pierwszy w swym życiu orgazm. Razem go przeżyli, bo jej mąż doszedł w tym samym momencie.

Uspokajając się, przytuliła się do niego. Ustami dotknęła mokrego ramienia, poczuła słony smak. Wiedziała, że nadal w niej jest, ale nie potrafiła objąć tego myślami. A więc tak to wygląda, pomyślała. Mężczyzna i kobieta, razem, złączeni. Nie sądziła, nawet jej się nie śniło, że seks daje aż tyle radości.

– Przepraszam – szepnął Grange. – Zapomniałem się trochę... pod koniec. Mam nadzieję, że cię nie bolało? – dodał z troską, podnosząc głowę.

– Głuptasie! – Odgarnęła niesforny kosmyk, który opadł mu na czoło. – Zapominaj się jak najczęściej, dobrze?

Też się uśmiechnął, po czym powiedział:

– Nie myślałem, że to właśnie tak będzie wyglądało. Teoria teorią, ale nie ma jak praktyka. – Niby mówił lekkim tonem, ale jednak był trochę skępowany. Cóż, dopiero poznawali świat seksu.

– Zauważyłam. – Palcem dotknęła ust Grange'a. Był piękny, piękny jak półbóg. – Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę ci na mnie zależy. Przecież nawet nie jestem ładna. I mam małe te tutaj...

– Lubię twoje „te tutaj”. – Pocałował jej pierś, potem drugą.

I poczuł, że znów jest gotów.

Peg była jak najbardziej za...

I nagle coś sobie wymyśliła. A może podpowiedział jej to bożek Eros?

– Teraz ja na górze – oznajmiła, z pełną aprobatą Grange'a dokonując radykalnej konfiguracji.

Dużo czasu minęło, zanim sobie przypomnieli, że w salonie czeka na nich kolacja i butelka wina...

Trzy dni później podczas przechadzki po Manaus odwiedzili zoo i Muzeum Kultury Indiańskiej. Rozmawiali o tym, co mogło się stać z pułkownikiem Percym Fawcettem, który w 1925 roku

w poszukiwaniu Eldorado wybrał się wraz z synem i jego przyjacielem do dżungli. O całej trójce słuch zaginął. Ekspedycja Fawcetta doczekała się wielu opracowań, ale autorzy książek jedynie snuli domysły i żadnemu z nich nie udało się rozwiązać zagadki.

– Właśnie to ludzi fascynuje – powiedziała Peg, kiedy szli wolnym krokiem przez salę, w której wyeksponowano meldunki pułkownika i dzieła jemu poświęcone. – Historia Fawcetta jest ciekawa, bo nie wiemy, co się wydarzyło.

– Masz rację, to fascynująca historia, ale mało kto myśli o tragedii, którą przeżyła rodzina. Fawcett miał żonę, córkę i młodszego syna, którzy zostali w domu i z nadzieją czekali na jego powrót...

– Czytałam gdzieś, że Fawcett uznałby swoje życie za porażkę, gdyby nie odnalazł zaginionego miasta. – Zatrzymała się i spojrzała na Grange'a. – Ale przecież dał światu swoje dzienniki. Od osiemdziesięciu lat, od kiedy opublikował je syn Fawcetta, kolejne pokolenia czytelników na całym świecie mogą się cieszyć opisanymi w nich przygodami i romansami. Kanapowi podróżnicy mogą zagłębić się w dżungli i poznać jej tajemnice. Czy taki autor naprawdę może mówić, że jego życie było porażką, że nic nie osiągnął? Moim zdaniem nie. Myślę, że obserwacje, które zawarł w swoich książkach, są spuścizną dużo cenniejszą i mocniejszą niż to zaginione miasto.

– Wygląda na to, że nasza przyjaciółka Maddie zrobiła to, co nie udało się Fawcettowi – z uśmiechem stwierdził Grange. – Ruiny, które odkryła, pozwolą na nowo napisać historię Amazonii. Ale wiesz, Maddie nie jest jedyna. Nie tylko ona znalazła pozostałości po starożytnej wysoko rozwiniętej kulturze. W dżungli pracują również inni archeolodzy, na przykład pewien młody pracownik Uniwersytetu Stanu Floryda, który nawet napisał książkę o swoich odkryciach. Poza tym jest jeszcze pani archeolog, która w prostej linii pochodzi od prezydenta Roosevelta. Zaraz po drugiej kadencji w Białym Domu, a tuż przed pierwszą wojną światową, Roosevelt wyjechał do brazylijskiej dżungli i nawet napisał relację z tej ekspedycji. Jest fascynująca. Będę musiał pożyczyć ci kilka książek...

Stanęła na palcach i pocałowała go.

– Będziemy mogli razem je przeczytać – szepnęła. – Kiedy już skończą nam się pomysły na zabawy w sypialni.

– To może zająć kilka lat. – W oczach Grange'a pojawił się błysk.

– Albo dekad. – Roześmiała się i wróciła do podziwiania eksponatów. – O tym miesiącu miodowym będziemy opowiadali naszym dzieciom.

– Ze szczegółami? Miej litość, dzieci to niewinne stworzenia! – Gdy ze śmiechem pacnęła go, dodał: – Pragnę, żebyśmy mieli dzieci, ale najpierw musimy zobaczyć trochę świata. Co ty na to?

– Dobry pomysł. – Uśmiechnęła się. – Jak najprędzej do realizacji.

– Też tak myślę, Peg.

Clarisse pojechała z nimi na lotnisko. Przed wyjazdem z hotelu odbyła rozmowę z Rourkiem, zresztą niezbyt przyjemną, sądząc po minie obojga. Odeszła od niego blada, nie obejrzała się za siebie.

Jednak dla Grange'a i Peg przywołała sztuczny uśmiech i z nim na ustach przeszła odprawę paszportową i celną.

Lot do Miami małżonkom minął przyjemnie, natomiast Clarisse przespąła całą drogę. Tuż przed odlotem Peg i Grange'a do San Antonio Clarisse powiedziała:

– Wracam do Waszyngtonu, ale tylko na kilka tygodni. Muszę zapomnieć o przeszłości. – Niby się roześmiała, ale nie wypadło to zbyt wesoło. – Potem pewnie znajdę sobie coś ciekawego do roboty. Bylebym nie musiała chodzić na przyjęcia.

– Postaraj się trzymać z dala od kłopotów, dobrze? – poprosiła Peg.

Clarisse serdecznie objęła przyjaciółkę.

– Zobaczę, co da się zrobić. Dziękuję za wszystko, Peg. Wiele ci zawdzięczam. Jestem twoim dłużnikiem.

– Wcale nie... – Peg pocałowała ją w policzek. – Dzięki tobie mogę napisać wspomnienia z ekscytujących przygód w dżungli!

– Racja! – Clarisse podała rękę Grange'owi. Chciała kupić dla niego bilet w klasie biznesowej, ale okazało się, że generał Machado już o to zadbał. – Opiekuj się moją przyjaciółką.

– Możesz być tego pewna. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Trzymaj się.

Clarisse po raz ostatni obrzuciła oboje tęsknym spojrzeniem, po czym poszła zdać bagaż.

Lot do domu był, dzięki Bogu, bardzo krótki, ale i tak wchodząc do hali, Peg padała z nóg. Czekal na nich ojciec, niespokojnie rozglądając się wokół. Dopiero gdy ich dostrzegł, uspokoił się.

– Kocham cię, córeczko. – Pochwycił ją w ramiona. – Strasznie się za tobą stęskniłem. Ale jeśli jeszcze raz wykręcisz taki numer, to każę twemu mężowi, by dał ci szlaban i pilnował dzień i noc.

– Spokojna głowa – powiedział Grange, obejmując teścia. – Zamierzam spędzić trochę czasu w domu, więc Peg nie będzie musiała szukać mnie po świecie. Dziękuję, że po nas wyszedłeś, tato. – Ostatnie słowo powiedział bardzo naturalnie.

– Zawsze chciałem mieć syna – oznajmił wzruszony Ed.

– Możesz mnie zabierać na ryby – oświadczył Grange. – Ale teraz przydałby mi się porządny posiłek. Co ty na to, kochanie? – spytał Peg.

– Och, też jestem głodna. Ugotuję nam...

– Nie ma mowy! – przerwał jej ojciec. – Barbara przygotowała wszystko, co trzeba. Zjemy w kawiarni. Szefowa zakładu stawia!

– O! – wykrzyknęła Peg. – Cudownie z jej strony!

– Nie ma nic za darmo – bąknął Ed. – Barbara i Rick pragną porozmawiać o rewolucji. Chcą wiedzieć wszystko, i to ze szczegółami, więc lepiej przygotujcie się na długą dyskusję. Żonę Ricka też ciekawi ten temat. Wiecie, dla kogo pracuje...

– Tak, wiemy – odparł Grange z uśmiechem. – Ma całkiem niezłe koneksje. A jej ojciec, mój serdeczny kolega, szefuje... no, jednej z tych agencji rządowych, za którymi tak przepadam.

Wszyscy się roześmieli.

Rick Marquez powitał ich jak odnalezioną po latach rodzinę.

– Co u mojego taty? – spytał na wstępie.

– Śpiewająco, choć jest urobiony po łokcie – odparł Grange. Usiedli przy stole pod ścianą. Barbara dała znak kelnerowi, by zaczął podawać dania. – Sapara siedzi pod kluczem. Miły gość, nie ma co... Tortury, gwałty, rabunki, to zafundował swojemu narodowi. Kazał torturować kobiety, wyobrażasz to sobie?! Taki ktoś jest zdolny do wszystkiego...

– Kobiety? – Przerazona Barbara spojrzała na Peg.

Która szybko sprostowała:

– Nie chodzi o mnie, tylko o fotoreporterkę, która pojechała z nami do Barrery. Odmówiła współpracy z oprawcami, nie pisnęła ani słówka na temat powstańców. Wmówiła im, że nic się nie dzieje, a ona tylko szuka zaginionych profesorów ze stołecznej uczelni, bo chce napisać o nich artykuł.

– Dzielna kobieta – przyznała Barbara.

– To nie wszystko – dodała Peg. – Jej kierowcę postrzelono, a dwóch uwięzionych profesorów niemal skonało z głodu za kratami. Jednak ona uwolniła i siebie, i ich. Uciekli z Medyny i ukryli się w indiańskiej wiosce, w której się zatrzymałam. Och, kukurydza z masłem? Pychota! I mięso z grilla... Chyba trafiłam do nieba! – wykrzyknęła Peg, widząc, jakie jedzenie łąduje na stole.



– Wiem, co lubisz. – Barbara zachichotała. – Wsuwaj.

– To bardzo miłe z twojej strony, Barbaro – powiedział Ed Larson.

– Tak – potwierdził Grange, a Peg, obrabiając kolbę kukurydzy, tylko pokiwała głową.

– Wiedziałam, że będziecie głodni. Poza tym Rick chciał dowiedzieć się czegoś o ojcu. – Pokazała na adoptowanego syna, który chłonał każde słowo.

– Martwiłem się – powiedział Rick.

– Tak jak wszyscy. Nawet moja synowa – dodała Barbara. – Godzinę temu ją wezwali. Znów jakieś zabójstwo. Jest naprawdę dobra w swoim fachu.

– Masz rację – zgodził się Rick. – Teraz mam pod nosem konkurencję!

– Nie wyglądasz na takiego, któremu by to przeszkadzało – skomentowała Peg.

– Bo nie przeszkadza. Świetnie się z nią pracuje. Wreszcie mam z kim chodzić na lunch... o ile nie jem go w domu – dodał, puszczając oczko do matki.

– Peg, kochanie, chciałabym wiedzieć tylko jedną rzecz – powiedziała Barbara. – A mianowicie jakim cudem znalazłaś się w południowoamerykańskiej dżungli?

Peg zawahała się. Jak miała wyjaśnić podróż do Amazonii, nie obciążając przy tym Clarisse?

– Było tak – odpowiedział za nią Grange. – Znam pewną osobę, która pracuje w agencji prasowej.

To bajecznie bogata kobieta, która ma wobec mnie dług wdzięczności. Wiem, że postąpiłem nieodpowiedzialnie, prosząc ją, żeby przywiozła Peg do Ameryki Południowej, i zdaję sobie sprawę, jak bardzo to było niebezpieczne. Ale uwierzcie mi, stęskniłem się za nią tak bardzo, że przestałem logicznie myśleć! – dodał z takim zapałem, że nawet Peg na moment mu uwierzyła.

Ed upił łyk kawy i roześmiał się.

– Coś takiego jestem w stanie zrozumieć, a ponieważ wszystko skończyło się dobrze, no i wróciliście z tej wyprawy jako małżeństwo, nie mam na co się skarżyć. Więc nie będę narzekał.

– Ależ to musiało być straszne – odezwała się Barbara. – Amazonia to dziki kraj, prawda? To znaczy, większość ludzi mieszka w lepiankach w dżungli, poluje i łowi... prawda?

– Barbaro, Manaus jest jednym z najnowocześniejszych miast na świecie – wyjaśniła Peg. – Mieszka w nim ponad półtora miliona ludzi. Miasto jest ośrodkiem przemysłu elektronicznego. Poza tym to wolny port. Pływają tam transatlantyki. Niektórzy nazywają Manaus Paryżem tropików.

– No wiesz, tego nie usłyszysz w wiadomościach – skomentowała zdumiona Barbara.

– Nie, bo czas antenowy zajmują plotki o gwiazdkach i imprezach. Brakuje miejsca na naprawdę cenne informacje – mruknął Ed Larson.

– Tata nie ogląda telewizji – wytłumaczyła Peg. – Bo uważa, że to zło wcielone.

– Ma rację! – odparła Barbara. – Ludzie, z którymi prowadzę swoją stronę internetową o teoriach spiskowych, zgadzają się, że mainstreamowe media wymyślają większość wiadomości. Jeśli chcesz się dowiedzieć, co się dzieje na świecie, my mamy te informacje, zanim zdążą się pojawić na ułamek sekundy w wiadomościach. Przykład? Słyszałaś w telewizji o wybuchu wulkanu Krakatau? Albo o trzęsieniach ziemi w pobliżu El Hierro, wyspy w archipelagu Wysp Kanaryjskich? Zaczęli o tym mówić, dopiero kiedy o całej sprawie było wiadomo od kilku tygodni.

– Maniaczka teorii spiskowych – mruknął z przekąsem Rick, szczerząc zęby.

– Wcale nie maniaczka. Ale spisek istnieje – dodała. – Spytaj swojego teścia. – Zmarszczyła brwi i spojrzała na Grange'a. – Właśnie. Miałam spytać, czy wiesz, co się stało z synem tego oficera, który zmusił cię do odejścia z armii? Zabił się krótko po samobójczej śmierci ojca.

– Tak, słyszałem. Peg mi powiedziała. Smutna historia. Tragiczna.

– Tak, narkotyki zniszczyły już tak wiele młodych istnień.

Peg tylko przytaknęła.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ślub był prawdziwym wydarzeniem w małym miasteczku. Zjawiła się cała ekipa Eba Scotta, a także liczny zastęp byłych najemników, na czele z Cashem Grierem oraz Colbym Lane'em i jego żoną, która pracowała w Ritter Oil Corporation w Houston.

Peg, ubrana w atłasową koronkową luksusową suknię ślubną – wypożyczoną od Gracie Pendleton, która nawet nie chciała słuchać, gdy Peg zaprotestowała – poszła alejką miejscowego kościoła prezbiteriańskiego, odprowadzana dźwiękami marsza weselnego, i z uśmiechem od ucha do ucha zajęła miejsce przy ołtarzu obok Winsłowa Grange'a.

Pastor, który od lat znał oboje młodych, odprawiając nabożeństwo, uśmiechał się dobrotliwie, a na koniec ogłosił Winsłowa i Peg mężem i żoną. Tym razem przynajmniej mieli obrączki – Ed podarował Peg obrączkę po jej babci, cenną pamiątkę rodzinną. Założyła ją na palec obok malutkiego zaręczynowego pierścionka z brylantem, który Grange obiecał kupić – i słowa dotrzymał. Jego obrączka była prosta, szeroka i w całości ze złota. Pocałowali się jako nowo poślubieni – po raz drugi, tyle że w kościele, w odróżnieniu od wioski w dżungli, zrobili to dużo swobodniej. Następnie przeszli alejką, słuchając radosnego śmiechu gości i licznych gratulacji. Po ślubie odbyło się przyjęcie, na które swoje specjały upiekły gospodynie z miasta.

Grange przedstawił Peg Colby'ego Lane'a, który w zamian zapoznał ich ze swoją żoną, piękną blondynką, agentką DEA.

– Chciałem osobiście podziękować – powiedział Colby – w imieniu mojego szefa, Eugene'a Rittera. Pan Ritter nic nie wiedział o tym, co się dzieje w Barrerze, ani też, że działania firmy zagrażają plemionom Indian. Kiedy wszystko wyszło na jaw, był wściekły i oburzony.

– Tak właśnie myślałam – odparła Peg. – Pan Ritter cieszy się opinią uczciwego człowieka.

– Zasłużenie.

– No, ale teraz, kiedy generał Machado ponownie został prezydentem kraju – wtrącił Grange – z chęcią wznowi rozmowy o wydobyciu ropy naftowej. Tylko że tym razem odbędzie się to w odpowiedni, cywilizowany sposób, to znaczy za zgodą rdzennych mieszkańców i rządu.

– Przekażę – odparł Colby, po czym zmienił temat. – Chodzą słuchy, że zostaniesz w Barrerze i obejmiesz stanowisko szefa sztabu generalnego.

Grange'owi nie drgnął nawet jeden mięsień twarzy.

– Plotki. Jeszcze nic nie zostało postanowione.

– To byłaby kapitalna posada – skomentował Colby.

– Zgadza się, bo generał to równy gość – odpowiedział Grange.

Później, kiedy zostali sami na ranczu – Ed dyskretnie się ulotnił i wyjechał na konferencję, o której opowiadał córce – Peg zwinęła się w kłębek na łóżku i przytuliła do Grange'a.

– I co z tą pracą? – spytała.

Westchnął. Zakręcił sobie kosmyk jej jasnych włosów na palec.

– Nie wiem, kochanie. To by się wiązało z naprawdę dużą zmianą. Trzeba byłoby zamieszkać w Barrerze, kto wie na jak długo. Sapara zaniedbał stołeczny szpital i wielu lekarzy zmusił do emigracji. Należałoby odbudować całą strukturę służby zdrowia. W dżungli można złapać mnóstwo groźnych chorób. Wiele z nich latami nie daje żadnych objawów, a kiedy już to zrobią, zwykle kończą się śmiercią.

Przysunęła się bliżej i wciągnęła zapach czystego, silnego ciała męża.

– Życie zwykle kończy się śmiercią.

Spojrzał na nią. Minę miał poważną.

– To duże ryzyko. Zwłaszcza gdybyśmy chcieli mieć dziecko.

Uśmiechnęła się leniwie.

– Będziemy mieli dziecko, kiedy będziemy na to gotowi. Tymczasem możemy poświęcić kilka lat i pomóc generałowi posprzątać w kraju. Na pewno znalazłoby się dla mnie coś do roboty, nie wiem, może w sierocińcu. Pastor Harvey mówił, że koniecznie przydałby się ktoś, kto zaprowadziłby tam porządek. Tyle że nikt nie chce takiej pracy.

– Wyjechałabyś? – spytał, marszcząc brwi. – Jesteś domatorką. Przecież ty nawet nie lubisz jeździć do restauracji w San Antonio.

Uśmiechnęła się.

– Wydaje mi się, że wreszcie się przekonuję, jak ściśle to wszystko jest połączone – powiedziała. – Wszyscy należymy do jednej wielkiej rodziny. Coś jak Jacobsville albo Comanche Wells, tyle że na globalną skalę. Poza tym lubię generała. Wiem, że wyjazd wiąże się z ryzykiem, ale chciałabym mu pomóc. Ponieważ nie musimy mieć dzieci tak od razu, możemy spokojnie poczekać, aż naprawdę będziemy gotowi na ich przyjście na świat. Tata mógłby czasem wpaść z wizytą. My też możemy go odwiedzać. Przecież do Barrery nie jest aż tak daleko.

– Kochanie, nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać – oświadczył Grange.

Westchnęła.

– Przeżyłam przygodę i ona mnie trochę zmieniła. Nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy na kilka lat zamieszkali w Barrerze. Wtedy, kiedy uznasz, że już czas i że nadałeś armii generała Machado taki kształt, jaki według ciebie powinna mieć, wrócimy do Stanów, ty zostaniesz ranczerem, a ja żoną ranczera, o ile właśnie tego będziesz pragnął. Tymczasem ranczem może się zająć tata. Zobaczysz, że zrobi to dobrze. Zna się na tym.

Przetoczył się i położył Peg na plecach. Spojrzał w jej nieruchome oczy.

– Widzę, że dziś wieczorem znasz odpowiedzi na wszystkie pytania – mruknął.

– No, może nie na wszystkie...

Zsunęła górę koszuli nocnej, patrząc, jak spojrzenie czarnych, wygłodniałych oczu Winslowa przesuwa się po jej piersiach.

– Nadal poznaję tajemnice życia. Masz ochotę pomóc mi w tej nauce, hm?

Zamknął usta na sterczącym sutku, a dłonią szybko zdjął z Peg resztę fatałaszków.

– To się nazywa edukacja – szepnął. – Obejmij mnie. – Zarzuciła mu ręce na szyję. – Nie tutaj... – dodał.

Jęknęła i nieco zmieniła pozycję. Wygięła plecy w łuk i wyszła na spotkanie jego napierającym biodrom. Teraz przychodziło im to tak lekko, zniknęło skrępowanie, a jego miejsce zajęła czysta radość.

– Jesteś gorąca w środku – szepnął Peg do ucha, nagle wykonując gwałtowny ruch biodrami. – Mięka i gorąca...

– I spragniona – wysapała. – Zrób to!

Wsunął pod nią dłoń i roześmiał się, słysząc jęk, który wydobył się ze ściśniętego gardła Peg.

– Nigdy się nie znudzę tym widokiem – powiedział. – Niczego nie dusisz w sobie.

Zabrakło jej tchu i nie zdołała mu odpowiedzieć. Ponownie wygięła się w łuk i spojrzała mu w oczy. Poczła falę gorąca i wzbierającą powoli, ale niepowstrzymanie, rozkosz.

– O rany! – jęknęła.

– Za każdym razem jest coraz lepiej, prawda? Trzymaj się mocno, kochanie...

Poczła jego dłoń na swoich pośladkach. Nakierował ją na siebie, po czym wszedł w nią szybkim, pewnym ruchem.

– Już nie wytrzymam- załkała.

– Tak mi dobrze – szepnął drżącym głosem.

Krzyknął i nagle eksplodował. Peg opłótła go nogami, nie chciała puścić, zamierzała zatrzymać tę rozkosz na zawsze. Ale szybko się okazało, że sama zaraz się złamie. Kiedy to się stało, opadła bez sił, przygnieciona ciężarem Grange'a, przytulając go do siebie.

– Gdybym wiedziała, że to będzie takie przyjemne – szepnęła mu do ucha – uwiodłabym cię dużo wcześniej. Na przykład wtedy... w oborze...

Wybuchł śmiechem.

– Nie, nie byłoby tak dobrze. I na pewno nie chciałabyś na starość pamiętać, że swój pierwszy raz przeżyłaś w oborze!

Uśmiechnęła się.

– No rzeczywiście. Nie chciałabym. Tak jak teraz jest dużo przyjemniej... mężu.

Przytulił ją mocniej.

– Mam nadzieję, że pierwszy i jedyny...

Ugryzła go w ramię.

– Nie da się zastąpić ideału. – Posłała mu chytry uśmiech. – No, ale chyba nie zamierzasz na tym poprzestać? – Machnęła ręką, kiedy podniósł głowę. – Coś ci dolega, drogi mężu? Czyżby starość...? Au!

Przygniótł ją do materaca i zasypał pocałunkami.

– Ja ci zaraz pokażę, kto tu jest stary!

Dużo później zeszli do kuchni i przygotowali przekąskę z sera, krakersów i zimnego mleka. Peg usiadła przy stole i wbiła w Grange'a pełne miłości spojrzenie zielonych oczu.

– Na co tak patrzysz? – spytał.

– Na świat – odparła cicho. – Na cały mój świat.

Nie zdołał wymyślić riposty, bo coś chwyciło go za gardło.

– Przypomniałam sobie o czymś! – wykrzyknęła nagle.

Uniósł brwi.

– Za tydzień święta, a my nie mamy choinki!

– Jutro jakąś załatwię, spokojna głowa.

– Nie kupiłam prezentów!

– Jutro sklepy też otwarte.

Westchnęła.

– Cóż to będą za święta! – wykrzyknęła przejęta.

Roześmiał się.

– Najlepsze pod słońcem.

Pokiwała głową.

– O tak! Nie mogę się doczekać! – oznajmiła zadyszczanym głosem. I posłała swojemu mężowi promienny uśmiech.

# EPILOG

– Jejku, tato, naprawdę byłeś dowódcą armii, która obaliła krwawego dyktatora? – John Grange spytał ojca z błyskiem w szeroko otwartych czarnych oczach.

– Tak, to prawda – Grange zmierzył malcowi włosy. – Cieszę się, że nie muszę tego robić drugi raz – dodał z łagodnym uśmiechem.

– Zgadzam się. – Peg podeszła do męża i przytuliła się do niego z westchnieniem, trącając nosem jego szeroką pierś. – Jestem strasznie zmęczona – mruknęła. – Te loty wydają mi się za każdym razem coraz dłuższe.

Grange pogładził jej długie blond włosy i pocałował ją w czoło.

– Mnie też, kochanie. – Westchnął.

– No to dlaczego nie możemy już zawsze tu mieszkać? – spytał mały John. – Pan Machado, znaczy się prezydent Machado i jego żona chcą mnie zabrać do tych ruin, które wreszcie odkopali. A ja bym chciał pojechać!

– Słusznie postąpił, czyniąc Maddie szefową państwowej służby archeologicznej – zauważyła Peg. – Ona jest idealna do tej pracy. – Uśmiechnęła się skromnie. – Od kiedy jej i Emiliowi urodził się synek, przynajmniej przestała kopać w ziemi.

– Rick Marquez był wniebowzięty – przypomniał sobie Grange. – Zawsze powtarzał, że nie lubi być jedynakiem. Teraz dwa razy w roku lata w odwiedziny do brata.

– Szkoda, że nie jest w moim wieku – westchnął John. – Ostatnio muszę się bawić z samymi dziewczynami. – Skrzywił się.

– Zaczekaj jeszcze sześć lat, a przestaniesz się na to skarżyć. Masz, syneczku, doskonałe maniery i dziewczęta już cię kochają – powiedziała Peg. – Pani Cates zadzwoniła, żeby podziękować za bukiet, który kupiłeś, żeby poprawić jej nastrój. Jesteś wrażliwy.

– Jak mama – zauważył Grange.

– I tata – odparła Peg z błyskiem w oku. – Ale obiecuję, że nigdy o tym nie wspomnę u ciebie w pracy – dodała. – Szef sztabu generalnego Armii Republikańskiej o miękkim sercu? Osłabiłoby to twój wizerunek.

– E tam, wielki tytuł, a tylko mnóstwo roboty – odparł Grange. – Tymczasem w domu wzywa mnie ranczo.

– Pamiętaj, że ranczem zajmuje się tata i nowy zarządca stada. – Zmarszczyła czoło. – Ten to ma charakterek. Potrafi przeprowadzić narowistego byka przez całe pastwisko, po prostu mówiąc do niego. Za to w kontaktach z ludźmi stać go tylko na to, żeby bąknąć słowo albo dwa.

– To Indianin z plemienia Lakota – wyjaśnił Grange. – Wydaje mu się, że musi być stoicki i nieprzystępny, bo tak mu kazał dziadek.

– Dziwny jest – stwierdziła Peg. – Ale chyba zna się na tym, co robi. Jego syn, Carson, towarzyszył nam podczas inwazji – wyjaśniła Johnowi. – On też nie był mistrzem elokwencji – zaśmiała się.

– Ustatkował się – dodał Grange, kręcąc głową. – W armii nie zostało wielu kawalerów. Nawet O’Bailey wreszcie się ożenił – z tą drobną maniaczką komputerów, która na uniwersytecie asystuje profesorowi Fitzhugh.

– Mam nadzieję, że nie trzyma węży w roli zwierzątek domowych – powiedziała Peg, puszczając oczko. Pamiętała, że O’Bailey panicznie bał się węży.

– Raczej nie...

Peg zerknęła na zegarek.

– Oho, niedługo przylatuje samolot, który nas zabierze do Medyny. Mamy jeszcze czas, żeby coś

zjeść. Niesamowite, że jest tu teraz lotnisko!

– Tak, miło, zwłaszcza że przypadkiem Machado ma własny samolot – roześmiał się Grange. – Ludzie byli tak wdzięczni za to, że obalił znienawidzonego Saparę, że zrzucili się i kupili mu używaną maszynę. Musiał jednak przysiąc, że nigdy nie opuści kraju na dłużej niż tydzień – dodał, wspominając pewien feralny wyjazd, który lata temu doprowadził do przewrotu w wykonaniu Sapary.

– Miło ze strony prezydenta, że posyła swój odrzutowiec po szefa sztabu, który wraca z wizyty u swojego teścia – mruknęła Peg.

– Ba! Masz przed sobą naczelnego dowódcę armii! – Grange wyprostował się jak struna.

Peg stanęła na palcach i pocałowała męża.

– Mój ty wojaku – mruknęła, na co Grange odpowiedział śmiechem.

Zjedli smaczny posiłek i poczekał na przybycie prezydenckiego odrzutowca. Samolot wkrótce przyleciał i trójka Amerykanów weszła na jego pokład. Kilka minut później byli już w drodze do Mediny, stolicy Barrery. Lot nie trwał długo.

Na lotnisku czekała na nich limuzyna, mająca zabrać ich do pałacu prezydenckiego. Machado miał wprawdzie wyrzuty sumienia, że zamieszkał w budynku, który Sapara wznosił za pieniądze zrabowane krajanom, ale mieszkańcy uznali, że pałac prezentuje się naprawdę okazale i reprezentacyjnie, a zachodni dyplomaci będą pod wrażeniem, gdy zobaczą budowlę symbolizującą nadzieje i marzenia obywateli Barrery.

Ritter Oil Corporation miała tu swoje biura. Staruszek Eugene Ritter założył fundusz na rzecz rdzennych mieszkańców tych terenów, mający na celu umożliwienie najzdolniejszym Indianom nauki w college'u i ogólną poprawę warunków życia. Wydobywanie ropy odbywało się w sposób niewadzący plemionom i w żaden sposób niewpływający na ich kulturę i tradycje. Rittera bardzo doceniono za tę niezwykłą troskę o los Indian, został bowiem honorowym członkiem jednego z plemion.

– Przez te dziesięć lat Barrera przeszła długą drogę – stwierdziła Peg.

– Masz rację – odparł Grange. – Bogate zasoby ropy naftowej uczyniły z nas niezwykle ważnych partnerów w handlu międzynarodowym.

– No i jest o nas głośno ze względu na odkrycia archeologiczne – dodała Peg. – Cieszę się, że jestem obywatelką Barrery, ale też dobrze, że nie zrezygnowaliśmy z amerykańskiego obywatelstwa. Być może pewnego dnia zechcemy wrócić w rodzinne strony i spędzić tam emeryturę.

Uśmiechnął się.

– Wiem, że tęsknisz za Teksasem.

– Ależ oczywiście, że tęsknię. I brakuje mi taty – powiedziała. – Dobrze, że wymyślono coś takiego jak Skype, dzięki czemu mogę z nim porozmawiać, jednocześnie widząc go na ekranie komputera. To dla mnie bardzo ważne. Ale wiem też, że tutaj, w Barrerze, robimy coś pożytecznego: ty dowodzisz armią, a ja szefuję jednej z największych organizacji dobroczynnych. Oboje przyłożyliśmy się do odbudowy tego kraju. Jestem z tego dumna.

– Długo zostaniemy? – spytał John i westchnął. – Męczę się tym lataniem.

Peg aż zatkanęła.

– Męczysz się lataniem? Ty? Przecież chciałeś zostać pilotem!

– No, chcę być pilotem, ale nudzi mi się to, że wszędzie trzeba jeździć – mruknął.

– Nie żyj samymi marzeniami – pouczył go ojciec. – Ciesz się każdym dniem, jakby miał być twoim ostatnim.

Peg uśmiechnęła się, bo przypomniała sobie o Clarisse i jak bardzo te słowa do niej pasowały. Clarisse odezwała się latem. Peg cieszyła się, że jej przyjaciółka w końcu znalazła ukojenie.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Grange z uśmiechem. Samochód zatrzymał się przed wejściem do okazałego budynku, w którym mieszkał i pracował Emilio Machado.

Prezydent osobiście wyszedł im na spotkanie, wyściskał Grange'a, a Peg pocałował w rękę. Zmierzył Johnowi gęstą czarną czuprynę.

– Urosłeś – zauważył. – Mam nadzieję, że mój najmłodszy syn wyrośnie na takiego dużego chłopaka, jak ty, bo póki co mikrus z niego.

– Ma dopiero pięć lat! – przypomniała Peg, śmiejąc się. – Spokojnie, niedługo zaczną rosnąć.

– Maddie też to ciągle powtarza – odparł generał. – Wejdźcie, proszę, usiądźcie i opowiedzcie mi o podróży. Spotkaliście się z moim najstarszym synem?

– Tak. – Grange wyjął kopertę z kieszeni i wręczył ją Machado. – Rick i Gwen uznali, że miałbyś ochotę zobaczyć najnowsze zdjęcia swoich wnuczek.

Wnuczki były dwie. Rick i Gwen wiedli szczęśliwe życie i byli dobrymi rodzicami. Grange i Peg często ich odwiedzali podczas wizyt w Teksasie.

– O! Urosły od ostatniego zdjęcia! – ucieszył się Machado. Jedna z dziewczynek miała ciemne włosy, jak Rick, a druga była blondynką, jak Gwen. – Cóż za piękna rodzina. – Spojrzał na Grange'a. – Wspominałeś, że synek Gracie Pendleton ma talent do gry na pianinie.

– Zgadza się. Nazywają go cudownym dzieckiem. Jeśli kiedykolwiek znajdą czas na przyjazd do Barrery, zdecydowanie powinieneś go nauczyć gry na gitarze.

Machado się roześmiał.

– Z największą przyjemnością. Sam mam zbyt mało czasu na granie. Tyle spraw na głowie...

– Tata!

Do pokoju wpadł chłopiec w dżinsach i T-shircie. Z wyciągniętymi rękami podbiegł do generała. Machado złapał go, podniósł i zrobił piruet.

– *Mi hijo*. – Roześmiał się. – Jak się dzisiaj masz?

– Uczę się portugalskiego – oznajmił malec. – Umiem powiedzieć: „*Obrigado!*”. To znaczy dziękuję.

– Bardzo ładnie. Powinieneś porozmawiać z Johnem, żeby się trochę podszkolić – powiedział prezydent, stawiając chłopca na podłodze. – John zna wiele języków, tak jak jego tata.

– Nie no, właściwie tylko hiszpański i portugalski – odparł skromnie John. – Próbuję się nauczyć perskiego, ale to trudny język.

– Co znaczy, że musisz jeszcze więcej czytać – powiedział łagodnie Grange.

– Mam książeczkę po portugalsku! Poczytasz mi? Poczytasz? Proszę! – spytał chłopiec Johna.

– Idź – zachęcił syna Grange. – Zaczekamy tu na ciebie.

– Dobrze, tato. – John poszedł z chłopcem do drugiego pokoju.

– Maddie żałuje, że nie mogła zostać, żeby się z wami przywitać, ale musiała się spotkać z przedstawicielem egipskiego rządu do spraw zabytków starożytności. To ważna wizyta. Egipcjanin chciał obejrzeć najnowsze odkrycia. Właśnie budujemy muzeum na te wszystkie skarby – przypomniał prezydent.

– I to nie byle jakie muzeum – powiedziała Peg. – Na pewno ściągnie turystów z całego świata.

– Przeszliśmy długą drogę od oddziału najemników chcących obalić tyrana – rzekł Machado. – Z Bożą pomocą udało nam się dużo zdziałać.

– Tak. – Usiedli w salonie. – Dobrze się składa, ponieważ chciałbym omówić z tobą pewien temat, którego długo unikałem.

Machado przekrzywił głowę i uśmiechnął się.

– Potrafię czytać w myślach – stwierdził. – Dlatego chyba wiem, co ci chodzi po głowie.

Grange przytaknął. Spojrzał na Peg.

– Peg się nie skarży. Idzie tam, gdzie ja idę. Ale jej ojciec się starzeje, a moje ranczo się rozrasta

i wymaga więcej uwagi, niż jestem w stanie mu poświęcić. – Zawahał się. – Generał Lopez dokonał cudów przy modernizacji sił zbrojnych Barrery i od kiedy przejąłeś władzę, był moją wierną prawą ręką. Myślę, że zasłużył na to, by zostać szefem sztabu generalnego. Poza tym chciałbym wrócić do domu.

– Winslow! – wykrzyknęła Peg. – Nic nie mówiłeś!

Uśmiechnął się łagodnie.

– Zastanawiam się nad tym od dłuższego czasu – odparł. – Uwielbiam Barrerę – zwrócił się do Machado. – Ale moje serce jest w Teksasie. Obojgu nam – zerknął na Peg – przybywa lat i zaczynamy tęsknić za domem. Chciałbym wrócić. Jeśli oczywiście byłbyś skłonny zwolnić mnie z obowiązków. Przeszedłbym do rezerwy, jeśli to ci odpowiada, i w razie potrzeby byłbym do twojej dyspozycji.

Machado rozsiadł się w fotelu.

– Wiedziałem. Generał Lopez będzie przeszczęśliwy, kiedy zaproponuję mu twoje stanowisko. Ale musisz się zgodzić na odprawę...

– Nie ma takiej potrzeby...

– Ależ jest! – przerwał mu Machado. – Gdyby nie twoja pomoc, nie odzyskałbym władzy. Obaj dobrze o tym wiemy.

– To zasługa twojej znajomości tuneli i naszej wspólnej umiejętności wykorzystania elementu zaskoczenia, a nie efekt mojej strategii – trwał przy swoim Grange.

– A jednak nie zrobiłbym tego sam. Musisz się zgodzić i koniec – dodał ze śmiechem prezydent. – Jeśli będziesz miał ochotę się zrewanżować, raz na jakiś czas będziesz mógł przysłać mi transport najprzedniejszej wołowiny.

– Zgoda – oświadczył Grange.

– Poważnie? – Peg spojrzała na męża. Serce jej biło jak szalone. – Wracamy do domu?

– Wracamy do domu. Oczywiście będziemy odwiedzali Barrerę, bez dwóch zdań – powiedział generałowi. – Poza tym wszyscy mamy Skype’a. Będziemy rozmawiali przez internet i obserwowali, jak rośnie twój syn.

– I vice versa. – Machado wstał i objął Grange’a. – Winslow, to był zaszczyt pracować z tobą. Będzie mi ciebie brakowało. Będę tęsknił za wami wszystkimi – dodał, spoglądając na Peg.

Pocałował ją w rękę, za co podziękowała mu uśmiechem.

– Ja też będę tęskniła za Barrerą – powiedziała cicho. – Ale muszę przyznać, że cieszę się z powrotu do domu. Bo choćby nie wiem gdzie i jak dobrze się żyło, to jednak nie ma jak w domu. W Barrerze poznałam mnóstwo cudownych ludzi. Wiele się dowiedziałam na temat Ameryki Południowej i jej kultury i przeżyłam przygody, których nie zamieniłabym na żadne inne.

– Cieszę się, że miło będziesz wspominać pobyt w moim kraju – odparł Machado z szerokim uśmiechem na ustach. – No cóż, życzę wam więc szczęśliwej podróży i mam nadzieję, że odezwiecie się, kiedy już zainstalujecie się w Teksasie.

– Jasna sprawa! – zapewnił Grange.

Gdy znaleźli się w hotelu, Peg zasypała męża pocałunkami.

– Cudowna niespodzianka! – wykrzyknęła i pocałowała go raz jeszcze.

Grange roześmiał się i przytulił żonę.

– Wiem, że chociaż nigdy się nie skarżyłaś, to jednak bardzo tęskniłaś za tatą i przyjaciółmi. I że brakowało ci własnej przestrzeni.

Przytaknęła.

– W Barrerze świetnie się nam mieszkalo. John wiele się tutaj nauczył. Pewnie będzie tęsknił za kolegami ze szkoły, ale jestem pewna, że w Comanche Wells szybko pozna nowych.

– Już poznał! – przypomniał Grange. – Zobacz, jak dobrze się dogaduje ze starszą córką Ricka



Marqueza. Zawsze, gdy jesteśmy w mieście, umawiają się na gry wideo.

– To prawda. – Westchnęła. – Bardzo się cieszę.

– To dobrze. John! Spakowany? – zawołał.

John zajrzał do pokoju.

– Nawet nie zdążyłem się rozpakować – zauważył. – Będę mógł jeździć konno i słuchać opowieści dziadka o życiu w Teksasie... wow!

– Wydawało mi się, że podoba ci się w Barrerze? – zdziwiła się Peg.

– Bo się podoba. Ale Teksas to mój dom, wiesz?

Peg mocno go przytuliła.

– Wiem.

– Dobrze, słuchajcie, lepiej jedźmy już na lotnisko – powiedział Grange. – Zadzwonimy do Eda, żeby po nas wyjechał.

– To się dopiero zdziwi.

Zatelefonowali do Eda Larsona z lotniska. Już w Stanach, kiedy witał się z nimi, miał zaniepokojoną minę.

– Coś się stało w Barrerze? Jesteście cali i zdrowi? – zapytał prosto z mostu.

Peg go wyściskała.

– Wróciliśmy do domu. Winslow uznał, że czas zamieszkać w Teksasie. Będziemy wychowywali syna i zajmowali się ranczem.

Ed zagryzł wargę. Wzrok mu się zaszklął, w kąciuku oka pojawiła się łza. Odwrócił się, trzymając rękę w kieszeniach dżinsów.

– No proszę, proszę.

– Tato, stęskniłam się za tobą – powiedziała Peg.

Odchrząknął.

– Mnie ciebie też brakowało, córeczko. Wszystkich was mi brakowało. – Spojrzał Grange'owi w oczy. – To z twojej strony duże poświęcenie – powiedział. – W końcu nie każdy mężczyzna zostaje szefem sztabu generalnego.

– Będę dostawał emeryturę, a poza tym mam całe mnóstwo dobrych wspomnień – odparł Grange. – Cieszę się z powrotu do domu. Nie ma drugiego takiego miejsca, jak Teksas.

Ed podał mu rękę.

– Pełna zgoda, synu. To miejsce jedyne w swoim rodzaju. – Uśmiechnął się od ucha do ucha, po czym wyściskał Grange'a i Peg, a na koniec wziął Johna na rękę. – Jestem taki szczęśliwy, że zaraz zacznę tańczyć z radości!

Peg się wzruszyła. Grange poświęcił swoją karierę, świetną pracę, cały kraj tylko dlatego, że jego żona stęskniła się za domem i zapragnęła zamieszkać blisko ojca. Nie zrobił tego przyciśnięty do muru ani na poklask. Zrobił to z miłości. Spojrzała na swego przystojnego męża, a w jej zielonych, lśniących oczach malowała się wdzięczność i miłość. Nie musiała nic mówić, bo Grange doskonale wiedział, co czuła.

Tytuł oryginału:  
*Courageous*

Pierwsze wydanie:  
*MIRA Books, 2012*

Opracowanie graficzne okładki:  
*Robert Dąbrowski*

Redaktor serii:  
*Grażyna Ordega*

Opracowanie redakcyjne:  
*Władysław Ordega*

Korekta:  
*Sylwia Kozak-Śmiech*

© 2012 by Diana Palmer  
© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 2013

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B. V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.  
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN: 978-83-238-9536-7

Konwersja do formatu MOBI:

Legimi Sp. z o.o. | [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

# Spis treści

- [Strona tytułowa](#)
- [Prolog](#)
- [Rozdział pierwszy](#)
- [Rozdział drugi](#)
- [Rozdział trzeci](#)
- [Rozdział czwarty](#)
- [Rozdział piąty](#)
- [Rozdział szósty](#)
- [Rozdział siódmy](#)
- [Rozdział ósmy](#)
- [Rozdział dziewiąty](#)
- [Rozdział dziesiąty](#)
- [Rozdział jedenasty](#)
- [Rozdział dwunasty](#)
- [Rozdział trzynasty](#)
- [Rozdział czternasty](#)
- [Epilog](#)
- [Strona redakcyjna](#)

# Table of Contents

[Prolog](#)  
[Rozdział pierwszy](#)  
[Rozdział drugi](#)  
[Rozdział trzeci](#)  
[Rozdział czwarty](#)  
[Rozdział piąty](#)  
[Rozdział szósty](#)  
[Rozdział siódmy](#)  
[Rozdział ósmy](#)  
[Rozdział dziewiąty](#)  
[Rozdział dziesiąty](#)  
[Rozdział jedenasty](#)  
[Rozdział dwunasty](#)  
[Rozdział trzynasty](#)  
[Rozdział czternasty](#)  
[Epilog](#)